



TOMASZ
MRÓZ

SZARY CIEŃ

część 4

Tomasz Mróz

SZARY CIEŃ

Saga

Szary cień

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright ©2011, 2024 Tomasz Mróz i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788727161594

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Spis treści

Przygotowania

Misja

Śledztwo

Odlot

Kryminalny klub emeryta

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Przypisy.

Przygotowania

- Co się stało? - Zdyszany człowiek wpadł do pomieszczenia, trzaskając drzwiami w pośpiechu. Podbiegł do drugiej postaci, stojącej w bezruchu. Po chwili nikły blask świecy oświetlał już dwie nieruchome sylwetki pochylone nad jakimś kształtem leżącym na podłodze.

- Kiedy to się stało? - zapytał ten, który przybył później.

- Dopiero co. Boże drogi... To się nie musiało tak skończyć - powiedział drugi człowiek zduszonym, smutnym głosem.

- To się nie może tak skończyć - dorzucił jego kolega. - W przeciwnym razie niedługo pożegnamy się z życiem. Musimy...

- Co musimy? - wpadł mu w słowo towarzysz. - Przecież to jasne. Musimy uciekać.

- Nie - zaprzeczył ten pierwszy kategorycznie. - Musimy to zrobić jeszcze raz. Ale tak porządnie, żeby błady strach padł na wszystkich.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Głos mężczyzny drżał w obliczu dziwnej i strasznej przepowiedni.

- Chcę powiedzieć, że masz go ukryć. A ja... ja załatwię mu... nam taką prawdziwą męczeńską legendę.

Dwa cienie zaczęły się siłować z jakimś dużym ciężarem. W marnym świetle kaganka nie dało się rozpoznać szczegółów, ale jasnym było, że praca jest ciężka, a sami wykonawcy bardzo zdenerwowani. Po chwili zakończyli. Jeszcze trochę poszeptali, następnie ubrali długie płaszcze, zarzucili kaptury i pojedynczo, w pewnym odstępie czasu, opuścili pomieszczenie.

Pozostał cichy pokój, gdzie dogasały powoli dwie świeczki przy wielkim regale z książkami. Jedynie zza okna dochodził szelest liści, a wśród czerni nocy było widać ruchy gałęzi najbliższego drzewa,

ponuro szumiącego kasztanowca, który szeptał, że on wszystko widział i wszystko wie. A jedynym powodem, dla którego nikomu o tym nie powie, jest pewność, że kara Najwyższego i tak spotka winnych.

Misja

Obudziłem się, a raczej ocknąłem nagle, jakby porażony albo wyciągnięty za kark z otchłani mroku i falujących wizji. Śmieci, brud i kurz, otoczenie raczej nieprzyjazne dla istot żywych. A dla mnie...?

Kim jestem? Wokół dziwne pomieszczenie, hala albo fabryka, fantasmagoryczne kształty, wspomnienia... czy jakoś tak. Siadam, podciągam kolana pod brodę. Próbuję pozbierać ten bałagan w głowie. Myśli, obrazy. Ciężko mi idzie. Brak punktu zaczepienia, brak definicji sytuacji, brak marzeń, brak startu, końca, resetu. Coś jest tu nie tak. Coś jest ze mną nie tak. Powoli przychodzi, a raczej przylatuje wiatrem niesiony strzęp wspomnienia. Zagubiony w głowie, jak fragment pasujący gdzieś, do jakiejś myśli, ale jeszcze nie wiem do jakiej. Może nigdy tego nie wiedziałem? Chyba tego właśnie dopiero szukałem. Chyba... A teraz? Nawet nie wiem, kim jestem. Nie wiem nawet, czy jestem. Tak. Najważniejsze się zdefiniować. Znaleźć swoją koncepcję w czasie i przestrzeni.

- To się definiuj! - krzyczy w głowie jakiś mały, bezczelny komentator.

Łatwo gadać, trudniej działać. Komentator dalej gdera pod nosem. Trzeba się nauczyć gościa ignorować albo... zabić. Zabić siebie. Staram się dochodzić obrazu rzeczywistości, powoli łapię te strzępki. Po pierwsze, nie umiałem zasnąć. Tak, nie umiałem i to był początek. Zaraz, zaraz. Początek czy koniec? Nie wiem i wiedzieć nie chcę. Nie mogę, nie rozumiem.

Ściany, cegły, żarówki, miłość. Nie, miłość nie. Z całą pewnością miłość nie, chociaż mówili, że to ona i tylko ona buduje świat. Ona stwarza, ale i burzy człowieka. A jeśli miłość nie, to co? Nie ma mnie?

Nie wpasowałem się w dobrocłowiecze schematy, to mnie nie ma? Nie byłem taki, jak kazali, to już nie mogę żyć? Zobaczymy, jeszcze zobaczymy?! Zbadajmy spokojnie sytuację.

- Spokojnie! - krzyczę w brudną szarość, w wyjąca przeciągami amfiladę pustych korytarzy mojej głowy, gdzie sobie mieszka ten mały, bezczelny gaduła.

Dobrze, dobrze, jest spokojnie. Zacznijmy od tego: jestem tu i teraz. Wkoło mgła, szara i wszędzie dochodząca, jakby ktoś pędzłem rozmazywał świat. Chwilowy, mały, poobstukiwany świat, w tym czymś, gdzie teraz jestem. Czyli gdzie? I po co? Jakies pieprzone, legendarne Pietuszki?

- Nie! - słyszę głos.

Chcę się odwrócić, pójść za tym głosem, może od niego uciec. Ale nie wiem, w którą stronę się zwrócić. On mnie oblepia nieomal zewsząd, z każdego kierunku. Nawet ze środka. Głosie, kim ty, kurwa, jesteś?

- Wstań! - znowu głos. Wiem, że muszę wstać. On nie żartuje. Wstaję, głos nie mówi, co dalej robić, jak mam wstać.

- Szybciej! - zaczął mówić jak. Nie mogę szybciej i boję się, że mnie to coś zaraz zabije przez to wolne wstawanie, przez tę moją wolność czy ucieczkę do wolności, raczej od wolności. Choć nie mam pewności, czy żyję, to jednak jeszcze się boję śmierci. Dobry znak.

- Szybciej! Bo cię zaraz zabiję przez tę twoją wolność, czyli ucieczkę gdzieś tam - przedrzeźnia mnie głos.

Każą, to wstaję. Nerwowo biegam po tym szarym, zakurzonym pomieszczeniu. Macam ściany, nierówności, nasłuchuję odgłosów z zewnątrz. Czuję porowatość betonu, bezdusność otoczenia. Kto to jest? Oddech urywanym świstem świadczy o bezradności przerażonego mnie, czyli nie wiadomo kogo wobec niego, czyli nie wiadomo czego. Zaczynam podejrzewać, że nie mam już głowy, że w dawnej przestrzenioczaszce zamieszkuje jakieś prątkujące bagnisko, które wprowadziło się tam podczas mojej nieobecności. Dotykam się, czuję

się, czoło, włosy, twarz, niby bez zmian. Jednak w środku nie jest dobrze. Jest źle, bardzo źle. Martwię się o siebie.

- Spokój! - ryczy głos. A przecież nic nie mówiłem. Próbuję się uspokoić, znaleźć jakiś rytm w tej orce na ugorze. Ale nic z tego, z głowy został baniak i pustka, a w niej jakieś psotne fiku-miku. Siadam skonfundowany. Udaję, że się uspokajam.

- Sprawa jest. Misja - trochę już spokojniej gada powietrze.

Misja? Co mi po misji, sprawie, odpadam, wypływam, pierdołę...

- Spokój! - znowu ryczy głos, a ja znowu nic nie mówiłem. Chcę do mamy.

I gada mi o zagrożeniu oraz że jestem tym jedynym, który nadaje się do tego, co trzeba zrobić, że tylko ja, a jak nie - to czapa i w dołek. Konfabuluje czy coś takiego, dosyć mam powietrznego gościa. Ale stało się, wpadłem w tę sytuację jak w kanał burzowy bez kratki.

Co na to żona, dzieci, teściowie? Jak ja się teraz wytłumaczę? Że co? Że znikam z życia, pozbawiam się ciała, duszy, rozumu, woli i po dwóch dniach wegetacji w jakiejś obszczonej norze głos mnie zwerbował do wyższych celów? Że teraz to już wypad i do pracy nie chodzę, bo mi dali karabin, że dawne życie to już tylko wspomnienie obolałej głowy? Że...?

- I w ten sposób, jedyny możliwy sposób, ocalejesz i ocalisz innych - dobitnie stwierdza głos na zakończenie tej osaczającej mnie, niekończącej i absolutnie mętnej tyrady.

Zaraz, zaraz. Uderzyło mnie. Jak to „tylko tak ocalejesz”?! Co to za brednie? Kim jesteś? Czego chcesz?

- Odmaszerować, czas start!

Znowu odpływam. Czy ja naprawdę już nie mam tu nic do powiedzenia w swoich sprawach? Wszystko płynie, cegły, szarość, moje ciało, z głową albo bez głowy, wszystko płynie, muszę coś zrobić, coś niesamowitego, ocalić...

I znowu jestem na ławce w parku. Tak, przypomniałem sobie ten park, bezsenność, spacer między kałużami, menele pod daszkiem, wieczór na miejskim skwerze, jestem tu znowu.

– Nic panu nie jest? – Jakiś facet z pudełkiem na różowej smyczy z ćwiekami potrząsa mnie za ramię. – Zasnęliśmy błogo, odpłynęliśmy. Pomóc w czymś?

Siada koło mnie, przytula się, pudełek się łąsi, menele machają do nas przyjaźnie, z liści kapie woda, za drzewami tramwaj. Przez chwilę nawet mi się to podoba. Pudełki to jakieś miłe aniołki. Ale ten... to kto? Co jest?!

– Co jest?! Odpierdol się pan!

Facet odchodzi obrażony, poprawia kurtkę, menele machają do nas przyjaźnie, tramwaj macha do nas przyjaźnie. Choć nie, jest tylko za drzewami, niemachający.

Zrywam się na równe nogi. Biegnę, kałuże rozpryskują się wokół, tworząc tłum małych istotek, „hurra” – krzyczą i „aaa” – umierają w takt – pach, pach, pach, pach – mojego biegu.

Chyba mnie coś goni.

– No, panowie, pobiegł – poinformował zebranych Stalowy Kazek, wypuszczając kółka siniego dymu papierosowego z ust. – Waldziu, nie znalazł dziś chętnych.

Towarzystwo ławeczkowe zarechotało.

– To może szkło fundnie... – zadumał się Pająk.

– Nie fundnie i nie chce nikogo znać – obruszył się Waldziu. – Taka niewdzięczność, takie faux-pas i chamstwo, fuj! Jak go jeszcze raz tu przywieje, to go Sodoma obsika. – Poglaskał pieska z czułym uśmiechem. Waldziu najwyraźniej nie mógł przeboleć straconej okazji do nawiązania nowej znajomości.

Towarzystwo zarechotało ponownie. Pająk poszedł z potrzebą za krzaczki, Stalowy Kazek łagodnie przekonywał Waldzia, że troski można rozwiać konsumpcją w szerszym gronie kolejnych, zabutelkowanych skarbów natury o zawartości alkoholu. Z liści kapiała woda, menele machali przyjaźnie (do siebie).

No i stało się. Nie wiem co, ale coś się stało. Nie będę już taki jak wcześniej. Zresztą nikt nie wie, jaki naprawdę byłem. Czy w ogóle byłem? Co na to żona, dzieci, teściowie? Na razie idę, lewa, prawa, lewa, lewa. Powoli dociera do mnie fakt, że jestem odrzucony. Jestem nikim i teraz może być tylko lepiej, bo co jest dobrego w obecnej pustce i nicości? Świat, mam wrażenie, odwrócił się do mnie plecami. Żuje swoją gumę odświeżającą i czeka, aż się potknę i zaorzę zębami kawałek betonu. Wtedy się odwróci i powie: „O, biedaczek, wywalił się. Jak ci możemy pomóc? Może trochę gumy?”. Niedoczekanie jego! Głos nie głos, ale czuję, że jest inaczej. Wszczepiono mi chyba jakiś zapalnik w tyłek i naciśnięto guzik „niszcz”. Ale nie wciśnięto „po co?”. Innymi słowy mam sam wymyślić, co zrobić, żeby eksplodować pozytywnie.

Wokół drzewa, straszne, pogieęte, pokurczone, pozwijane, szemrzące, szemrające wrogo. Przeciw mnie? Co? Wy też? To już normalna przyroda wam nie wystarcza?! Taki układ! Takie zwyrodniałe stosunki botaniczne tu panują, a kysz!

Opanowałem się ostatkiem sił. Coś jest nie tak. Drzewa jak drzewa, ale sprowokowane mogą być szkodliwe. Niegrzeczne.

- Człowieku, uspokój się! - napominam sam siebie, nazywając człowiekiem, choć jeszcze nie wiem, kim jestem. Próbuję odnaleźć równowagę i punkt zaczepienia. To jednak niemożliwe w moim stanie. Nie teraz, nie tu, nie po tym, co się stało. Nic nie pamiętam, ale wiem, że się coś stało. Bezcelny komentator w głowie nie daje mi spokoju. Gdera, śmieje się, aż mu się podbródek trzęsie. Nienawidzę go.

Nagle. Zamieram, widząc ich. Tam. Dwa jarzące się punkciki w mroku. Cel. Chwyciłem jakiś kij, zacząłem się skradać przez drapiące gałązki. Przedzieram się, a one mnie łapią, owijając się zdradziecko wokół nóg, wokół ramion. A to łotry! Chcą mnie powstrzymać, chcą mnie osaczyć, gałązki to drzewa, a drzewa to już wiecie. Mówiłem jakie są drzewa. Przedarłem się przez ten mur. Puszczajcie, zielonolistni zwyrodnialcy!

A oni siedzą na ławce. To był impuls. Wzniosłem kij, naprzód...

Warmer Körper

heißes Kreuz

falsches Urteil

kaltes Grab¹.

- Ty, Zenek, jakiś świr z kijem tu leci!

- Chodu!

- No to jak było? Tylko proszę do rzeczy, proszę się nie zataczać!

Posterunkowy Chwiejczak z wyraźnym obrzydzeniem przebywał w towarzystwie zapijaczonego brodacza. Ten się ciągle drapał, spluwał i ogólnie zachowywał się jak na zawodowego obszczymurka przystało. Chwiejczak jako policjant zawodowo często zajmował się włóczęgami i bezdomnymi. Jednak tak naprawdę nigdy nie rozumiał, dlaczego ktoś może być bezdomny, bezrobotny lub uzależniony od alkoholu do tego stopnia, że mu na niczym innym nie zależy. On sam nie wiedział, jak się wyrobić ze swoją robotą i tysiącem innych obowiązków, które przynosiło życie. Zobowiązań dających mu pieniądze, ale przede wszystkim trzymających w sieci kontaktów społecznych. Dzieci, żona, praca, remonty mieszkania, imieniny teściowej, występ w roli Świętego Mikołaja w pobliskim przedszkolu, plewienie ogródka. Znajdował dla siebie miliony zajęć i tacy ludzie jak ci stojący przed nim wydawali się należeć do kompletnie innego, choć przecież nieodległego świata. Brodacz w końcu zaczął opowiadać, co się wydarzyło.

- No, jak było, jak było! Przecież mówię, jak było! Z krzaczorów wylazł! Tak było! Wrzeszczał, że coś tam, hitler kaput, albo inne szwabskie czy aborygeńskie przekleństwa. I kijem wymachiwał, prosto na mnie i na Zenka pędził. A jak nas już dogonił i Zenka zaczął tłuc, to mnie taka odwaga wzięła, tak go w łeb prętem, o tym, tak jebnąłem, że chłop aż się zatoczył, zawył i spierdolił. Tak było!

- A jak wyglądał? - Chwiejczak szedł według procedury. Każde kolejne pytanie odzwierciedlała krótka notatka w zeszytiku.

- Jak wyglądał, jak wyglądał! A jak miał wyglądać, nogi, ręce, głowa, ciemno było, niewyraźne wszystko, żadnych szczegółów!

- Mhm, żadnych szczegółów - zapisywał Chwiejczak. - Czy zwróciło pana uwagę coś szczególnego?

- Coś szczególnego! Coś szczególnego! Przecież gadam, że żadnych szczegółów! Ciemna masa cię goni z kijem i ryczy po szwabsku, a ty pamiętaj szczegóły, po dwóch fiaskach! Nie mówił „r”.

- Słucham? - Chwiejczak na chwilę okazał zdziwienie, ale zaraz je skrył za służbową maską idealnego posterunkowego.

- Nie mówił „r”. Mój brat tak samo mówi: jyba, jowej, jekin. Facet wyćwiczony, ale się nie pozbył zupełnie, takich poznam w każdym stanie i w każdym języku.

- Co tam mamy, Chwiejczak? - Zza krzaka wyszedł zwalisty człowiek w szarym prochowcu opiętym na wielkim brzuchu i w kapelusiku. Komisarz Wątroba.

- Nieznany osobnik, ma dwie nogi, zaraz, zaraz... - Pośpiesznie szperał w notatkach Chwiejczak. - W każdym razie ma nogi, głowę, ręce, krzyczy po niemiecku lub aborygeńsku i nie mówi dobrze „r”, panie komisarzu.

- Taaak, ma nogi, to ciekawe, duże ułatwienie. Co z rannym? - komisarz zainteresował się pobitym.

- W szpitalu, wyjdzie z tego.

- I co z tego, że wyjdzie! - ożywił się brodac. - Rewir mu zajmą, Zenek trzy lata walczył o okolicę parku, tutaj są całe góry puszek. Do dupy z takim interese!

Nie wiem, co to jest. Co się dzieje? Wokół te same drzewa, ulice, ludzie, ale inni, wrodzy, nieludscy. W każdym razie inaczej ludzcy niż ja, człowiek. Doszedłem do wniosku, że jednak tak się będą określać.

Pomacałem swój kark. Bolało. Pomyśleć, że ten śmieć jeszcze się bronił, że śmiał bronić tego swojego plugawego, owłosionego życia.

Patrzę wokół na mozaikę miasta, na te puzzle, które ktoś pomieszał, ale nie po prostu – ot tak, rozrzucił. Pomieszał inteligentnie, wręcz niezauważalnie. Lekkie kontrasty mówią, że klocki nieba nie są tam, gdzie trzeba, delikatne załamania linii sugerują pomyłone miejsca przedmiotów, człowiek nie ma zwykłej twarzy, ale ta, którą ma, nie jest niezgodna z jakimś wzorem, jest niezgodna z oczekiwaniem, z dobrym układem. O tak, ciężko mi się zmusić nawet do myśli, że mam tu być, w takim świecie.

– Wejdz tutaj!

Ktoś ciągnie mnie za rękaw kurtki do ciemnej bramy. Znowu w jakąś otchłań, norę bez adresu, służącą dotąd jedynie jako toaleta dla bezdomnych i bezpańskich kotów. Kto to jest? Odpierdol się. Próbuję szarpać ręką. Wyrwać. Jednak ona tkwi jak w żelaznych kleszczach.

Jakieś ciemne pomieszczenie i postać przede mną. Raczej postać, tak myślę, bo, stuk, stuk, kroki w różnych miejscach. Wyraźnych zarysów nie widzę. Tylko jakieś takie drgające powietrze, przemieszczający się niepokój. Znowu czuję, jak mnie ten głos i strach oblepiają ze wszystkich stron, nawet od środka, i uniemożliwiają jakąkolwiek ucieczkę. Nie mogę nawet się skulić, skryć twarzy w dłoniach i udawać, że mnie nie ma albo że ja to nie ja. Nie wiem, o co chodzi. Chcę wyjść!

– Siadaj! – krzyknął.

Dobry Boże, siadam. Gdzieś wysoko świeci słońce. Tak myślę, taką mam nadzieję, że jest tam gdzie jeszcze słońce, marny promyczek pocieszający wszelkiej maści wariatów, fanatyków, żywych, na wpół umarłych i kompletnych truposzów. Ale tutaj tylko lekka poświata wpada przez lufcik. Niedorzeczna sytuacja. Walę głową w tępy ryj ciemności, tej plugawej, nieznośnej niejasności wokół mnie. Głos mówi. Znowu tyrada, przesłanie, misja i posłannictwo. Że mam się skupić na zadaniu, zbierać wskazówki, poszlaki, analizować, nie zepsuć

wszystkiego przedwcześnie. Jezu, czego nie zepsuć? Ja chcę dobrze, tylko wokół same niejasności. A ten gada i gada. Mój mały, złośliwy nieprzyjaciel w środku też gada, jakby się umówili. Kakofonia dźwięków, przeciwstawnych lub wzmacniających się nawzajem, w otocze przytyków, złośliwości i złotych myśli. A wkoło morze bzyczącego niepokoju, falującego po głowie od ucha do ucha. Jakież fragmenty słów i informacji zostają w głowie, szukają miejsca, uspokojenia. Zastosowania. Na razie nie dam rady ich ułożyć. Trzeba czekać. Kurzawa wewnętrzna przesuwca wszystko bez ładu i składu. Kiedy on skończy? Uff, skończył.

Spokój. Poszedł sobie, a może odleciał albo zdematerializował się wprost w inny wymiar. W piekło? Nie wiem. Ciężko stwierdzić, jeżeli nie wiadomo, z czym się rozmawia, a raczej jeżeli coś cię łapie, osacza i sący do uszu jakieś brednie. Znowu unoszę głowę, jakby przebudzony lub jakbym się ocknął po przejściu pustynnej burzy. I znowu czuję, że miałem dużo szczęścia, jakby piach zasypał wszystko, ale ja przypadkowo się nie udusiłem. Żywił mnie oszczędził. Trzeba uciekać. Wstaję. Idę powoli, delikatnie, szukam jakiegoś wyjścia. Z tyłu szmer. Odwracam się gwałtownie. Mój wzrok od razu zaczyna się o wąskie pasemko światła. Podchodzę bliżej. Żyje, każda żywa istota woli światło od ciemności, ciepło od chłodu. Dobro od zła? Podchodzę jeszcze bliżej. Drzwi. Korytarz z cegły. Zakręt. Pałają się lampy. Idę tam.

Wszystko mnie przerasta, uciekam z tego miejsca w inne, skąd też ucieknę. Poruszam się wzdłuż ściany, cegły uciekają w tył, jakby się bały, jakby mnie wypychały do przodu tymi swoimi ceglasteróżowymi tyłkami. Piwniczny nastrój potęguje niski sufit, duszący, bezstronny.

„No idź” – coś mi mówi. „Nie, nie idź” – też mi mówi to coś, a raczej inne coś. Coś bis. Korytarz ciągnie się jak wąż. Wąż plugawy. Coś mi mówi, że nigdy nie widziałem węża od środka, ani plugawego, ani normalnego. Coś bis odpowiada mu brzydko, coś jeszcze brzydziej, coś bis daje coś w ryj... Szamotanina, brzydkie wyrazy.

– Spokój, kurwa! – drę się na cały regulator.

„Dobra, dobra”, obrażeni rozchodzą się, zapaliliby papierosy, gdyby mieli usta. Idę dalej. Lampy, cegły, beton, miłość... nie, miłość nie, bo... nie. Już tłumaczyłem. Za kolejnym zakrętem drzwi stalowe, solidne, jakby niemieckie, solidne, przypominające te do kwatery Hitlera. Lekko uchylone. Takie uchylone drzwi, szmery za nimi, piwnica wokół – to taki nacisk na czachę, że aż lekko się ugina. I widzisz wszystko jakimś takim wykrzywionym okiem, jakoś tak nie po prostej, w dziwny, straszny sposób.

Drzwi dały się łatwo otworzyć, bez skrzypnięcia.

– Wchodź – ktoś szepnął za moimi plecami i lekko mnie popchnął. Obróciłem się gwałtownie, „łapyprzysobiete!”, głos uwiązał mi w gardle. Za mną była ciemność. Idąc do tych drzwi, nie rejestrowałem tego, co się działo za mną. A tu lampa po lampie, krok po kroku, wszystko gasło. Za mną ciemność, lekko zarysowany kształt, ni to ludzki, ni nie ludzki, dyszał zaszyty w czerni.

– Nie bój się, wejdź tam i wszystko pamiętaj. To ci życie uratuje, to ci da nowe życie. No, wejdź, chłopaku!

Wszystko bym dał, żeby nie słyszeć tego sapania, tego głosu. Odwróciłem się pospiesznie i wskoczyłem za uchylone drzwi, zamknąłem je i podparłem całym ciałem. Żyję.

Jeszcze żyję.

– No, panowie, hop! – zakomenderował Stalowy Kazek. Głowy wszystkich obecnych poderwały się do góry i zastygły tam na chwilę z kubeczkami przy ustach. Wyglądali jak surrealistyczny kabaret odgrywający scenkę oczekiwania na grom z jasnego nieba. Potem ręce i głowy opadły, nastąpiło pełne rozprężenie. Stalowy westchnął „Aaa”, Waldek stęknął „Okkkkk...”, Pająk... nie, Pająk ani jęknął, za to inni wydali z siebie charakterystyczne dla konsumpcji alkoholu odgłosy. Potem zapadła cisza. Charakterystyczna chwila zadumy nad życiem i ohydny posmak w gardle zaraz po wypiciu kolejnej porcji wódki.

Zresztą bardzo wątpliwe, żeby była to normalna wódka z banderolą. Z dużo większym prawdopodobieństwem raczyli się samogonem albo jakąś zagadkową ciecżą, spuszczoną wczoraj z cysterny na bocznicy przez nieznanych sprawców, dziś świętujących udaną akcję w zaciszu parkowej alejki.

- Fajny z ciebie kolega, Walduś, wiesz, chociaż ciota - Stalowy zagaił rozmowę po iście „rusko długiej” chwili zadumy.

- Bo stawiam? - domyślił się Waldek, który stracił już wszelkie złudzenia i wątpliwości co do dobrych intencji i celu pochwał swoich kolegów z parkowej ławeczki.

- Nie tylko, jesteś też fajny w innych aspektach, tych, tego, no, pogadać można. Pożartować. Nie obrażasz się od razu - ciągnął niestrudzenie Stalowy, jak zwykle po kilku głębszych chętny do żartów, kłótni i bijatyk.

- No, no, coś tam znowu wymyślił? Na dziś już nic nie mam. A wy idźcie do roboty, to na wódkę będzie. Chociaż nie wiem, kto by chciał takich, he, he, he, pracowników. - Wizja kolegów-pijaczków w roli ludzi pracujących najemnie najwyraźniej niebywale rozbawiła Waldka. Już widział oczyma duszy koszmarnie życie szefa w firmie, gdzie by pracowali Stalowy, Pająk albo Marian.

- A co, kurwa, myślisz, że ja nic nie umiem, że ja całe życie tylko na ławeczce z Pająkiem? Ja różne rzeczy umiem i jeszcze pokażę, że, że... - Stalowy uniósł się w iście operetkowo-groteskowy sposób.

- Dobra, dobra, wierzę, nie gorączkuj się, bo ci coś pięknie i będziemy musieli na wieniec zbierać. - Waldek spostrzegł, że rozmowa idzie w kierunku rękoczynów i bezceremonialnego naruszania nietykalności cielesnej, zresztą zgodnie z tradycją wyznaczaną przez litry wypitego alkoholu.

W tym momencie za towarzystwem zaszurały o liście czyjeś buty. Zza drzewa wytoczył się obły kształt - komisarz Wątroba.

- No, witam, Kazimierzu Opalek vel Stalowy! - zakrzyknął na ich widok tak, jakby spotkał dawno niewidzianego przyjaciela. Stalowy

zrobił minę obrazującą najwyższy stopień obrazy wywołanej tym spoufalaniem się.

- Szanowanie dla pana komisarza, my nic nie zrobiliśmy - zaczął od oświadczeń, bo wiedział, że przedstawiciel prawa nigdy nie zaczepia w celach towarzyskich, choć na stopie prywatnej obaj znali się dość długo i dobrze.

- Nie ma takich, którzy nic nie zrobili, nawet na sparaliżowanego znajdzie się paragraf - żartobliwie skwitował tę pewność siebie Wątroba, zgodnie ze starą zasadą radzieckich tajnych służb.

- Ale my nie jesteśmy sparaliżowani! Jesteśmy niewinni, oprócz oczywiście niezdrowego pociągu do rozrywek kulturalnych - bronił swojej domniemanej niewinności Kazek.

- Mhm, więc niech mi te kulturalne niewiniątka powiedzą tu natychmiast wszystko, co wiedzą. - Wątroba najwyraźniej nie miał im nic do zarzucenia, a jedynie szukał informacji. Zapadła cisza pełna wyczekiwania.

Waldziu nerwowo pocierał dłońmi o spodnie, kręcił się, jakby go bardzo męczyła jakaś sprawa albo wyrzuty sumienia. W końcu nie wytrzymał.

- Panie władzo, to było niczyje, leżało sobie na ławce, fakt, obok człowieka, ale on był zajęty czymś innym, zupełnie czymś innym. A jak coś znalezione, to nie kradzione.

Wątroba zmierzył Waldka surowym wzrokiem.

- Nie, nie chodzi mi o sprawy zawodowe. Każdy orze jak może, tym się zajmuje dzielnicowy, mogę was skontaktować.

- A nie, nie, my się już znamy, nie trzeba... - Waldek wycofywał się w popłochu.

- Mnie się rozchodzi o podejrzanych osobników, których dziś widzieliście. Czy rzuciło się wam coś w oczy?

Towarzystwo zaczęło spoglądać na siebie spoode łba, więc Stalowy wystąpił w roli rzecznika. Zawsze uważał się za nieformalnego

przywódcę ławeczkowej ferajny i nie przepuścił żadnej okazji, żeby to okazać.

- Nie, nic nie widzieliśmy, tylko spokojni przechodnie, panie z wózkami, emeryci, trzy zakochane pary. A nie, przepraszam, był jeden incydent...

Wszyscy spojrzeli z napięciem na Stalowego. Komisarz, bo był ciekawy opowieści, natomiast reszta, bo żadnego incydentu sobie nie przypominała.

- Tam, w tych krzakach, o tych tam, w kształcie półkola, był facet za potrzebą. I tak żeśmy go z Pajakiem postraszyli, że, he, he, he, spierdolił bez podcierania - snuł wesołą opowieść Stalowy Kazek, licząc na komiczny efekt.

Nie pomylił się. Wybuchł huragan, istna burza wesołości. Grupka pijanych mężczyzn rechotała na całego, poklepując się po plecach i ocierając zażawione ze śmiechu oczy. Wśród nich niewzruszony jak skała stał Wątroba. Nawet cień uśmiechu nie zagościł na jego pulchniutkiej twarzy. Wręcz odwrotnie, pokrywały ją coraz ciemniejsze chmury wściekłości.

- Spokój, kurwa! - wrzasnął nagle. Wszyscy zamilkli jak nożem uciął. - Stalowy, przestań udawać sparaliżowane niewiniątko i gadaj o konkretach! Podejrzany facet, dziwnie się zachowujący, tu, w tej okolicy. Nie wymawiał dobrze „r”.

Waldek znowu zaczął nerwowo pocierać rękami o spodnie i kręcić się. Wątroba zdążył już poznać te objawy, więc zwrócił się bezpośrednio do niego.

- Mów!

Waldek opowiedział dzisiejszą historię, ale ze szczegółem, którego inni nie znali.

- Jakaś godzinę wcześniej widziałem tego człowieka, kiedy szedł z innym. Tamten go jakby prowadził, tak szli sobie razem, objęci ramionami. Wydawało mi się to takie romantyczne. No i odważne.

U nas w katolicko-narodowej Polsce taka otwartość? Nawet mi się żal zrobiło, że ja wciąż sam, jak ten palec...

Waldek zmarkotniał. Wątroba cierpliwie czekał, chociaż wolałby warknąć „gadaj bez mazgajenia”, ale czekał. Wiedział, że napastliwość może przyhamować intymne zwierzenia.

Waldus ciągnął.

– No i tak szli, tamten jakby trochę go ciągnął. W końcu usiedli na ławce, a ja byłem na drugiej alejce. Ten drugi poczekał chwilę i poszedł. A później ten się obudził...

– A portfelik już był w twojej kieszeni, co? – domyślił się Wątroba.

– Mhm – ni potwierdził, ni zbył pytanie Waldus. – No i chciałem nawiązać kontakt, znajomość znaczy... Ale tamten to cham, nakrzyczał na mnie i pobiegł.

Zapadła chwila ciszy.

– I powiedział mi coś, co brzmiało tak, jakby faktycznie źle wymawiał „r”.

– Co powiedział?

– Odpiejdol się.

Towarzystwo znowu zaczęło rechotać, jednak jedno piorunujące spojrzenie Wątroby wystarczyło, żeby to uciąć w zarodku.

– Jak wyglądał?

– Wysoki brunet, przed czterdziestką, ładny.

– A ten drugi?

– Nieciekawcy. Starszy gość. W czapce z daszkiem, męczył się tym prowadzeniem, ciągle coś do siebie gadał, ale cicho. Trochę jakby utykał, ale twarzy nie widziałem dobrze, nie poznałbym go.

Wątroba nie wątpił, że by go nie poznał. Tutaj się nie poznaje nikogo, o kogo pyta policjant. Chyba że ktoś ma samobójcze zamiary. Mruknął coś pod nosem w podziękowaniu za informację i poszedł, rozkopując liście opadłe z wiekowych dębów i jesionów. Menele z uśmiechami machali mu na pożegnanie.

Rany boskie, co to za katakumby? – tłukło się po mojej głowie natrętnie pytanie, gdy tylko nieco ochłonąłem za zatrzaśniętymi drzwiami. Czego ten ktoś ode mnie chciał? Pomieszczenie było kamiennie-betonową kryptą w kształcie litery L. Ja znajdowałem się na końcu tej litery. Zza zakrętu dobiegały jakieś odgłosy. Szmery? Rozmowa? Nigdy tam nie pójde, mogą mnie...

– Chłopaku, naprzód! – głos pogonił mnie szeptem, ale takim, że szklanki pękają. Skąd on dochodzi? Cały czas mnie pilnuje? Nie mam pojęcia, ale nie zostanę tu. Nie mam innej drogi niż ten korytarz przede mną.

Zrobiłem pierwszy krok. Beton zdawał się parzyć mi stopy; cała rzeczywistość, świat, mój świat skurczyły się do tego jednego ruchu, tak niewiele różniącego się od bezruchu, ale jednocześnie tak innego. Wredna, wyszczerzona morda strachu dotykała mnie już swoim zimnym nosem. Jestem, ale co z tego, skoro jakby mnie już nie było. Mózg robi szuru-szuru, ale nic poza tym, wszystko rozgrywa się gdzieś indziej. Jestem tylko pyłkiem w kosmosie. Pyłkiem, który uniósł się ze swojej dziurki, w której tkwił przez trzydzieści kilka lat i wiruje sobie teraz po pałacu strachów. Znowu krok. Załom muru coraz bliżej.

Delikatnie wyjrzałem zza rogu, zobaczyłem tylko plecy. Przynajmniej setka pochylonych ludzi, którzy klęczeli przed jakąś ścianą i chyba się modlili.

Obserwowałem ich przez dłuższą chwilę. Jednak nic się tu innego nie działo. Wyglądało na to, że nawet mnie nie zauważyli.

Tak. Jestem pewien. Na pewno się modlili i tą modlitwą wytwarzali taką aurę, taki spokój, że niczym po niewidzialnej nici, jak po ścieżce na polanie, podszedłem do nich. Pochyliłem się, zajmując miejsce w ostatnim szeregu, jakby dla mnie przygotowane, jakby czekające od dawna, aż przyjdę i przyłączę się do nich. Mój sąsiad spojrział na mnie przelotnie. Nic nie powiedział i zaraz powrócił do swojej zadumy. Wszyscy byli w płaszczach i kapturach, nie zdołałem zobaczyć jego

twarży. Ten spokój, szmer, brak bodźców tak mnie wciągnęły, że... że zapomniałem o wszystkich dotychczasowych lękach. O niepokojącym głosie w ciemnych pomieszczeniach, o niedającym spokoju zrzędzie wewnątrz mojej głowy, o domniemanych, choć dotychczas nieznanach obowiązkach, które mam wykonać, by przeżyć i ocalić innych. Zapomniałem o tym wszystkim.

Przed nami widniała szara betonowa ściana, z czymś w rodzaju okna pośrodku, wypełnionego również szarą jednobarwną masą. Do czego my... oni się modlą? Nagle napięcie zaczęło delikatnie wracać, dwa liche kaganki, dające dotychczas nieruchome żółtawe światło, zaczęły drgać. Płomień skakał, migotał coraz mocniej, ciął betonową strukturę na drobne kawałki, niby tylko optycznie, ale razem z tym migotaniem nadeszło uczucie znane każdemu, kto przeżył burzę. Niepokój nadchodzącej zmiany. Oczekiwanie na coś innego.

Ściana w środku okna łagodnie zadrgała, pyłek po pyłku, kawałek po kawałku kruszył się beton. Gdy opadł zupełnie, ukazał się, zrazu niewyraźny, później dobrze widoczny kształt. Biała figurka. Wykonana chyba z alabastru albo innej dającej się wygładzić materii. Pojawiła się, ale na nikim nie zrobiło to wrażenia, jakby nikt tego nie zauważył albo wszyscy byli przyzwyczajeni. Spojrzałem na figurkę – młody chłopak, ni to zabity, ni to uśpiony...

Wszyscy trwają w bezruchu, tylko ja jeden wstaję. Jestem jedynym stojącym, wyróżniam się spośród dziesiątek nieruchomych, mamroczących postaci, ale nic mnie to nie obchodzi. Idę. Zbliżam się do tego wykruszonego otworu, do tej statuetki, która działa na mnie jak magnes. Kto to, co to jest? Nikt nie zwraca na mnie uwagi, dotykam opuszkami palców alabastrowej ręki. Raczej rączki, bo figura jest mała, choć posiada proporcje dorosłego człowieka. Coś się w mojej głowie układa, jakiś zagubiony fragment wspomnienia znajduje swoje miejsce. To jeszcze nie cała myśl, nic kompletnego, ale już coś pewniejszego. Punkt zaczepienia. Boże mój, ja go już kiedyś widziałem. A może kiedyś go zobaczę? W duszy, w środku kołacze mi się jakiś obraz, strzęp

obrazu, w którym ten chłopak coś do mnie mówi, uśmiecha się, a potem, potem...

Wszystko urywa się nagle, przed sobą widzę tylko chropowatą betonową ścianę. Odwracam się – żadnych figurek, żadnych modlących się tłumów. Jakaś postać, ledwie widoczna w mdłym świetle kaganków, macha do mnie ręką.

– Chodź! Tu już nic nie ma – znowu ten głos, znowu czuję kompletną bezradność i strach przed tym kimś. Kto to jest? Nie wiem, ale idę posłusznie jak zautomatyzowany piechur. Postać jest w płaszczu i kapturze. Prowadzi do tych drzwi... Nie, tam nie wejść! Za nic! On otwiera je i widzę... Schody? Przecież już tędy szedłem i żadnych schodów nie było! Tylko ten duszny korytarz. Co się dzieje?

Schody ciągnęły się w górę i w dół. Ciąg w górę był rześcicie oświetlony, dół tonął w atramentowej czerni. Obróciłem się, osoba, która uchyliła mi drzwi, odeszła. A może wcale jej nie było? Coś dbało, z drobiazgową dokładnością, o właściwy kierunek mojej dalszej wędrówki – światła wskazywały mi drogę do przodu lub gasnąc, odcinały powrót. Miałem tego dosyć, miałem dość tej ciuciubabki! Co to za cień w kapturze mnie tu wpuścił? Czemu zniknął?!

– Wyłaź, człowieku! Podejdz tu i pokaż się! Kim wy, do cholery, jesteście? – wykrzyczałem cały swój niepokój i bezradność.

– Spokój – usłyszałem.

Odwróciłem się gwałtownie i w tym samym momencie poczułem się słabo. Nadal żyłem, kontaktowałem, ale... słabo.

– Chodź, koleżko.

Coś-ktoś ciągnie mnie za ramię. Chcę powiedzieć „precz z łapami”, ale tytanicznym wysiłkiem woli udaje mi się tylko lekko rozchylić usta. Ciało, twarz, jak z gumy, a może gumki, elastyczne w bezsensowny sposób, nie akrobatyczny, nie pijacki, nie niemowłęcy, po prostu jakieś takie bezwładne – miękka figurka, nieżywa i bezwładna. Prowadzą mnie. Chyba prowadzą, bo ja jedynie obserwuję ruch przedmiotów i ścian wokół. Schody kroczą dumnie, na pewno wolno, więc można

chyba powiedzieć, że dumnie. Otaczają mnie cegły i beton, a ja idę gdzieś z tym kimś-czymś... Co to jest? Dalekie wspomnienie kołacze się w mojej bezmózgiej już chyba głowie: kiedyś tam, może wieki temu, może przed chwilą, byłem samodzielny bytem. Całe otoczenie znowu się rozsypało, ale inaczej niż wcześniej. Linie zaginają się, nie posiadają nagłych załamania, tylko subtelne zgięcia, rozmycia, efekty soczewki, efekty optyczno-zjawiskowe, efekty jo-jo. Efekty, które wcale mnie nie dziwią, choć pierwszy raz w życiu widzę coś takiego. Droga nie ma końca, chyba wiem, co się stało. Chemicznie albo inną naukową sztuczką zwolniono mi życie. Pewnie dlatego, żebym nie uciekł. Wszystko, co robię, jest śmiesznie powolne dla otoczenia. Chcesz uciec, proszę bardzo, do najbliższych drzwi idziesz trzy lata; chcesz się położyć, nie ma problemu, opad na łóżko zajmie cztery miesiące, choć z pomocą naszego pracownika jedynie cztery sekundy. Nic dziwnego więc, że nie wiem, kto ze mną idzie. Obrót głowy zająłby mi co najmniej dwa tygodnie, a ja nie mam czasu do stracenia.

- Ty, nie przesadziłeś? Ledwo łązi - słyszę jakiś drugi głos, znowu dziwny, gadający modulator-oscyloskop. Z czym nie przesadził? Kto? Odpowiedź jest niewyraźna, nie wiem, czy przesadził. Nie dziwi mnie to. Nic mnie nie dziwi. Po tej niekończącej się wędrówce dochodzimy w końcu do jakichś drzwi. Uchylają się, odsłaniają za sobą pomieszczenie, które nie jest ani piwnicą, ani korytarzem. Chcę odetchnąć, ale nic mi z tego nie wychodzi, jakiś ruch w gardzieli bez związku z jakimkolwiek planowym działaniem.

- Chcesz go zabić, idioto! Przecież on nam tu zaraz wykorkuje! - wymieniają grzeczności istoty, o których nie wiem, kim-czym są i czemu ze mną idą lub nie. Wokół ciągną się jakieś ściany, boazeria albo inne nie białe wykończenia, badam wzrokiem przestrzeń i wyczuwam jakąś diabelską sztuczkę. Brak punktu zaczepienia staje się sam w sobie punktem zaczepienia, zgodnie z doktryną satelitarną, w której wszystko się kręci wokół czegoś i zawsze wszystko dąży do jakiegoś epicentrum. Ponure łuki w korytarzach starego domu uginają

się nade mną litościwie, a może z ciekawością. Nie co dzień można zobaczyć spowolnionego z soczewką w oku. Wokół krążą szepty, szmery, drobne, denerwujące zawracacze głowy. Krajobraz wokół to pogięta kartka z neogotyckim wykończeniem. I jeszcze drzwi. Drzwi do dużego pokoju. Chcę policzyć kąty, ściany. Mnożą się, urywają, strzępią w swoim wysiłku zamknięcia przestrzeni. I tak nic mnie to nie obchodzi. Duże okno, za nim – wielkie, depresyjne drzewo. Czemu depresyjne? Odpowiedź w pierwszym momencie wydaje się oczywista, jednakże z każdą sekundą oczywistość ta oddala się, jak Krzychu na skuterze w sobotnią noc. Depresyjność drzewa musi być dogmatem, bo przedyskutowana rozplywa się i niceje. Właśnie tak, niceje. Jak wszystko, co przeżyłem przez ostatnie chwile, lata, od tej piwnicy i tych głosów. Skupiam się na byciu tu i teraz, bo tylko tak mogę przeżyć. Ten stary dom, to depresyjne, powiedzmy, drzewo, stare meble, biblioteka, to się na coś jeszcze przyda, z tego jeszcze coś będzie. Idę dalej. Czy ktoś tu ze mną jest? Słyszę jakieś głosy, szmery. Strumyk pomiędzy kamieniami, a może gdzieś gaz uchodzi?

– Spływamy stąd? – zakomenderował ktoś.

Nasz statek ze spowolnionym na pokładzie zmienił kurs na nieznaną wyspę. Płynę już pewnie, choć dalej wolno. Drzwi, ogród, wieżyczka w rogu willi ze spadzistym daszkiem. Ulica, park, drzewa. Linie się prostują, powietrze już dopływa. Jeszcze żyję.

– Nic panu nie jest. – Jakiś facet z pudelkiem na różowej smyczy z ćwiekami potrząsa mnie za ramię. – Zasnęliśmy błogo, odpłynęliśmy. Pomóc w czymś?

Siada koło mnie, przytula się, pudełek się łąsi, menele machają do nas przyjaźnie, z liści kapie woda, za drzewami tramwaj. Przez chwilę nawet mi się to podoba. Pudelki to jakieś miłe aniołki. Ale ten, to kto? Co jest?!

– Co jest?! Odpierdol się pan!

Facet odchodzi obrażony, poprawia kurtkę, menele machają do nas przyjaźnie, tramwaj macha do nas przyjaźnie. Choć nie, jest tylko za drzewami, niemachający.

Zrywam się na równe nogi. Biegnę, kałuże rozpryskują się wokół, tworząc tłum małych istotek, „hurra” – krzyczą i „aaaa” – umierają w takt – pach, pach, pach, pach – mojego biegu. Chyba mnie coś goni.

Komisarz Wątroba, posterunkowy Chwiejczak i jeszcze kilku funkcjonariuszy podzieliło się zadaniami, które zakładały przeczesywanie parku i okolicy. Cel był jasny; prawdopodobnie kręci się tu podejrzany i trzeba go zlokalizować. Policjanci się rozeszli, Chwiejczak chwilę powstał pod drzewem, podumał nad czymś z zafrasowanym wyrazem twarzy, może nad lekko już zwiędłymi liśćmi, i również się oddalił w parkowe ostępy. Komisarz, jako prowadzący akcję, maszerował po alejkach, starając się utrzymać w miarę jednakową odległość do podwładnych w terenie. Na wszelkich patrolach zawsze wysyłał najpierw swój brzuch, zwalisty przód ciągnął za sobą resztę, torował drogę, ostrzegał w porę cichym syknięciem przed niebezpieczeństwem. To oczywiście była tylko metafora, opisująca jego otyłość i słoniowaty sposób poruszania się.

Komisarz był tłusciochem z krwi i kości, nie panem z brzuszkiem lub ofiarą bożonarodzeniowego obżarstwa. To był jego styl i znak rozpoznawczy. Opinie kolegów policjantów również bazowały głównie na jego wyglądzie, ciężko było się odnieść do intelektu, urody lub uroku osobistego, mając przed sobą kogoś takiego. Grubas – niezdarą, obżartuch – stara pierdoła. Tego typu uwagi sprawiały mu kiedyś dużą przykrość. Ludziom wydaje się, że wraz z przyrostem warstw tłuszczu i lat ubywa wrażliwości oraz ludzkiej godności. Innymi słowy gradacja przebiega w następujący sposób: na początku drobny, wrażliwy młodzieniec; potem pojawia się etap wesołego, wyluzowanego grubaska; po nim nadchodzi podstarzały, zmanierowany dziwak; na koniec – tłusta, bezduszna kanalia, jako najwyższy stopień

zdehumanizowania. Wątroba przejmował się tym do czasu. Wyjechał kiedyś do Stanów Zjednoczonych na zaproszenie ciotki. Pobyt tam nauczył go, że wcale nie jest najgrubszy, co więcej, gdyby się dobrze zakręcił, to mógłby wejść w towarzystwo, które w jego kształtach widziałyby urok nieomal Rudolfa Valentino. Po kilku upojnych nocach Wątroba stał się innym człowiekiem. Nawet teraz, po kilku latach, wciąż miał przed oczami widok swojej krągłej osoby wijącej się przy rurze w nocnym klubie w samych srebrnych stringach i czapce nowojorskiego policjanta. A wokół niego skandował tłum rozentuzjasmowanych dziewczyn, każda po sto pięćdziesiąt kilo. I wprost pożerały go wzrokiem. Pamiątką po tym okresie był zestaw monstualnych w rozmiarach koszulek z napisem „I’m fat. I’m the best”, kilka zdjęć na dnie szuflady oraz poczucie własnej wartości. Poza tym coraz większa dostępność w Polsce fast foodów, batoników i wszelkich szybkich zapychaczy sprawiła, że mógł się z roku na rok czuć coraz szczuplejszym w porównaniu ze statystycznym obywatelem, zajadającym życiowe stresy na kanapie przed telewizorem lub komputerem.

Patrol przebiegał bez większych zakłóceń. Raz natknął się na ekshibicjonistę o wystraszonym, sarnim spojrzeniu. Ten otaksował go wzrokiem, machnął ręką z rezygnacją i odszedł w swoją stronę. Trzy razy wpadł na Chwiejczaka, który wyglądał trochę, jakby był w malignie. Widząc go maszerującego z dziwnym wyrazem zadumy na twarzy, miało się poczucie obserwowania wałęsającego się bez celu ojca rodziny, słomianego wdowca, którego przyległości wyjechały na wakacje, a on teraz nie wie, co zrobić ze swoją nagle odzyskaną wolnością. Raz spotkał innego funkcjonariusza sprawiającego podobne wrażenie, dotkniętego syndromem poszukiwania sensu w życiu.

Wątroba nie przerywał wędrówki. Idąc na przełaj, doszedł w okolice małego betonowego placu okolonęgo ławkami zdobnymi w łuszczącą się farbę – żółtą, zieloną i niebieską powłokę, wyznaczającą upływ lat tych sprzętów i ich użytkowników. A tych nie zabrakło również dzisiaj.

Wokół dwóch ławek tłoczyła się grupa osób, w której tradycyjnie rej wodził Stalowy. I tradycyjnie cała ich troska kręciła się wokół tematu alkoholu. Jak go zdobyć, spożyć i skutecznie zwalczyć kaca kilka godzin później, i tak bez końca. Postronny obserwator mógłby odnieść wrażenie, że to ich żywioł i jedyne miejsce, gdzie są naprawdę u siebie. Jakby się tu urodzili, w pierwszych słowach zakwili o łyk wódki, a potem dorastali pośród tych zarośli, uzależnieni od codziennej lufy, i tak pomrą, mniej lub bardziej marnie.

– No to bum! – Wszyscy odchyliłi głowy, plastikowe kubki uniosły się jak w surrealistycznym filmie. Aktorzy odgrywali te niby prozaiczne scenki, które wyrwane z kontekstu zaczynały żyć własnym, pogmatwanym życiem. Wyobraźcie sobie, że człowiek zastyga w takiej pozycji na resztę swoich dni. Będzie ugotowany. Patrzy mętnym wzrokiem w przestrzeń nieba, utrzymuje podłużny kształt w nieergonomicznej pozycji przy ustach. Do tego stęka, traci równowagę, ma złe chwile, nie widzi sensu w życiu i zalewa robaka. Jednak oni wcale się nie przejmowali tym, że są ilustracją wszystkich tych złych chwil i upadku Człowieka przez duże CZ. Wątroba obserwował to towarzystwo i zastanawiał się, czy im tego nie powiedzieć, uświadomić ich bylejakość i mierność wobec wyzwania współczesności. Po chwili machnął ręką. Co to da? Najwyżej kolejną awanturę.

Na ławeczce dyskusja wrzała.

– Panowie! O, w mordę! Świat pomimo mroków nocy stał się opty... optymiast... no, tego, lepszy – perorował Stalowy, wpatrzony błyszczącym wzrokiem w przestrzeń między koronami drzew.

– Boś się uchłał, jak co dzień zresztą! – odpalił mu Waldziu.

– Co? Że niby ja? Ja i Pająk, my nigdy się nie uchly... uchlo... znaczy nigdy się nie upijamy. My de-gu-stu-je-my! – Stalowy jakimś cudem wymówił to słowo.

– Degustujecie?! Zalewacie ryje, czym popadnie! Jakby psy sikały wódą, to byś za nimi latał z kubkiem! – Waldus ryknął śmiechem.

– Ożeż ty! Jak cię... – Tradycyjnie dla tego typu spotkań doszło do bójki. – Już ja cię załatwię!

I, jak to często bywa z kolegami od kieliszka, zaczęli się walić po mordach i tarzać po ziemi w „przyjacielskich” zapasach. Wątroba westchnął znudzony, znał takich typków jak własną kieszeń. Przemądrzałe, nic niewarte wraki życiowe, siła napędowa monopolu spirytusowego. Poczekał jeszcze chwilę, żeby zobaczyć, kto wygra. Walka, po wstępnej ostrej fazie, szybko straciła cały rozpęd. Stalowy Kazek siadł obok Waldeka na trawie i zaczął wycierać zakrwawiony nos chusteczką. Szlochał. Waldek jęczał obok na ziemi.

– Mój bark, wybiłeś mi go, idioto! – Okazało się, że Waldek odniósł kontuzję ortopedyczną w tym krótkim, lecz intensywnym boju.

– Przepraszam, jestem do niczego, masz rację... – chlpał Stalowy pograżony w nagłej rozpacz i poczuciu beznadziei własnej egzystencji. Najwyraźniej u niektórych wściekłość od rozpacz dzieli tylko mały krok.

– Kurwa, co ja teraz zrobię? Muszę na pogotowie...! – Waldek miał konkretny problem. Ale Stalowy skupiał się jedynie na sobie. Nie zważał na fakt, że stał się przyczyną czyjejs chwilowej niedyspozycji.

– Masz rację, gdyby sikały woda, to bym latał z kubkiem, a może z miską... – biadolił piskliwym głosem.

– Nie mogę ruszać ręką, pomóżcie mi wstać! – próbował wstać z ziemi Waldek, ale unieruchomiona ręka i pół litra wódki w głowie skutecznie to utrudniały.

– Nawet matkę bym sprzedał za butelkę żytniej. – Stalowy płynnie przeszedł w opisie samego siebie od psów do matek, wszystko w podobnych klimatach. Po chwili jednak zreflektował się, jakie głupoty wygaduje. – Nie, matkę minimum za dwie flaszki.

– Weź, skończ. Trzeba mu pomóc! – warknął w końcu Pająk, widząc, że ich samozwańczy szef załapał niespodziewanego doła i będzie ich bez końca zadreślał opowieściami o własnej beznadziei.

– Jestem skończony, zabijcie mnie... – szlochał Kazek, nie zważając na żadne uwagi i przywoływanie do porządku.

Być może Wątroba trwałby dalej przy tej tragikomedii, obserwując, jak małowówny Pająk nastawia Waldkowi bark poprzez włożenie ręki między dechy ławki i silny kop w ramię. I widziałby, że w wyniku pijackiego braku równowagi nie udało mu się to ani za pierwszym razem, ani za drugim. Usłyszałby Waldka, ryczącego przy tym z bólu jak ranny zwierz. A w międzyczasie wyzywającego od idiotów i skurwieli nie tylko Kazka, ale także Pajaka i wszystkich na świecie, za co dostałby dodatkowy wpierdol od kolegów. A potem zaobserwowałby udane nastawienie kończyny przez domorosłego ortopedę oraz dalszą konsumpcję alkoholu, zakończoną brataniem się, całowaniem i całkowitym wybaczeniem słów i czynów ze wszystkich stron. Ale nic z tego nie zobaczył, bo biegł już gdzie indziej. W stronę cichych odgłosów, które co prawda nie docierały do uszu uczestników pijatyki, zaaferowanych własnymi problemami, ale zdołały zaalarmować czujnego Wątrobę.

Znowu ten przeklęty park. Czas jest jak najgorszy wróg. Po cichu, po cichu rozwija się, zatacza koło, niepostrzeżenie robi pętlę i zaciska ją na szyi. Jestem bezbronny wobec tego, wobec wszystkich. Ale nie dostaną mnie łatwo. Już wiem, że cały czas ktoś mnie obserwuje i chce, żebym robił rzeczy, których dobrowolnie nigdy bym nie zrobił. Dlatego ten ktoś mnie prześladuje, wpuszcza w ślepe uliczki, denerwuje, żebym nie wytrzymał i...

Ale ja mam swój rozum, nie mogę być jak ślepe narzędzie w nieodpowiedzialnych rękach. Muszę znaleźć tamten dom, muszę tam wrócić, zacząć rozwiązywać zagadkę, znaleźć wyjście z labiryntu, do którego zostałem wpuszczony jak szczur laboratoryjny. Gryzoń tu dostaje prądem, tam wałą go pałą, a na końcu mierzą poziom adrenaliny czy innej syfyny. „Po trzech uderzeniach pałą i jednym porażeniu prądem zmiennym 110 wolt szczur się boi, że dostanie pałą

lub prądem” – zapisuje uczony i dostaje za dwa lata Nagrodę Nobla za dogłębne badania nad modelem reakcji kręgowców na długotrwałe bodźce mechaniczno-elektryczne w zamkniętych środowiskach naturalnych. A ja muszę znaleźć ten dom, muszę iść tam, gdzie biją, straszą i robią krzywdę, bo tylko tam znajdę drogę wyjścia z tej pułapki. Przed oczami miałem tłum pleców, modlący się do betonowej, kruszącej się ściany z alabastrowym posążkiem. Widziałem ich wszędzie, układali się w tysięczne warstwy, piętrzące się pod niebo, zamykające mój świat w studni jakiegoś pieprzonego powołania, którego ni w ząb nie mogłem zrozumieć. Cały świat układał się w kształt studni, na której dnie stałem ja, po kolana, po pas, w końcu po szyję w wodzie.

– Chcę wyjść! – wrzeszczałem, ale studnia, choć wszystko słyszała, tylko rosła i powtarzała wilgotnym echem:

– Wejdz, chłopaku.

Świat znowu rozsypuje się na drobne kawałki. Odłamki ranią mi nogi, serce, duszę, drobne kruszyny osiadają na oczach i nie dają się zetrzeć. Gdzie to miejsce? Muszę tam dotrzeć. Zrobię wszystko, żeby się wydostać z tego bagna. Biegnę, ile sił w nogach. Chcę uciec z tego parku, z tego bezlitosnego miejsca.

Wtem słyszę jakieś głosy, szelest liści, szybkie kroki, oddechy. Wiele osób.

– Stój, skurwysynu!

Grupa mężczyzn zabiega mi drogę, roztrącam nich, nie zatrzymuję się, nie wiem, co się dzieje, ale teraz biec znaczy żyć.

– Stój!

Znowu wrzaski, inni biegną z boku, wpadam pomiędzy trzech stojących w alejce. Uderzają mnie czymś, ostry ból przenika moje ramię, mijam ich. Gonią mnie.

– Skurwysynu! – wyję jak ranny zwierz. Wiem, że tylko ucieczka mnie uratuje.

- Policja! Stać! Co tu się dzieje?! - Wątroba wytoczył się z ciemnego listowia prawie równo z wybudzonymi z letargu funkcjonariuszami i Chwiejczakiem. Z trudem łapał oddech po biegu, którego nie zażywał od dobrych kilku lat. Trenował w innych dziedzinach, które nie miały wiele wspólnego ze sportem.

- Mieliśmy go, prawie go mieliśmy! - wrzeszczał jakiś brodacze w powyciąganym na wszystkie strony, brudnym dresie. - Mieliśmy go, ale spierdolił!

Wątroba rozejrzał się, wokół otaczały go brodate twarze. Towarzystwo, nawet w słabym świetle latarni, na romantycznym tle gwiazdzistej nocy, wyglądało na to, czym w istocie było: bandą zbieraczy złomu i bezdomnych włóczęgów.

- Bo my, panie władzo, jak Zenka pobił, to żeśmy go szukali po tym parku i już prawie go mieliśmy, ale sp... - tłumaczył sytuację człowiek, którego kilka godzin wcześniej przesłuchiwał Chwiejczak.

- Tak, słyszałem, uciekł - mruknął Wątroba. - W którą stronę? To na pewno on?

Potaknęli i machnęli rękami, wskazując drogę ucieczki, a policjanci zaczęli truchtać we wskazanym kierunku. Po chwili zobaczyli jakiegoś człowieka w mdłym świetle latarni na końcu alejki.

- Za nim! Ale cicho! - syknął Wątroba, rozpoczynając tym samym obławę na poszukiwanego.

- Tak jest! - wrzasnął służbiście Chwiejczak.

- Cicho, idioto! - skarcił go komisarz. Najwyraźniej dyskretnie akcje nie były mocną stroną Chwiejczaka i prowadzonego przez niego oddziału.

Rozdzielili się na trzy grupki; jedna podchodziła z lewej, druga z prawej, a trzecia, ta z Wątrobą, zmierzała środkiem w stronę podejrzanego. Byli już blisko, już prawie w odległości umożliwiającej sprawne ujęcie poszukiwanego. Wtem gdzieś w krzakach trzasnęła gałązka pod nogą policjanta, ktoś zaklął zaplątany w jeżyny, inny ktoś

syknał uspokajająco, czyjś telefon zaczęła dzwonić i rozeszło się piękne, polifoniczne „Dla Elizy”. Innymi słowy – pełna amatorszczyzna. Osobnik na końcu alejki drgnął, nerwowo rozejrzał się dookoła i zaczął biec.

– Za nim! Stój! Policja! – wrzeszczeli jeden przez drugiego, wypadając z krzaków, potykając się o korzenie i walcząc z nisko zwisającymi gałęziami, ale on się ani myślał zatrzymać. Uciekał jak szalony.

Najwyraźniej goniony znał park jak własną kieszeń, wpadał w krzaki i wypadł przez rzadsze listowie z drugiej strony, przedzierał się na skróty, ale nie ugrzązł w żadnym miejscu. W końcu wykorzystali przewagę liczebną, po kilkuminutowej gonitwie Chwiejczak w przeblysku geniuszu tak rozstawił ludzi, że gagatek, niczym zaszcute na polowaniu zwierzę, wpadł w ramiona Wątroby.

– A... to ty? – Komisarz popadł w najwyższe zdumienie po ujrzeniu znajomej twarzy. Tulił w ramionach zapoznanego przed godziną ekshibicjonistę.

– Ja – przyznał niepewnym głosem złapany, nie bardzo wiedząc, jak się zachować w takiej sytuacji.

– Powiedz „martyrologia” – niespodziewanie zażądał Wątroba.

– Maryna... matry... ma... – jąkał się facet, całkowicie zbity z pantafelku. Słowo za Chiny nie chciało się sklecić.

– To powiedz „mur i krótka krowa”.

– Mur i krótka... Kto wy, kurwa, jesteście? Jakaś sekta z dobrą dykcją? Czego chcecie? – zdenerwował się złapany.

– Krótka krowa! Albo na komisariat! – Ultimatum Wątroby było bezdyskusyjne.

– Krótka kro... ale krowa jest dość długa. Czego chcecie? – wątpił w wymiary krowy ujęty ekshibicjonista.

Wątroba puścił go, westchnął i machnął ręką z lekceważeniem.

- To nie ten. Zresztą trochę znam faceta, jest z całkiem innej branży
- oświadczył pewnym głosem.

Następnie Wątroba rozchylił poły swego słynnego płaszcza, wypiął potężne brzuch i zakolysał biodrami jak turecka tancerka, korzystając z doświadczenia zdobytego podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych. Wyraźnie improwizował standardowe zachowanie ekshibicjonisty, ukazującego się przypadkowym kobietom zza krzaka. Wszyscy funkcjonariusze zarżeli ze śmiechu, ujęty został wypuszczony i uciekł pośpiesznie, wielce zmieszany bezwstydnym zachowaniem Wątroby.

- Panowie, nim udamy się do domu, jeszcze godzinkę kontynuujemy poszukiwania. Choć sądzę, że w tej okolicy już nic ciekawego nie znajdziemy - zakomenderował na koniec akcji komisarz.

„Oprócz zastraszonego ekshibicjonisty, bandy złomiarzy mścicieli oraz pijanych meneli bawiących się w ortopedów” - dodał w duchu i pomyślał, że takiego burdelu to nie ma nawet w senegalskim parlamencie.

Mzemulu Kumaka patrzył zgorszony na swoich funkcjonariuszy. Senegalska policja po trzech godzinach pościgu straciła z oczu Mohake, mordercę, który uciekając, dotarł aż tu, do slumsów Dakaru. A ponieważ czuł się w nich jak ryba w wodzie, to w tej „wodzie” po prostu się rozpląnął. Kilku miejscowych włóczęgów siedziało na ziemi w cieniu blaszanych dachów tutejszych chatynek i piło wódkę zrobioną ze zgniłych daktyli, serwowaną w starej blaszance po oleju samochodowym Castrol. Dzieci biegały, klnąc i zaśmiewając się do rozpuku, rozbawione swoim brzydkim zachowaniem.

- Straciliście go, palanty! Takiego burdelu nie ma nawet w polskim parlamencie, jutro pogadamy, teraz do domu, już czwarta!

Można sobie wyobrażać różne trudne sytuacje: brak wody, brak jedzenia, brak snu, ale brak powietrza jest czymś najtrudniejszym do

wyobrażenia, bo organizm nigdy się nie zgodzi na jakieś testy w tym względzie. Mnie właśnie brakowało powietrza i ciało dopytywało się, o co, kurwa, chodzi, gdzie tlen, dwutlenek węgla i azot. Ucieczka powiodła się, ale stres, wysiłek i panika przeobraziły mnie na chwilę w przerażonego człowieka jaskiniowego, który nic nie wie i tylko ucieka. W końcu padłem bez tchu na trawę i próbowałem znowu żyć. Życ w sensie biologicznym, oddychać, czuć, słyszeć, widzieć. Na razie się nie udawało, nic z tego. Byłem jak stara zużyta opona; facet pompuje ją od pięciu minut, sprawdza co chwilę, czy choć trochę stwardniała, i pompuje dalej, klnąc pod nosem.

Po długiej chwili coś jednak zaskoczyło. Widziałem już gwiazdy, czarne korony drzew na tle czarnego nieba, czarne źdźbła trawy, czarne krzaki pochylające się nade mną z ciekawością, a może lękiem. Wszystko było czarne, a jednak to widziałam i rozróżniałem. Do niczego te nazwy kolorów. Człowiek nie żyje w ciemności, więc w mowie czerni dla niego jednaka, ale to nieprawda, czerni ma wiele odcieni. Leżałem tak jeszcze trochę, rozumiejąc coraz więcej. Nie miałem pojęcia, kto mnie goni, dlaczego, gdzie jestem, kto mnie w to wrobił, wiedziałem jednak coraz więcej, gdzie głowa, a gdzie nogi, co to życie, co śmierć. Z każdej sytuacji można wyciągnąć naukę, a przede wszystkim świadomość tego, kim się jest albo na pewno nie jest.

Po dodatkowych kilku minutach lenistwa wstałem, otrząsając się z ziemi, resztek trawy, szczypiących mrówek i uciekłem, oglądając się ciągle za siebie. Miałem dużo szczęścia, znowu byłem na skraju, na granicy przetrwania i udało się. Komu to zawdzięczam? Bo przecież nie sobie. Czuję, że nie jestem sam.

Idę przez to jakby zapomniane miasto. Deszcz, lekka mżawka oblepia mi czoło, oczy, ręce, chce mnie przytrzymać, pobawić się, odwrócić uwagę. Stare wille, wiekowe drzewa, wszystko pochyla się nade mną, pytając, kim jestem, jakim prawem wchodzę w ten dawny, zamknięty krąg. Już wiem, że muszę być odporny, że przyroda i ludzie to

wrogowie, a sprzymierzeńców tu nie mam. Rozglądam się wokół, czarne kształty na tle czarnego nieba. Skąd wziąć informację, jak trafić na ślad, na nitkę Ariadny, która poprowadzi mnie do tego przekłętego miejsca, gdzie wcześniej powiodły mnie, a potem wywiodły na zewnątrz owe tajemnicze złe siły? Szukam w otoczeniu elementów tej układanki jakiegoś rysu, linii, czegoś, co by dało początek, powiedziało, że tak, tu się zaczyna twój ślad. Krzywizny dachów, na czas snu otulone czarną watą, kołyszące się cienie rączek drzew, chybotliwy świetlny kształt przecinany momentami czerni niemal absolutnej. Brak pewności, ale i paradoksalnie pełnia pewności, że gdzieś tu drzemie to, czego szukam. Domy zapadły w swój murowany, solidny, stuletni sen, bez radości, bez współczucia, ale i bez satysfakcji z otoczenia. Rozglądam się wokół, pewności mam coraz mniej, wspomnienia z niedawnej przecież przeszłości zacierają się, jakby wydarzyły się wieki temu. Raz po raz mechanicznym ruchem przecieram czoło. Nienawidzę mżawki. Porządny lejący strugami deszcz to życie, energia; teraz idę na śmierć, wszystko mi to mówi, nawet ta cholerna mżawka. Znowu rozglądam się wkoło i widzę tylko szare, nieznanne mi kształty bez życia, bez znaczenia. Patrzę i widzę, że droga, którą idę, wcale nie jest lepsza i bardziej prawdopodobna od innych, gubię się...

Wtem moją uwagę przykuwa ruch gałęzi dużego drzewa, ruch czarnego kształtu na tle czerni muru, niby nic nieznaczący, ale coś mi mówi. Podchodzę bliżej... nie, pomyłka, bez znaczenia, przypadkowy refleks. Odchodzę. Kątem oka wciąż widzę ten kształt, coś mi przypomina, to musiało być niedawno, to musiało być coś... Zastygam na moment, potem znowu zaczynam wolno iść, studiując wciąż obraz ciemnego kształtu. Kolejny fragment wspomnienia opada na swoje miejsce, znajduje logikę i związki przyczynowo-skutkowe. Tak, widziałem to już. Sen, przywidzenie, przepowiednia albo byłem tu naprawdę, kilka godzin temu, może kilka lat temu. Staję, by zanalizować swoją pozycję.

- To musiało być tak, właśnie tak - mruczę coś, a w myślach maluję linie stąd do czerni w oddali, do tej czarnej dziury, która mnie przyciąga. Już wiem! Już znam kierunek, to nie może być daleko. Rejestruję swoje ustawienie, swoją drogę, ale wstecz, bez kierunku w przyszłość, spoglądam w przeszłość, szukając tego, czego już nie ma. Ten obraz, wywołane przez niego skojarzenia, dają mi nowy impuls. Domy, czerń nocy nie są już złowrogą makiętą, gąszczem, stają się obojętnym tłem, tekturowym przepierzeniem oddzielającym ładną wystawę od zakurzonego składziku. Idę coraz szybciej, zapadam się w tę czarną dziurę bez planu, bez opamiętania. Biegnę. Moje kroki, echo moich kroków, echo echa, pach, pach, pach, zatruwają czarną ciszę, czarną watę, która już miała wszystko otulić.

Nagle staję. Linia zdaje się świecić prosto, prowadzić bez kluczenia, bez zbędnych zagadek. Niebezpiecznie, za łatwo, zbyt prosto to wszystko wygląda. Jeżeli coś jest proste, to oznacza zazwyczaj kłopoty albo nieoczekiwane wydarzenia. Zza rogu wychodzi wielki jaszczur i zbliża się do moich stóp, bada je długim językiem, bada długo. Boję się ruszyć, nie znam się na takich zwierzętach, na takich zjawiskach. Kto go przysłał, kim on jest? Odwraca się, człapie w swoim kierunku. Schodzi z linii światła i co chwilę sprawdza tym jaszczurczym łbem, czy idę. Idziemy razem. Ja i... kto? W moim mózgu panuje zamęt, walczą zbrojne orszaki: wątpliwości, radość, uniesienie, przerażenie. Jednak idę.

Komisarz z każdą chwilą stawał się coraz bardziej niecierpliwy. Jak mógł się dać tu zaciągnąć i za własne pieniądze wysłuchiwać tych bredni? Śniada kobiecina w kolorowej chustce na głowie, z haczykowatym nosem cały czas mówiła. Bardziej do siebie niż do niego, jakby komentując coś i narzekając na psi los czekający jej klienta. A on, Wątroba, pilnie nadstawiał uszu, żeby z tej paplaniny w łamanej polszczyźnie wydobyć choć cień konkretnej informacji. Wydawało mu się to zadaniem niewykonalnym. Po co tu przyszedł?

- Dobra, dość tych bredni, oddawaj pieniądze! Jaszczur prowadzi mordercę. Jaki znowu jaszczur? Linia światła prowadzi w zło, w pułapkę. Szatan, który wszystko wie i pokonuje dobro. Może jeszcze stary dzwonnik, Piękna i Bestia razem z Panem Tadeuszem tańczą, a Babilon płonie, ha, ha, ha! Nie, to się wszystko kupy nie trzyma! - nie zdzierzył nawałnicy dziwnych słów wróżki. Jednak kobiecina nie dała się zbić z pantafelku. Zbyt długo siedziała w tym biznesie, żeby zastraszył ją byle grubas w kapelusiku.

- Dobry pane, cyganka wie, cyganka widziała, szukają go, ale jego nie ma, idzie tam, co chwila jest bliżej. Słuchaj pane, nie rezygnuj z poszukiwań, bo będzie nieszczęście - kontynuowała mamrotanie, sondując spode łba reakcję klienta. W tle zaskrzeczał jakiś ptak za oknem. Wątrobie zrobiło się nieswojo. Łypnęła na cygankę niechętnym okiem.

- Czyli co? Gadaj jaśniej! - warknęła ponagląco, wyglądało, że był już nieco udobruchany.

- Dobry pane, cyganka nie wie wszystkiego, cyganka widziała tylko, że morderca, opętany, zły i niedobry, idzie do swojego celu, do przeznaczenia. - Baba kontynuowała swoje jak katarynka.

- Ja też idę do przeznaczenia i nikt nie robi z tego halo. A morderców to u nas jak psów, policjant przyzwyczajony. - Przepowiednia jednak nadal nie spełniała standardów policyjnej informacji.

- Ty, dobry pane, ty wiesz, że z małych rzeczy duże nieszczęścia mogą wyrosnąć, ty mądry. Szukaj go, bo gdy mu się uda, to kłopot też dla ciebie będzie. - Kobieta nie ustawała w czarnowidztwie i szukaniu dziury w całym.

Po tych słowach popatrzyła badawczo na Wątrobę; wiedziała, jak zaciekać klienta. Może jeszcze dorzuci z dyszkę?

- Jaki znowu kłopot? Coś tam zobaczyła w tych chmurach? - Istotnie się zaciekawiał.

- Tajemnica i ty, który masz rozwiązać tę tajemnicę, i inni, którzy ci nie pomogą w rozwiązaniu tej tajemnicy...

- Tak, tak, i tajemniczy jaszczur, który skrywa tajemnicę w tajemniczym schowku na tajnym zebraniu tajniaków. Do luzu z taką przepowiednią. Żegnam! - Wątroba najwyraźniej miał dość. Zerwał się i wyszedł.

Odszedł szybkim krokiem, cyganka splunęła za nim i przeklęła go w swoim tajnym języku. Wątroba już chciał jej pokazać, że nie życzy sobie takiego zachowania, ale w końcu stwierdził, że nie chce mieć na głowie całego mszczącego się za zniewagę taboru i dał spokój.

- Morderstwo już postanowione, chcesz czy nie, kupo sadła! - mruknęła baba, zawiedziona brakiem premii za ciekawe wizje, a kruk za ścianą zaskrzeczał ponownie na potwierdzenie tych słów.

Idę przez tę ciemność, prowadzi mnie mój przewodnik, nie wiem już, gdzie jestem i kim jestem, ulice, domy, wszystko zlewa się ze sobą i otacza mnie szarą masą. Mam wrażenie, że niebo sklepiło się na stałe z ziemią i kroczę w takim ni to stałym, ni to płynnym otoczeniu. Myśli płyną bystrym potokiem przez moją głowę, dostarczając ciągi, strzępki, zlepkę informacji, których nie potrafię na razie złożyć w sensowną całość. Idziemy dalej, niby nic się nie zmienia, ale jednak z każdym krokiem układa mi się z tych strzępów plan, tyleż nierealny i straszny, co szczegółowy. Dziwne...

Spojrzałem na zwierzę, ono spojrzało na mnie, i wtedy zrozumiałem. To nie było przypadkowe, to nie był mój przyjaciel, ktoś dobry, to... on mówił, myślał w mojej głowie! Przez niego tu jestem i tylko on mnie uwolni od siebie. Bo ja nie mam na tyle siły. Przeraziłem się. Wtem stanęliśmy. Rozglądałem się wokół, sklezione niebo i ziemia otaczały mnie zwartą masą. To był najgorszy moment w moim życiu, czułem się jak pogrzebany żywcem. Nigdy nie doświadczyłem takiego stanu, bez możliwości oddechu, ruchu, myśli. Zostałem spętany, choć

nikt mnie nawet nie dotknął, przez chwilę dusza szamotała rozpaczliwie, ale w końcu i ona poddała się temu stanowi śmierci i jakiejś kary za straszne grzechy. Docierało do mnie tylko jedno przesłanie; mówiło, że jestem narzędziem w ręku wielkiej siły, kazało mi zabić. A potem wszystko ucichło. Na zewnątrz, bo w środku zamęt myśli osaczał mnie, czyniąc zgiełk nie do zniesienia.

Niebo powoli odkleiło się od ziemi, pusty pas pomiędzy wypełniły odgłosy, budynki, powietrze. Byłem znowu sam, odetchnąłem. Wydawało się, że jestem już martwy, a powstałem, byłem na skraju, ale zawróciłem. To był pokaz siły, jak również tego, co mnie czeka, jeżeli nie będę posłuszny, jeżeli zawiodę. On nie pojawił się tu przypadkowo, on nie pojawia się nigdzie przypadkowo. Jest w każdym z nas, ale zazwyczaj nie potrafi się uwolnić. Czeka na odpowiedni moment, na chwilę słabości lub nieuwagi. Jednak kiedy się już z kogoś wyrwie, wtedy biada takiemu. Skazanemu na wieczną walkę i wieczne zło.

Przed sobą ujrzałem wielki przedwojenny dom z wieżyczką na rogu i starym ogrodem, gdzie w swym majestacie szarości i czerni kołysało się drzewo. Depresyjne drzewo. Czemu depresyjne? Nie wiem, tak mi się skojarzyło, a gdy tylko chciałem to skojarzenie zdefiniować, uchwycić, zaczynało się wymykać z rąk. Depresyjność i definiowalność były nawzajem wykluczającymi się zjawiskami. Im więcej jednego, tym mniej drugiego. Dotarłem tam, gdzie mnie posłano i gdzie się dokonało to, co dla mnie przygotowano.

Komisarz stał przed grupą swoich podkomendnych. Chwiejczak, Wróżka i jeszcze kilku innych wpatrywało się w pucułowate oblicze, zadając sobie pytanie, co jest tak pilne, że musieli rzucić wszelkie zajęcia i stawić się bezzwłocznie na odprawę.

- Panowie, dostałem cynk! Morderca, zły i niedobry, idzie ku przeznaczeniu, prowadzi go szatan po linii światła i nikt nam nie pomoże w rozwikłaniu tajemnicy. Zadania na dziś: zdefiniować

przeznaczenie, odkryć i ująć mordercę, odkryć i ująć szatana, zlikwidować linię światła, o ile stwarza jeszcze zagrożenie. Są pytania? – przedstawił z całkiem poważną miną ich losy na najbliższe kilkanaście godzin.

Na odprawie zapanowało głucho milczenie. Wątroba był znany ze swego specyficznego poczucia humoru i nieraz wydawał podwładnym polecenia w formie przypowieści, anegdoty lub quizu. Tym razem informacja była sucha i jedynie w słownictwie odwoływała się do jakichś alegorii lub wierzeń. Policjanci nie wiedzieli, co z tym fantem zrobić. Pomimo że nic nie odpowiedzieli, to panująca cisza była jednym wielkim znakiem zapytania.

– Że jak, szefie? – wydukał w końcu Chwiejczak. – Legitymować każdego czy przeprowadzić wizję lokalną? Mamy rysopis tego mordercy lub szatana?

– Pewne dobrze poinformowane źródła przekazały mi informację, że osobnik, którego usilnie szukaliśmy wczoraj w parku, posiada zamiary zbrodnicze. Wymknął się nam i musimy naprawić to zaniedbanie, zanim będzie za późno. Trochę o nim wiemy, mamy przybliżony rysopis, znamy charakterystyczną wadę wymowy oraz z grubsza okolicę, w której przebywa. Druga część to wyraźna wskazówka, że na działania tego człowieka wpływają inni, siły wyższe, ktoś nim manipuluje, być może go szantażuje albo poddaje czemuś w rodzaju hipnozy. W każdym razie motyw potencjalnej zbrodni prawdopodobnie nie będzie jednoznacznie związany z osobą mordercy. To swego rodzaju najemnik.

Policjanci odetchnęli, słowa komisarza stały się teraz dużo bardziej zrozumiałe, bez alegorii, bez niejasnych prorocत्व. To do nich docierało. Sytuacja się nieco wyjaśniała. Jest typ, który pod wpływem innych typów, może nawet tych z mafii paliwowej, kombinuje, jak spuścić do dołka jeszcze innego typu. Jest zmotywowany i nie da się łatwo zastraszyć. Zasadniczo ma w dupie etykę z filozofią oraz ochronę praw obywatelskich. Nie zbiera makulatury ani kapsli na akcje wspomagania

porzuconych psów w schronisku, babci by nie przeprowadził przez jezdnię ani nawet by jej drzwi nie przytrzymał. Ponury i odrażający drab, których pełno się tu kręci i do których byli przyzwyczajeni.

– Kogo chce zabić ten milusiński? – padło fundamentalne pytanie.

– Nie wiemy, musimy to odkryć i dotrzeć do ofiary przed mordercą – wyjaśnił Wątroba z niewinną miną.

Rozdano kopie rysopisu, sporządzonego na podstawie zeznań brodaczy-meneli, wyznaczono obszary poruszania się podejrzanego, rozdzielono zadania. Wątroba zakończył spotkanie. Policjanci się rozeszli, a on już się brał za rozpakowywanie swojej codziennej porcji bułek z pasztetową, kiedy podszedł Chwiejczak.

– Panie komisarzu, tak sobie pomyślałem. Może to źródło, to, o którym pan wspominał, wie coś o potencjalnej ofierze? Może dorzuci jeszcze garść informacji? W ogóle kto to jest? Jakiś nasz wywiadowca? Tajniak? Zakonspirowana wtyczka? – dopytywał się jak zawsze rzeczowy i akuratywny posterunkowy.

– Lepiej żebyście nie wiedzieli, motywacja by wam spadła. Ale dzięki za pomysł. – Komisarz nie mógł mu przecież nic powiedzieć o wróżbach cyganki. Dbał o swój autorytet i image zawodowy.

Przez twarz Chwiejczaka przemknęła chmurka zawodu i zdziwienia. Jednak szybko się opanował, zasalutował, stuknął obcasami i odmeldował do wyznaczonych zadań.

Komisarz stał w oknie, żując swoje bułki. Patrzył na krzątających się funkcjonariuszy, którzy rozchodzili się w teren, dzierżąc rysopisy. I przyszło mu do głowy, nie wiadomo skąd, że to wszystko jest zupełnie nic niewarte. Gdyby leżeli na trawie, jedli bułki z pasztetową, a później ciszę zakłócałyby jedynie miarowe oddechy śpiących i chrapanie, to spodziewany efekt śledztwa byłby taki sam, a może lepszy. Przynajmniej najedliby się i wyspali.

„Ech, starzejesz się, motywacja i wiara w ludzi ci siada” – skarcił się w duchu, a potem zripostował w myślach, że wiara w ludzi siadła mu

jeszcze w czasach dinozaurów, a o motywację to komenda nie dbała nigdy.

Akcja przyspieszyła, mam przed sobą to miejsce, zgubę moich myśli. Tak, to tu. Przeprowadzili mnie tu, a teraz mam zrobić swoje. Czyli co? Nienawidzę tej budowli, czuję jakies złe fale płynące ze środka. Jednak wiem, że trzeba coś zrobić. Pokonać strach, pokonać wszelkie przeszkody. Pokonać samego siebie. Najpierw zbadam teren. Przeskakuję przez płot, kalecząc się o porowaty, zardzewiały drut. Zraniłem się, czyli w pewnym sensie zawarłem przymierze, podpisałem się własną krwią jak na cyrografie, że walka będzie na śmierć i życie, bo krew można pomścić tylko krwią. Tak myślę, brodząc w gęstych pokrzywach pod płotem. Ogród jest stary, zaniedbany – pełno w nim chaszczy, pokrzyw, trawa po kolana. Obchodzę budowlę, staram się zajrzeć do środka. Jakies światło, refleks, twarz w oknie? Nic z tego. Ciemność. Wielkie drzewo, szare w nocy, miarowo porusza gałęziami. Nie, nie podejść do niego, drzewo to wróg najgorszy. One wciąż mnie śledzą, syczą te swoje wiatrowe przekleństwa, nie dają żyć. Ciągłe spoglądam nerwowo w tę stronę, czy nic się nie dzieje, czy się nie rusza, czy nie chce mnie osiągnąć. Chętnie bym się wycofał, ale tym razem wyglądam spokojnie, zdaje się, że nie będzie sprawiać kłopotów... Cholerne drzewo, dlaczego musiałem trafić akurat tutaj?

Idę dalej, szare ściany nie dają znaku życia, szara sylwetka budynku śpi jak strażnik tysiącletnich skarbów. Nagle coś zauważam. Lekka poświata w tym wielkim oknie od strony drzewa. Podchodzę bliżej. Ale tylko trochę. Boję się iść dalej. Coś jednak syczy w głowie, że muszę to zrobić, że nie mam wyjścia, bo jak powiedziałem A i to muszę powiedzieć B. Choć konia z rzędem temu, kto wie, kiedy powiedziałem to cholerne A. Pewnie to znowu mój mały gburowaty komentator się uaktywnił. Jeszcze krok, dwa i stoję pod oknem. Chcę się podciągnąć. Coś zobaczyć. Chwytam oburącz parapet, zapieram się nogą...

- Ciii, uważaj! - syknął ktoś za mną. Opadłem przerażony z powrotem na ziemię. Odwróciłem się.

W odległości jakichś trzech metrów ode mnie majaczyła w szarościach pod drzewem postać. Podłużny kształt, w płaszczu i kapturze.

- Cicho, drzwi są otwarte - zaszeptała. - Droga wolna.

Tego było za wiele. Rzuciłem się na obcego. Nie spodziewał się takiej reakcji. Z początku się nie bronił, co pomogło mi uzyskać przewagę. Przewróciliśmy się na ziemię, przygniotłem go swoim ciężarem do ziemi, waliłem na oślep w miejsce, gdzie powinna znajdować się głowa.

- Kto ty jesteś, kto ty jesteś, czego chcesz! - wrzeszczałem, nie zważając na fakt, że w nocnej ciszy mój krzyk słyszano chyba na drugim końcu miasta. Nic mnie nie obchodziło. Będę niszczył wszystkich i wszystko na mojej drodze, bo nie zniosę więcej tej tajemnicy i wpuszczania w nie wiadomo jaką kabałę.

Czułem opór przy zadawaniu ciosów, zupełnie jak u odskakującej piłki, kaptur zsunął się, ale twarz była zamazana. Z trudem widoczna przez folię wściekłości, ciemności nocy i strachu. Za nic bym go teraz nie poznał. Żadnych szczegółów nie rozróżniałem. W końcu udało mi się chwycić go za szyję, zacisnąłem dłonie. Ledwo mógł oddychać. Kaszlał i ciężko dyszał, wreszcie coś powiedział niewyraźnie.

- Co tam gadasz!?! - Rozluźniłem nieco ucisk.

- Infernum! - zaskrzeczał i poczułem, że kształt pode mną znika, maleje z sekundy na sekundę jak dziurawy materac. W końcu leżałem sam na sflaczałym płaszczu, pod tym strasznym, szumiącym drzewem. Podniosłem płachtę. Nikogo pod nią nie było. Uciekł. Ale jak? Zadarłem głowę, by spojrzeć w okno nade mną, znowu zobaczyłem to liche, niepewne światło lampki. Dziesięć metrów dalej czerniał otwór w ścianie. Drzwi otwarte. Trzeba iść. Westchnąłem głucho i powlokłem się ku wejściu.

- Hm, cenna uwaga. - Wątroba patrzył z zakłopotaniem na świstek papieru, który dzierżył w pulchnych palcach.

Na kartce wycięte z gazety wyrazy układały się w informację:
SPRAWCA POBICIA W PARKU PLANUJE ZABIĆ ŚWIĘTEGO.

Wątroba jeszcze raz spojrzął na anonim, a następnie zaczął się zastanawiać, o co w tym chodzi, kogo ma szukać i, co ważniejsze, kto to przysłał. Zawołał Chwiejczaka.

- Kto przyniósł tę wiadomość? - zapytał posterunkowego, podając mu list.

Chwiejczak przeczytał anonim, wytrzeszczył oczy w wyrazie zdumienia, na koniec podrapał się w głowę pokazując, jak bardzo jest bezradny. Potem spuścił oczy jakby z zawstydzaniem i chrząknął.

- To? To przyniósł klaun - wyjąkał w końcu, cały czerwony z zakłopotania.

Wątrobę zatkało.

- Kto?

- Klaun. Chodził po komendzie, rozdawał zaproszenia do cyrku. I położył na stole, tutaj, plik tych zaproszeń, a między nimi to w kopercie. Nim się zorientowałem, klauna już nie było - tłumaczył się Chwiejczak.

Wątroba wziął kopertę i jeszcze raz spojrzął na swoje imię i nazwisko, również wycięte z gazet.

- Miło, że ktoś do mnie pisze - mruknął. - Szkoda, że się nie podpisał. Nie lubię listów bez zdefiniowanego nadawcy. A kim mógłby być ten święty? Przychodzi wam coś do głowy?

Chwiejczakowi nic nie przychodziło. Znał mnóstwo świętych z lekcji religii, niedzielnych mszy, ale oni dawno już nie żyli na tym świecie. Co do współcześnie żyjących świrów, udających w różnego rodzaju sektach bożych pomazańców, miał jasny pogląd - to nie byli żadni święci. Jednakże nie każdy tak myślał. Rokrocznie setki, jeśli nie tysiące, ludzi w całym kraju wstępowało do różnych organizacji o charakterze

wyznaniowym, gdzie rej wodził jakiś cwaniak z gębą pełną sloganów, oferujący innym prosty pomysł na zbawienie. Chwiejczak stwierdził, że trzeba by pogrzebać w kartotekach organizacji religijnych działających w ich okolicy.

Wątroba zgodził się z pomysłem podwładnego i odprawił go z zadaniem przekopania danych dotyczących wszelkich sekt w ich mieście. Następnie sprawdził stronę cyrku w internecie, zadzwonił do właściciela, od którego dowiedział się, że owszem, zorganizowali akcję roznoszenia ulotek, ale pięć dni temu. Te ulotki leżały teraz w całym mieście, w każdym sklepie, biurze i łatwo było zebrać plik, by udawać potem żywą reklamę.

„Hm, jedyny płynący z tego wniosek jest taki, że coś się jednak wydarzy i nie możemy się dać zaskoczyć – pomyślał, rozpakowując bułkę z kaszanką. – Choć znając naszą przenikliwość, będziemy znowu zdziwieni jak cholera” – dodał ze znanstwem i zagryzł brązową masą swoje smutki.

Otwór drzwiowy czernił się coraz bliżej, zostawiłem za sobą szumiące drzewo, zmierzwiony, szary płaszcz, leżący na ziemi, zostawiłem wszystko, czego w tę ostatnią podróż nie mogłem zabrać. Bo to była moja ostatnia podróż. Kruczata zapoczątkowana gdzieś tam, w szarej, zakurzonej norze bez adresu, właśnie osiągnęła swój cel. Teraz należało wejść do środka i zrobić swoje. Ciągłe nikt mi nic nie wyjaśnił, nie wyjaśnił dostatecznie wyraźnie, co mnie uwolni od tego niejasnego, choć istniejącego zobowiązania. Krok za krokiem przechodziłem z tej ogrodowej czerni, dość przyjaznej, kryjącej mnie w nocnych, matczyńskich ramionach, do czerni wejścia. Prawdziwszej, szczerzącej wrogo zęby na powitanie i nieobiecującej niczego poza strachem i szybką śmiercią. Jedyny pozytyw tej sytuacji to fakt, że ohydne drzewo zostało poza mną. I wspomnienie znikającego człowieka z niewyraźną twarzą i piekielnym zaklęciem na ustach też tam zostało. Wchodzę.

Stojąc dłuższy czas w przedsionku, zdołałem przyzwycząić wzrok do ciemności, do tej czarnej waty, która na pewno coś znaczy dla istot w niej żyjących. Albo najgłębszy strach, albo schronienie podczas dzikiej ucieczki, albo przyjazny kokon, odzienie dla duchowej nagości, gdy nienawiść innych ogołociła cię już zupełnie i zimno ogarnia człowieka po czubki palców. Wzajemna nienawiść istot żyjących jest motorem wielu działań. Czasem negatywne doświadczenia stają się tak silne, tak natrętne, że tylko śmierć może je wymazać. Dlatego się nie bałem, wchodząc powoli do wnętrza jamy. Wiedziałem, że tak trzeba i to dodawało mi sił. Skądś, z jakiegoś odległego pomieszczenia, promieniowało światło. Nikłe. Tak nikłe, że tutaj, na drugim końcu korytarza, nie tyle je widziałem, co wyczuwałem. Muskało źrenice niczym dym, zapewniając, że gdzieś tam jest ogień. Wspomniałem swoje poprzednie przejście przez ten dom, wydarzenia sprzed wieków, a może sprzed godziny. Przypomniała mi się pogięta kartka neogotyckich wnętrz, niedomykające się kąty i załamania, ciekawskie budowle, od których nie było ucieczki, bo czy chciałem, czy nie chciałem, wciąż znajdowałem się pod ich milczącą kontrolą. Fakt ten strasznie mnie wzburzył. Znowu odezwał się we mnie ten okropny mały zrzęda. Nie pozwolę, nie pozwolę sobą pomiatać! To, że ktoś jest silniejszy, mądrzejszy, wieczny, nie znaczy wcale, że ma rację. Nie ma jednej wielkiej prawdy, nie ma jednej wielkiej mądrości. Istnieje natomiast cały stos małych prawdek, gównoprawdek, prawieprawdek, z którego wybiera się coś na chwilę, a kiedy to się przetrze na tyłku, trafia do śmieci. I życie idzie dalej. Dlatego nie zamierzam być jakimś pieprzonym wysłańcem prawdy. Chcę być sobą, czyli nikim. Nikim, który bierze coś na chwilę, zaspokaja swoją ciekawość, głód, nudę i nie myśli o niczym wielkim.

Przede mną w ciemnościach, a może w mojej głowie, coś zaszepotało:
– Stul pysk i idź dalej.

Zamilkłem. To wyrwało mój umysł z butnych rozmyślań. Znowu jestem mały i przestraszony. Obserwują mnie, nie spuszczają z oka, a ja

nic nie mogę poradzić. Znowu uświadamiam sobie, kim jestem. Jeszcze nieświadomym swojego celu życia, zakłamanym, bezwolnym okruczem świata. Miałem nadzieję, że idąc przez kolejne wydarzenia, wyrwę się z tego, wyrwę z objąć samego siebie. Ale na razie niepewność i strach były jedynymi motorami moich działań. Ruszam dalej, do tego nikłego światelka. Ostatnie drzwi korytarza. Widzę coraz wyraźniej neogotyckie wykończenie wewnątrz, łukowate sklepienia trzęsą się, lekko zlizując poświatę. Czerni przegrywa z szarym, szare z szarawym, uchylone drzwi są coraz bliżej. Robię strasznie dużo hałasu, kroki, nawet wolne i lekko muskające podłogę, brzmiały w tym wyciszonym domu jak uderzenia młota. Oddech ostrzega chyba wszystkich w promieniu kilku kilometrów. Uspokój się, co ty wyprawiasz? Jeszcze kilka metrów, jeszcze kilka kroków, idę, nie bardzo wiedząc, co zamierzam, idę, w ogóle nie myśląc, idę, bo coś mnie ciągle pcha do tego nieznanego celu. Wchodzę w smugę światła wydobywająca się zza drzwi...

Wątroba stał w oknie komendy i nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Przez moment przecierał oczy i mamrotał jakieś zaklęcia odczyniające zły urok, który ujawnił się w postaci halucynacji. Jednak była to rzeczywistość. Na podwórku, wśród stojących pod szarymi, odrapanymi murami radiowozów, kłębił się tłumek funkcjonariuszy. Komenderował nimi szczupły i anemicznie wyglądający jegomość. Energiczne ruchy oraz wrzaski chudzielca zaprzeczały jednak pierwszemu wrażeniu, że to jakieś chuchro. Ponadto nie wrzeszczał bezcelowo, on ich organizował, ujarzmił swoim głosem, wyczarowywał układy będące mieszaniną rewii i musztry. Funkcjonariusze utworzyli zwarty szereg, trzymając się pod łokcie; jedna połowa formacji była odwrócona przodem do budynku komendy, druga – tyłem. Jegomość wrzasnął: „Mikser!” i szereg ruszył, kręcąc się wokół własnej osi. Policjanci zaczęli przyspieszać, jednocześnie przeciągle buczać. Obracali się coraz szybciej. Kiedy siły działające na układ stały się na tyle duże, że szereg zaczął się lekko rwać i wykazywać niespójności w tempie, facet ryknął:

„Rozpad!”. Funkcjonariusze rozbiegli się po placu, ale nie chaotycznie, najwyraźniej domyślali się następnej komendy. „Krakowiaczek!”. Stado biegnących policjantów w mgnieniu oka utworzyło koło; każdy stanął z jedną ręką uniesioną do góry. „Stępa!” – ryknął wodzirej i powoli ruszyli. „Kłuuuuus!” – pogonił wszystkich. „Rycząca fala!”. „Ho, ho, ho, ho!” – zahuczeli policjanci w takt swego tańca. Wątroba zauważył, że również Chwiejczak bierze udział w tym cyrku. Ruchem ręki przywołał go na piętro.

– Chwiejczak, ocipieliście? Co tam się dzieje? Kim jest bledziak, który wami dyryguje? – napadł na niego, gdy tylko podwładny pojawił się w biurze. Chwiejczak jednak się nie zmieszał. Najwyraźniej był bardzo dumny z ćwiczeń odbywających się na dole.

– To nowy funkcjonariusz, posterunkowy Mizera. Niesłuchanie zdolny człowiek i do tego społecznik. Już w pierwszych dniach służby zorganizował nam te zajęcia. Połączenie tańca, musztry i ćwiczeń poligonowych. Bardzo popularne wśród jednostek koreańskich i japońskich. W Europie rozpropagowane przez dzieło Ernesta Stompkego „Der Kampf durch Tanzen”, czyli walka przez taniec. Mamy dofinansowanie z Unii Europejskiej, stroje są już szyte.

– Stroje? – jęknął Wątroba, widząc, że jeszcze nie wszystko co dziwne spotkało go w życiu.

– Tak – potwierdził Chwiejczak, a na jego twarzy pojawił się ponownie rumieniec entuzjazmu. – Zaadoptowaliśmy strój azjatycki do polskich realiów. Zawiera on elementy łowickie i kołnierz w kształcie półprzyłbicy rycerzy grunwaldzkich. Nie możemy przecież ślepo kopiować zagranicznych wzorców. W nauce walki przez taniec ważny jest również walor wychowania w duchu patriotycznym. Ernest Stompke jak najbardziej namawia w swoim dziele do wprowadzania regionalnych elementów. A sam strój jest bardzo ładny i praktyczny. Pozwoliłem sobie również zamówić dla pana, komisarzu.

– Dla mnie? – Wątrobę замуrowało. Pomyślał, że dziwacznych sekt i nawiedzonych guru nie trzeba wcale daleko szukać. Fanatyk właśnie

stał przed nim i go bezczelnie indoktrynował.

- Zamówienia specjalne i jednostkowe są dość drogie. A te zakupiliśmy z rabatem dla jednostek policyjnych. Tak pomyślałem, że na zapas, jakby pan chciał... Bo przecież te zabawy, ćwiczenia... Bo pan może by z nami... Dla początkujących miejsce w mikserze w środku, zresztą pan się doskonale nadaje ze swoją masą jako oś...

- Jako oś?! - Wątrobie puszczały nerwy. Przez chwilę nadymał się swoją złością i już miał wybuchnąć, ale zdołał się opanować. W końcu Chwiejczak nie zrobił nic złego, zaś intencje miał dobre. - No dobra, kończcie te pląsy. Mamy śledztwo, anonimy i przepowiednie morderstwa, a wy tańczycie tu sobie w operetkowych fatałaszki. Poszukiwany zlokalizowany?

- Nie, niestety nie. Przeczesujemy teren, ale jeszcze go nie znaleźliśmy. - Posterunkowy zawstydził się.

- Krakowiaczkiem czy mikserem przeczesujecie? - Wątroba nie przepuścił żadnej okazji do złośliwości.

Chwiejczak zaczerwienił się, ale nic nie powiedział. Na podwórko wjechał samochód dostawczy. Posterunkowy to zauważył. Znowu rumieniec podniecenia zagościł na jego licu.

- O, chyba stroje dojechały, chce pan przymierzyć swój? - Chwiejczak najwyraźniej nie wiedział, kiedy należy skończyć żarty z przełożonym.

Wątroba znowu się nadął i tym razem raczej by Chwiejczakowi nie odpuścił. Od awantury uratował go dyżurny, który wpadł do pokoju z karteczką w dłoni.

- Poszukiwany z parku zlokalizowany, wiadomość przyszła od dzielnicowego Dobrowolskiego. Czeka na dalsze instrukcje. Komisarz zerwał się na równe nogi.

- Do roboty, Chwiejczak. I zostawcie te głupie kostiumy. Do roboty!

- Tak jest! - Posterunkowy rąbnął obcasami i wypadł na podwórze, zaganiając przymierzających stroje do innych, pożyteczniejszych zajęć.

- To ta kobieta. - Dzielnicowy wskazał na sklepową, pyskującą zza lady na drobnego, zasuszonego dziadka. Pani w fartuszkę we wzorki à la Picasso dawała upust swojej wściekłości na marudzenie starszego pana.

- Najpierw chce dziesięć deko żywieckiej, a jak już kroję, to wymyśla dwie parówki, ucinam, to rezygnuje i bierze salceson. Cholery można dostać, jakie te chłopcy marudne! - burczała, ważąc i pakując wyroby mięsne. Znać było, że starszy pan był tu stałym klientem i nie przepuszczał żadnej okazji, żeby pogadać z wyszczekaną sklepową.

- Pani Balkowa, pani to jesteś anioł nie kobieta. Od takiej dzierlateczki to miło nawet reprimendę dostać. - Emeryt rozplątywał się w zachwytach, podczas gdy anioł nie kobieta podsuwała mu zapakowane kiełbasy.

- Panie Wołek, pan mnie pod włos nie bierz. Swoje lata mam i o chłopach niejedno wiem. Wszyscy wy tacy sami! - Z tonu można było jasno wywnioskować, że zaloty, pomimo zaawansowanego wieku adoratora, sprawiały jej przyjemność.

- To może jeszcze piętnaście deko mortadeli poproszę - zaordynował siwy jegomość, a pani Balkowa z ciężkim westchnieniem urwała dwie grube kiełbaski.

- Bierz pan i do widzenia - rzuciła słowem i wędliną. Pan Wołek zapłacił, skłonił się i pokuśtykał do wyjścia.

Wątroba, Chwiejczak i Dobrowolski podeszli bliżej i przedstawili się. Sklepowa rzeczywiście widziała kogoś podobnego do osoby z portretu pamięciowego.

- Trzydzieści deko ozorkowego wziął z pół godziny temu. Poszedł w lewo, widziałam przez szybę - wyjaśniła.

Policjanci wybiegli ze sklepu. Zaczęli rozpytywać po okolicy. Dwóch meneli, siedzących na najbliższym murku, nikogo nie widziało ani niczego nie słyszało. Zapewniali solennie, że oni tu tylko wegetują jako swego rodzaju narośle na murze, bez jakiegokolwiek kontaktu z otoczeniem. Policjantów ta dyskrecja wcale nie dziwiła. W niektórych

dzielnicach nie informuje się policji o niczym, a takie rzeczy jak sprawiedliwość i przestrzeganie prawa były prywatną sprawą miejscowych. Jednakże facet, prowadzący sklep spożywczy naprzeciwko, pamiętał człowieka. Po wizycie w mięsny ludzie często zachodzili do niego po resztę zakupów w postaci mleka, sera i pieczywa, więc zwrócił uwagę na tamtego, bo poszedł w swoją stronę, nie zaszczycał spożywcze nawet jednym spojrzeniem. A sprzedawca wyskoczył akurat wtedy na papierosa i zapamiętał, w którą uliczkę gość skręcił. Chwiejczak przekazał przez radiotelefon informacje na temat terenu poszukiwań. Krąg obławy zacieśniał się.

- Mizera już organizuje ludzi - zameldował Wątrobie stan przygotowań.

- Dobrze, idziemy tam - padł rozkaz spod kapelusika zsuniętego zawadiacko do tyłu. Widać było, że komisarz aż pali się do akcji.

Weszli w starą uliczkę pomiędzy przedwojennymi willami. W odległości jakichś dwustu metrów znajdował się mały skwer z ławką, na której ktoś siedział.

- Jest! - syknął Dobrowolski.

Chwiejczak odbierał przez krótkofalówkę potwierdzenia od funkcjonariuszy, którzy zajmowali wyznaczone pozycje. Akcja była o niebo lepiej zorganizowana niż parkowa fuszerka sprzed kilkunastu godzin. Wątroba dał sygnał. Można było zaczynać.

Chciał mieć swoją chwilę chwały, swoje „w samo południe”. Ustawił Chwiejczaka po prawej, Dobrowolskiego po lewej, sam szedł środkiem ulicy. Rozsunął poły płaszcza, kabura z jego ukochaną „Maleńką” była w zasięgu ręki. Pewny krok sygnalizował całemu światu, że on się nigdy nie poddaje, że złoczyńcę zawsze spotka kara, jeżeli krocząc drogą występku, natknie się na Wątrobę. W tle smętnie grała harmonijka ustna, na niebie kołowały sępy. Poszukiwany, siedząc na skwerze, żuł salceson, patrzył tępo w dal, zapewne knując dalsze bezceństwa, i nie domyślał się swego żalostnego losu. Organki dalej zawodziły smętnie, sępy patrzyły łakomie na Wątrobę, życząc śmierci właśnie jemu, a nie

wychudzonemu łądakowi na ławeczce, na którego kościstych bokach mogłyby sobie co najwyżej połamać dzioby. Do dźwięków harmonijki dołączyły zrazu delikatne, lecz już po chwili mocne, nerwowe i coraz głośniejsze pobrzękiwania kontrabas. Wątroba był zachwycony, przeczuwał, że teraz się wszystko uda. Policyjną sekcję jazzową szkolono specjalnie na takie sytuacje. Zaraz zacnie wibrować hi-hat i werbel.

– Perkusja, śpiesz!?! – Chwiejczak dbał o wszystko.

– Już idę, już! – Funkcjonariusz z przenośnym bębniem i zestawem talerzy, sapiąc, dogonił kontrabasistę i harmonijkarza. Pot spływał mu po twarzy, ciężko dyszał. Przeklinał w duchu swój los, harówkę, gdy dzień czy noc trzeba robić podkłady muzyczne. Kakofonia dźwięków przy zatrzymaniach, radosne polki po udanych przesłuchaniach, niekończące się solówki na werblu do posiłku wyższych rangą funkcjonariuszy. Nie tak to miało wyglądać, chciał być prawdziwym gliną, przenikliwym tropicielem prawdy i obrońcą prawa, a nie ciągle naparzać w membranę.

Niepokojąca muzyka dotarła do uszu poszukiwanego. Zerwał się z ławki, rozglądając dookoła. Ujrzał zbliżającą się trójkę i zaczął biec.

– Za nim! – wrzasnął Wątroba, przyspieszając kroku na tyle, na ile pozwalała mu potężna tusza. Orkiestra jednak ledwo nadażała.

Uciekinier był szybszy, zdołał się zaszyć w bocznej uliczce. Na chwilę zniknął goniącym z oczu. Lecz już po kilku sekundach znowu go zobaczyli. Pędził w ich stronę, wypłoszony przez szereg trzymających się pod łokcie mężczyzn, wydających przeciągłe buczenie. W słońcu pyszniły się kolorowe, pasiaste wyłogi. Każdy z policjantów miał twarz częściowo osłoniętą czymś w rodzaju kołnierza, ze skrawkiem materiału trzepoczącym z tyłu. Uniformy posiadały ogromne, wręcz groteskowe pagony z frędzlami. Strój łowicko-grunwaldzki do walki przez taniec.

Ostatnią drogą ucieczki była druga uliczka, odchodząca od skweru. Uciekinier przebiegł tuż przed nosem Wątroby i wpadł w nią bez tchu.

Za chwilę cofał się przerażony, widząc półkole podobnie wyglądających przebierańców, płasających z uniesionymi rękami.

- Ho, ho, ho, ho! - rozbrzmiewało gromko nad spokojną zazwyczaj okolicą.

Sekcja jazzowa zaczęła wyraźniej nadawać rytm, funkcjonariusze poruszali się i wydawali z siebie dźwięki, jakby prowadził ich duch samego Glenna Millera. Mikser jak i krakowiaczek zbliżały się do siebie, zaciskając krąg wokół podejrzanego. Wątroba stał w rozkroku, uciekinier wpadł wprost w jego ramiona. Obrócił go twarzą do siebie; chciał pierwszy zobaczyć, kogo gonili.

- To ty? - Komisarz zamarł ze zdumienia, gdy tylko złapany zastygł w jego ramionach.

- Ja - niepewnie potwierdził facet, tocząc po zastępach przebierańców przestraszonym, sarnim wzrokiem.

Wątroba tulił w swych objęciach poznanego wczoraj ekshibcjonistę, u którego przerażenie wywołane dwoma pościgami w wykonaniu zwariowanych dziwaków - nazywających się, chyba dla niepoznaki, policją - zostawiło prawdopodobnie już na zawsze niezmywalne piętno na twarzy.

- Co tu się, kurwa, wyprawia? - jęknął Wątroba i puścił przerażonego człowieka.

Wszyscy zadawali sobie w duchu to samo pytanie.

Wkroczyłem do tego promieniejącego wnętrza. Delikatne światło świecy drgało i pełzało, szukając drogi, aby rozplomienić się jaśniej, lecz co chwila cofało się, jakby zawstydzone własną odwagą. Wnętrze było surowe, ascetyczne. Główny mebel i punkt zaczepienia stanowiła wielka biblioteka wypełniona książkami. Na fotelu w kącie ktoś siedział, światło świecy nieśmiało go dotykało, rysując zaledwie jego kontur. W tle widziałem jakieś cienie ruszające się za oknem - no tak, znajome drzewo. Kim jesteś? Ta myśl trzepotała w mojej głowie, napełniając

mnie nadzieją, że coś się wyjaśni, skończy. Stałem bezradnie w proggu, nie wiedząc, co począć. Postać drgnęła, pochyliła się lekko, jakby chcąc mnie lepiej dojrzeć w półmroku. Światło świecy złapało obfity skrawek wosku i rozblysnęło jaśniej na dłuższą chwilę. Zdażyłem zauważyć twarz młodego człowieka, tego z alabastru. Tak, to był on. Patrzył na mnie, jakby wszystko wiedział, wszystko przemyślał i tylko czekał na spełnienie swojej przepowiedni. Wróciło wspomnienie tego, co wcześniej widziałem, tam na dole. On coś mówi, mówi do mnie, ja słucham, a potem, potem...

- A więc jesteś? - usłyszałem w końcu. - Czekali na ciebie.

Mruknałem coś w odpowiedzi, ni to potwierdzając, ni to zaprzeczając.

- Niepotrzebnie. Niepotrzebny mi jesteś. Nikt mi nie jest potrzebny!
- Kształt się uniósł gwałtownie z fotela. Podszedł dwa kroki w moją stronę, ale nagle znieruchomiał, jakby się rozmyślił. - Ja wiem, gdzie moje miejsce, ja wiem, co będzie, ale to ja zdecyduję. Rozumiesz?

Znowu mruknałem niezobowiązująco.

- Wyjdz, nie zakłócaj mi spokoju - rozkazał takim tonem, że nie miałem wątpliwości, co zrobić. - Marny twój los, bo nie jesteś ani gorący, ani zimny. Będiesz cierpiał, ale nie będziesz umiał tego nazwać, bo wszystko dzieje się poza tobą.

Zacząłem się powoli wycofywać. W pokoju czułem się strasznie. Skąd on ma tę siłę? Moc, która każe mi wyjść bez jednego pytania. Dlaczego nie jestem choć w połowie taki jak on? Nie mylił się, nie umiałem tego zdefiniować, ale czułem się, jakby ktoś właśnie wydał na mnie wyrok. Młodzieniec milczał, patrząc w szarą przestrzeń, tak przynajmniej sądziłem. Było ciemno, niewiele widziałem. Na wysokości drzwi dogonił mnie jego głos, już inny, łagodny i smutny.

- Nawet jeżeli ja to zrobię, to świat mi w tym pomoże.

Jego słowa wypchnęły mnie na korytarz. Zrozumiałem, że skończyła się moja dziwaczna, niewytłumaczalna misja. Właśnie otrzymałem bilet

do domu. Będę żył przygnieciony swoją małością, swoim niespełnieniem, ale będę żył. Chyba...

Na korytarzu przez moment zupełnie nic nie widziałem. Za to od razu kogoś poczułem. Przez skórę. Wyczuwałem innych ludzi, wielu ludzi. Stali wzdłuż ścian, tworzyli szpaler, wskazując mi drogę wyjścia. Nie widziałem ich twarzy, wszyscy byli odwróceny. Całkiem jak wtedy, w tej podziemnej sali, a jednak zupełnie inaczej. Teraz czułem ich wrogość, wręcz nienawiść i chęć zemsty za to, co zrobiłem, a raczej nie zrobiłem. W powietrzu wibrował szum modlitw, mamrotanych przez setki ust. A może mnie przeklinali? Nikt mnie nie dotknął, nikt nic nie powiedział, nie byłem z ich świata, z ich wymiaru. Oni jedynie wyznaczyli mi drogę. Dokąd? Przeszedłem długi korytarz, idąc wzdłuż setek pleców. Zacząłem schodzić po schodach, nie śmiałem przedrzeć się przez ten szpaler. Chciałem wyjść na zewnątrz i uciec z tego dziwnego świata raz na zawsze, ale coś mi mówiło, że to beznadziejne, że próba przebiccia się przez tych ludzi to jak walenie głową w marmurową kolumnę.

Schodzę niżej. Wciąż słyszę w głowie głos, który powtarza: „Ani gorący, ani zimny”. Na końcu schodów znajduję salę, chyba już w niej byłem, a ci, którzy tu klęczeli, teraz mnie prowadzą długim szpalerem odwróconych postaci. Na końcu drogi czekają na mnie kolejne trzy postaci, również ubrane w płaszcze. Nie są odwrócone tyłem. Czekają na mnie. W tle, oświetlona kagankiem, szarzała betonowa ściana.

– Jesteś – odezwał się jeden z nich. Nie mogę się zorientować który. Jednak jego głos już znam. Przyplłynęło wspomnienie brudnego, zakurzonego pomieszczenia, gdzie ktoś mi coś każe, przestrzega i strofuje.

Milczałem. Cóż można odpowiedzieć, jeżeli wszystko, co przeżyłem, jest pytaniem bez jednego słowa odpowiedzi.

– Misja skończona, nie wypełniłeś zadania. Musieliśmy cię zastąpić. Zostaniesz ukarany. – Głos oznajmił wyrok tego sądu kapturowego.

Już chciałem rzec, że choć nie wiem, o co chodzi, to jednak się starałem. Dążyłem do czegoś, nie uciekałem przed powołaniem, które było jak mgła. Istniało, ale bez możliwości uchwycenia i zrozumienia. W tle zobaczyłem dwie inne sylwetki poruszające czymś przy podłodze. W marnym oświetleniu zaczernił się otwór w betonowej podłodze, poczułem uchwyt dziesiątek rąk, przez moment szamotałem się rozpaczliwie. Na darmo. Zepchnięty, wpadłem w czerni. Tym razem prawdziwą, najczarniejszą czerni.

– Nic panu nie jest. – Jakiś facet z pudełkiem na różowej smyczy z ćwiekami potrząsa mnie za ramię. – Zasnęliśmy błogo, odpłynęliśmy. Pomóc w czymś?

Siada koło mnie, przytula się, pudełek się łasi, menele machają do nas przyjaźnie, z liści kapie woda, za drzewami tramwaj. Przez chwilę nawet mi się to podoba. Pudełki to jakieś miłe aniołki. Ale ten, to kto? Co jest?!

– Co jest?! Odpierdol się pan!

Facet odchodzi obrażony, poprawia kurtkę, menele machają do nas przyjaźnie, tramwaj macha do nas przyjaźnie. Choć nie, jest tylko za drzewami, niemachający.

Zrywam się na równe nogi. Biegnę, kałuże rozpryskują się wokół, tworząc tłum małych istotek, „hurra” – krzyczą i „aaaa” – umierają w takt – pach, pach, pach, pach – mojego biegu. Chyba mnie coś goni.

Śledztwo

Zmierch rozlewał się już leniwie nad miastem. Szare, komunistyczne blokowiska sterczały ku niebu jak zaciśnięte pięści rozeźlonego proletariatu. Koniec dnia, jakby na przekór zimnej porze roku i posępnym zapowiedziom spikerów telewizyjnych, jak bohater filmu akcji klasy B trzymał się jeszcze dzielnie krawędzi jasności, spoglądając nerwowo w przepaść.

- Hasta la vista, Amigo! - burknęła noc posępnie, skopując go w przepaść, po czym zaczęła się przechadzać po znajomych kątach ciemnej strony świata. Wszystko było w jak najlepszym porządku, świat przez te kilka godzin nie stał się ani trochę lepszy. - A może ciut gorszy. - Satisfakcja nocy była pełna.

- Halo! - odebrałem telefon w rytmach samby, a może rumbi, zaprogramowanej przez producenta aparatu.

- Dobry, Wróżka! - zasapał mi do ucha Wątroba.

- Co za dobry? - udałem, że go nie poznałem, chociaż oczywiście po numerze wiedziałem, kto dzwoni.

- Dobry wieczór, oczywiście. Myślmy skrótami, będzie szybciej! - dodał Wątroba.

- Ale nieelegancko, ale to już raczej nie twoja domena - odparowałem.

- Hamuj się, rozmawiasz z przełożonym, bezpośrednim, ale zawsze!

- Komisarz nie dał sobie w kaszę dmuchać.

- Tak jest, panie ogniomistrzu!

Wątrobo – dodałem w myślach. Byliśmy na stopie koleżeńskiej, ale rzadko kiedy go tak otwarcie nazywałem, choć przezwisko pasowało jak ulał do jego zwalistej sylwetki. Nazywał się naprawdę... Zresztą nieważne, jak się nazywał, Wątroba to najlepsze określenie, jakie mogło na niego trafić. I rzeczywiście przyłgnęło na zawsze. Wątroba tonął w miękkich falach tłuszczu; podbródek, brzuch, uda, wszystko tworzyło jedną trzęsącą się masę. I wiele, wiele lat temu, kiedy pierwszy raz wszedł do biura z teczką pod pachą, ktoś palnął:

– Co ta Wątroba tu chce?

I tak zostało, choć czasem myślę, że zasługiwał na bardziej chwalebne przezwisko. Może Trzustka?

– Słuchaj, ty lubisz takich tam świrów i nawiedzonych... – Wątroba znał gusta i aberracje swoich podwładnych.

– Dzięki za opinię – odpowiedziałem.

– Dziękować będziesz później. Na razie jedź na Wolbromską 12, mamy tam ukrzyżowanego – szybko przeszedł do konkretów. W końcu jesteśmy policjantami, a nie dyskusyjnym kołem gospodyń wiejskich. Zmroziło mnie.

– Ukrzyż... – jęknąłem.

– Tak, dobrze słyszałeś, ukrzyżowanego. Resztę zobaczysz na miejscu, choć chyba nie ma się do czego spieszyć – wykazał się odrobiną empatii.

– Czemu? Brzmi nieźle. – Piorunujące wrażenie nadrabiałem wesółkowatym tonem. – Tu ukrzyżowany, tam ukamienowany. Nasz świat staje się taki, jak ten opisany w Biblii. Kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem. I bum, bum, lecą jeden za drugim.

– Kamienowani? To chyba inny departament. – Wątroba właśnie się skompromitował swoją ignorancją.

– Tak, kolega mi opowiadał. – Dolałem oliwy do informacyjnego ognia. Miałem nadzieję, że Wątroba łyknie haczyk i puści wieści w obiegu, kompromitując się tym samym całkowicie.

– O rany! – jęknął mój przełożony w zadziwieniu. – No nic, jedź tam.

Zadzwoił do mnie, bo wiedział, że nie będę się awanturować: że późna noc, że ciągle mnie nie ma w domu i dzieci do ojca już mówią wujku, że jak ma ochotę, to możemy wpaść razem do mojej cici na kawałek tortu, ale oglądanie trupów o tej godzinie jest wykluczone. Innymi słowy aspirant Wrózkowski to frajer nie z tej ziemi, który lubi swoją brudną robotę i nie marudzi, a swoją przenikliwością zawsze zaskakuje tropionych złoczyńców.

- I kolegów - dopowiedziałem chełpliwie dla pełnego obrazu własnej sylwetki.

- I tubylców z Wysp Salomona - dopowiedział dużo skromniej mój zdrowy rozsądek, przywołując mnie do porządku i właściwej samooceny. Wszak nie od dziś wiadomo, że bycie policjantem to nie tylko walka z przestępczością, ale również, a może przede wszystkim, z własnymi słabościami. Na przykład z próżnością i gadulstwem.

Ulica Wolbromska była przeczną większej arterii miejskiej i przylegała do parku. Na pobliskich ławeczkach, pomimo nocnej pory, bliżej niezidentyfikowani osobnicy konsumowali równie niezidentyfikowane ciecze, zawzięcie dyskutując i tym samym łamiąc regulamin ciszy nocnej oraz postanowienia ustawy o wychowaniu w trzeźwości. Jeden z nich wydawał się znajomy. Dobięł mnie z oddali charakterystyczny gardłowy głos, z którego przebijała nieskrępowana radość życia po spożyciu dwóch butelek wina produkcji polskiej, chęć dogadywania wszystkim wkoło, do tego obfita, nieomal meksykańska gestykulacja. Zaraz, zaraz, czy to nie jest ten kolega Wątroby z dzieciństwa? Żelazny Stefan czy jakoś tak. Nie byłem pewien. Po kilku sekundach namysłu zrezygnowałem z dalszych dywagacji na temat miejscowego elementu społecznego i udałem się pod podany adres. Kilka posesji dalej stały już radiowóz i karetka, dając sinawą poświatę od pulsującego światła kogotów.

- Posterunkowy Chwiejczak. - Umundurowany jegomość trzasnął butami na mój widok w postawie na baczność. Zachowywał się tak, jak na urodzonego służbistę przystało. Meldował, przedstawiał, raportował,

choć pracowaliśmy w jednej komendzie i powinniśmy być raczej na przyjacielskiej stopie. – Niezły klops, co nie, panie aspirancie? – zdobył się na prywatną uwagę.

– Mhm – odparłem wymijająco. Chwiejczak był mi potrzebny, ale nie jego światłe uwagi. Ekipa zbierała zewsząd odciski palców, fotograf robił sesję.

– Co tu mamy, Chwiejczak? – przeszedłem do konkretów.

– Mateusz Karbowski, lat 28. Ukrzyżowany, znaczy ukrzyżowany na niby. Zgłoszenie o 19.27, dokonane przez Zygmunta Brodę – musnął wzrokiem kartkę – znaczy Bronę, sąsiada z góry. Nieźle przestraszony dziadunio.

Przedstawił mi ten krótki raport, który zakończył, trzaskając obcasami. Obiecałem sobie w duchu, że daruję mu jeszcze jedno trzaśnięcie.

– Co to znaczy ukrzyżowany na niby? – spytałem, zainteresowany tym tajemniczo brzmiącym sformułowaniem.

– To znaczy, że nie naprawdę, tylko tak trochę udaje ukrzyżowanego. Z pewnością jest bez krzyża – odparł Chwiejczak tonem mentora. Od razu pożałowałem zadawania głupich pytań. I tak zaraz zobaczę, o co chodzi. Weszliśmy do środka.

Leżał na środku miękkiego dywanu, rozpostarte ręce jakby zapraszały do siebie. Ciało, ułożone w lekko nienaturalnej pozycji, wykazywało, że ktoś starannie wystudiował ten obraz, nawet szata przerzucona niedbale przez biodra nieodparcie kojarzyła się z ukrzyżowanym Chrystusem.

– Świętego z niego zrobili, świry pierdolone – lekarz użalił się nad nieboszczykiem. – Nawet aureola jest!

Wskazałem ekipie śledczej ślady jakiegoś proszku wokół głowy, okazało się, że już go zabezpieczyli. Twarz zmarłego nie wskazywała na

żadną walkę, szarpaninę, zaskoczenie – była łagodna, lekko uśmiechnięta.

Stałem dłuższą chwilę nad ciałem. Co tu się stało? Ty już mi nie powiesz, ale może zostawiłeś jakiś znak.

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, Boże mój, Boże! Ukrzyżowany przez jakichś belzebubów. Cóż to za czasy! – usłyszałem nagle czyjś głos.

Starsza kobiecina lamentowała nad denatem, co rusz robiąc znak krzyża z przerażonym wyrazem twarzy. Musiała wejść niepostrzeżenie, teraz wprowadzała zamieszanie i zadeptywała ślady.

– Chwiejczak! – ryknąłem, widząc efekty braku czujności policjantów u wejścia. – Co jest, śpicie?!

Chwiejczak wpadł do pokoju razem ze swoim pomagierem, był szybki i mocny jak grom. Rozglądnął się i w ułamku sekundy zlokalizował cel ataku. Przybrał pozycję bojową. Na moje oko wyglądał jak zawodowiec-antyterrorysta. Czyżby przeszedł do nas z komandosów?

– Mizera, bierz ją! – zakomenderował i runęli we dwóch na kobietę. Zaczęła się szamotanina. Babcia właśnie zrozumiała, którzy to belzebuby.

– Bierz te łapy! Ty diable, ty! A masz, a masz! W piekle się będziesz smażyć, na oleju, ty lucyferze!

Mizera trzymał starowinkę za kościsty łokieć, jednocześnie starając się uniknąć ciosu parasolką, którą babina trzymała w drugiej ręce i wymachiwała w obronie własnej, jak również przeciw opanowującym ją domniemanym siłom nieczystym w postaci dwóch mężczyzn. Chwiejczak podskakiwał dookoła i dyszał, zupełnie jak treser podczas ujarzmiania dzikiego zwierza.

– Uważaj, już ją mamy, Mizera, ja z drugiej! – komenderował.

– Spokój tu! – wkroczyłem do akcji, widząc, do czego to wszystko zmierza. Za chwilę kobieta leżałby na dywanie z kajdankami na

przegubach, a Chwiejczak deklamowałby jej prawa. Cała trójka znieruchomiła.

- Na szkoleniu „Uprzejmy policjant” byliście? – postanowiłem ukrócić ten brak szacunku dla płci pięknej i starczego wieku.

Chwiejczak i Mizera skinęli niemrawo głowami, spojrzeli na kobietę, a twarze ich oblał rumieniec wstydu.

- No to... – Spojrzałem wymownie na ich ręce trzymające starowinkę.

Puścili ją jednocześnie.

- Przepraszam za zamieszanie, raczy pani zaczekać chwilkę w pokoju obok – zwróciłem się do staruszki.

- Pewnie, że zaczekam, panie młody, ale niech te belzebuby wezmą łapy.

Skinąłem Chwiejczakowi, żeby wyszli. Trzasnął obcasami i obrócił się na pięcie. Sanitariusze właśnie zabierali ciało denata. Poszedłem do staruszki. Poprosiłem ją o kilka słów wyjaśnienia, co tu robi i co ją łączyło z zamordowanym. Pani Warecka, bo tak się przedstawiła, mówiła chętnie, dużo i niestety w większości nie na temat.

...a tak, znałam go, znałam, z widzenia znaczy. Bardzo miły chłopak... A wiem, bo się na ludziach znam, kiedyś to pomógł nawet Balkowej przejść przez ulicę, bo ona to ma z biodrem coś od tego ciąglego stania w sklepie, bo ona sklepową... Aaa, o denacie, no, dobry chłopak, a czy gdzie pracował, pewnie tak... Jedno mnie zdziwiło, raz widziałam go z daleka z tymi z parku, no, wiesz pan, panie młody, pijaczkami. On w takim towarzystwie? Pomyślałam, że ludzie się z wiekiem zmieniają i to nie na lepsze. Nie, dziś nic. Dopiero jak z różańca wracałam, to zobaczyłam karetkę i weszłam, do tych belzebubów... ja nie mówię o policjantach, ja o tych, co tego biednego...

Puściłem ją do domu, a sam zacząłem myszkować po pokojach. Mieszkanie mieściło się na parterze starego, dziewiętnastowiecznego domu. Niegdyś, przed wojną, musiał być elegancką rezydencją jakiegoś adwokata albo dyrektora banku. Dziś zaniedbany, był jedynie cieniem swojej świetności sprzed lat. Salon posiadał wielkie okno z widokiem na

zapuszczony ogród. Gałęzie rozłożystego kasztanowca rosnącego przed domem ruszały się za szybą, rzucając fantastyczne cienie i filtrując światło latarni ulicznej. Przebiegło mi przez głowę, dalibóg, nie wiem dlaczego, że to drzewo jest smutne. Jakieś takie depresyjne.

Otrząsnąłem się z tego wrażenia i poszedłem dalej. Wyposażenie mieszkania było raczej skromne, w oczy rzucał się jedynie wielki regał pełen książek. Poszedłem bliżej. „Droga ku Bogu”, „Chrześcijaństwo a człowiek”, „Historia islamu”. Denat miał chyba szerokie horyzonty, choć książki skupiały się głównie na tematyce religijno-filozoficznej. Schyliłem się do najniższej półki. Widniało tam czarne pudło.

Przeszukiwanie osobistych szpargałów, zapisków lub notatników często rzuca światło na sprawę, przybliża jej rozwiązanie. W środku znalazłem kilka książek, może cenniejszych albo właśnie mniej cennych niż te na półce, trochę papierów, jakieś zapiski; książki wrzuciłem z powrotem do środka, notatki wziąłem do lektury. Nakładając pokrywę, odwróciłem ją i mój wzrok przyciągnął wykaligrafowany czarnym flamastrem napis: „Nawet jeżeli sam się zabiłem, to świat mi w tym pomoże!”. Chwiejczak spojrział mi przez ramię.

– Niezły klops, panie inspektorze, co? – zawyrokował.

Tu akurat się z nim zgodziłem. Pokrywę również wziąłem ze sobą.

– Gdzie ten sąsiad? – zwróciłem się do posterunkowego kategorycznym tonem, dając jasno do zrozumienia, kto tu wydaje opinie i prosi o informacje.

– Broda, znaczy Brona? U siebie w mieszkaniu – odpowiedział Chwiejczak.

Poszliśmy na górę. Pan Brona nas wpuścił po dłuższej chwili czekania pod drzwiami. Na pytania odpowiadał chętnie, choć jego zeznania wydały mi się jeszcze dziwniejsze niż tej Wareckiej.

Nie, nie znałem go dobrze, a tak, stara Warecka go znała, tak jak pana, nie zdziwię się, gdy jutro komuś opowie, że ma znajomego w policji. Ale z tego, co wiem, to był, panie, porządny człowiek, innym pomagał, mówili, że to jeden z tych, co przez Boga posłani do ludzi. Kto mówił? A ci i owi. My jesteśmy starsi ludzie, mamy dużo czasu na myślenie i słuchanie innych. Wczoraj w nocy to się stało... nie schodziłem zazwyczaj do niego, byliśmy tylko sąsiadami z domu. On na dole, ja na górze, choć lepiej bym miał na

dole. Wie pan, nogi już słabe... ale wczoraj... wczoraj, jak się zmierzchało, to usiadłem przy oknie, patrzę na te jego drzwi na dole, a one uchylone i jakaś taka dziwna poświata... Pomyślałem, że coś tam się dzieje niezwykłego, jacyś ludzie, głosy, słucham... Nie, nie widziałem, żeby ktoś wchodził... W każdym razie zszedłem, tak mi coś wewnętrznie kazało to sprawdzić... a on tam leżał i jakoś tak jaśniał. Gdy go zobaczyłem, to uciekłem, wie pan, jakby święty z obrazka leżał, to i odwagi brak... Słucham? A tak, tak, można się rozejrzeć po domu.

Spisałem te zeznania, uznając je za wynik szoku wywołanego okolicznościami. Pomyślałem, że Wątroba miał w jednym rację: tu poradzi sobie tylko ktoś, kto lubi świrów i nawiedzonych, choć nie byłem pewien, czy akurat ja się do tego nadaję.

- Chwiejczak - warknąłem, przywołując dzielnego, choć nieco zbyt służbistego posterunkowego. Ciekawe, czy on lubi czarną magię i niesamowite historie?

Podskoczył i trzasnął obcasami. O ten jeden raz za dużo. Skarciłem go wzrokiem.

- Mam dla was ambitniejsze zadanie niż łupanie tymi lakierkami. Rozejrzemy się po domu - zaburczałem.

- Taaak jest! - Już ruszył nogą, ale się opanował, udając w ostatniej chwili, że mu kamień wpadł do buta.

Po oględzinach obu mieszkań wyszliśmy na podwórkę, żeby obejrzeć dom z zewnątrz. Smutny kasztanowiec w ogrodzie szumiał nam swoją wiatrową melodię.

- Tjaaa... dziwna historia, prawda, panie aspirancie. Mieszka blisko, piętro wyżej, a się nie kontaktuje. I nic nie wie, oprócz tego, że święty. Nigdy nie schodzi, a tu nagle i owszem, bo widzi jakąś poświatę. Ja bym tego Bronę poobserwował.

Podkomendny chyba czytał w moich myślach. Jednak nie dałem tego po sobie poznać. Wszelkie pomysły idą z góry, a dół je realizuje - to święta zasada wszystkich służb mundurowych świata. Posterunkowy ma wykonywać polecenia aspiranta, a nie wymyślać koncepcje

i strategię, zawstydzając zwierzchników inicjatywą. Co do pytań o tę sprawę, męczyła mnie jeszcze jedna bardzo konkretna myśl.

- Chwiejczak, z którego okna na górze można zobaczyć drzwi do mieszkania na parterze? - zapytałem, sprawdzając, czy tylko ja tego nie rozumiem.

Ten stanął jak wryty i chwilę myślał, co zresztą było widać po napiętej twarzy, po czym odwrócił się, lustrując fasadę domu.

- Z żadnego - padła po chwili odpowiedź pełna zaskoczenia, zgodna zresztą z moimi obserwacjami.

- No właśnie. Brona musiałby wychylić się z półtora metra, żeby zobaczyć jakąkolwiek poświatę - oceniłem wychył staruszka poza rynnę na krawędzi dachu. Fakty i słowa świadków się nie zgadzały.

Droga do domu dłużyła mi się niemiłosiernie. Koniecznie chciałem wrócić w domowe pielesze. Otrząsnąć z tego niesamowitego nastroju, o który mnie przyprawił widok ofiary, jak również dziwaczne otoczenie. Wielki dom, zaniedbany ogród, kuśtykający staruszek mówiący zagadkami. Sprawa różniła się od innych jakimś podtekstem, religijnym czy filozoficznym; nie wiem czemu, ale tak myślałem.

U siebie, jak zwykle po oględzinach miejsca morderstwa, zapaliłem wszelkie światła oraz puściłem głośną muzykę. Policjant też człowiek, kiedy widzi truposza, to mu potem nieprzyjemnie. Zacząłem przeglądać zabrane papiery, jakieś stare wydruki komputerowe, kilka wyrwanych stron z książki do biologii, chyba klasa szósta, i znowu wydruki... Nagle, po odwróceniu kolejnej strony, ujrzałem napisane czarnym flamastrem słowo „niżej”.

Wzięłem pokrywę. „Nawet jeżeli sam się zabiłem, to świat mi w tym pomoże”. Te same litery, przypuszczalnie ten sam flamaster.

- Co: „niżej”? - spytałem głośno sam siebie.

- Niżej, czyli szukaj dalej, tam gdzie szukasz, tylko niżej, w pudle - odpowiedziałem sam sobie. - Dlaczego je tam zostawiłem? Idiota!

Trzeba wracać po te papierzyska.

O ile pobyt w domu zamordowanego razem z Chwiejczakiem i ekipą techników nie należał do przyjemności, o tyle samotna wyprawa w czarne, uśpione miasto i przejście przez ogród z tym straszonym, smutnym kasztanowcem były doświadczeniem na skraju mojej wytrzymałości. Trup, tajemnica, stary dom i nocna cisza. To było nie na moje nerwy. Przeklinałem pod nosem Wątrobę za przydzielenie mnie do tej sprawy.

- Cholera, pozamykali na cztery spusty! - stękałem, manipulując przy zamkach. Musiałem wypróbować wszystkie klucze do domu, które dostałem od techników. Żaden nie pasował. Gdy wchodziłem na podwórko, pomimo ciemności zauważyłem lekko odchyloną firankę u Brony; dziadzio był na posterunku. Ciekawe, czy do mnie też zejdzie, kiedy zacznę rzucać niezwykle blask. Tak gderając, mocowałem się z zamkiem. Nagle poczułem się nieswojo, bardzo nieswojo. Ktoś stał przy mnie. Tuż, tuż przy mnie.

Odwrociłem się.

Nikogo.

Czyżby stał za drzwiami? Założyłbym się, że słyszałem jego oddech. Głośny oddech, z pewnością należący do istoty żadnej krwi i ofiary składanej jakimś prymitywnemu bożkowi. Ofiary ze mnie? Rany Julek! Staliśmy tak przez moment w milczeniu, w końcu zebrałem się w sobie. Przecież jestem odważnym policjantem, stróżem prawa i porządku.

- No to mam cię! - wrzasnąłem z całych sił, wsadzając ostatni możliwy klucz do zamka. Zgrzytnęło i po chwili drzwi ustąpiły. W korytarzu nikogo nie było. Głowę bym dał, że ktoś tu stał, choć przecież nie mogłem go widzieć przez deskę drzwi. Omamy słuchowe?

- Mhm, po...policja, mhm, proszę wyjść! Proszę nie utrudniać czynności! - zawołałem w głąb mieszkania.

Odpowiedziała mi cisza. Zapaliłem światło, w pokoju też nikogo. Zionęło spokojem i pustką, zegar cykał, lodówka zawarczała. Z pewnością nie było tu nikogo. Przypomniałem sobie o celu wizyty.

Gdzie to pudło?

Spojrzałem na najniższą półkę, ale pudło zniknęło. W miejscu, gdzie stało jeszcze dwie godziny temu, ktoś postawił czerwony goździk w słoiku, nawet wody nalał. Zrozumiałem, że ktoś tu jednak był, może nawet jeszcze jest. Nogi ugięły się pode mną ze strachu przed nieznanym.

„Pieczarki marynowane” – tłukła mi się po głowie myśl, wspomnienie etykiety na słoiku z goździkiem, gdy uciekałem z mieszkania. W panice pędziłem przez czerni ogrodu, nie zważając, że zostawiłem otwarte drzwi. Widziałem oczyma duszy, jak goni mnie tysiąc psychopatów gotowych zrobić ze mnie mielonkę, by potem odwiedzać mój grób, zostawiając na nim goździki w słoikach po marynatach. Czuję ich oddech na plecach, słyszałem tupot ich stóp. Nie mogę się odwrócić, muszę uciec.

Wskoczyłem do samochodu, dysząc niczym niemiecka lokomotywa z czasów wojny jadąca na front wschodni. Dopiero za którymś razem trzęsącymi się rękami trafiłem kluczykiem do szpary, rozrusznik kręcił i kręcił, ale nie mogłem zastartować.

–Nie! Nie! – Jak oszalały waliłem pięściami w kierownicę. – Ruszaj, ty rżęchu!

Opadłem głową na kierownicę, łkając z przerażenia.

– Ja pierdołę, ja pierdołę! – chlupałem.

Po chwili nieco się uspokoiłem. Nie odjeżdżałem, ale też nic się nie działo. Skoro mnie dotychczas nie dopadł, to już nie dopadnie, jego szanse malały z każdą sekundą. Jestem tchórzem? Spanikowałem?

– Nie ma żadnych psychopatów, nie ma. Spokojnie. To tylko miłośnicy kwiatów ciętych i grzybków. Spokojnie, człowieku...

Powoli dochodziłem do siebie. O, u Brony zapaliło się światło, pewnie dziadzio pucuje sztuczną szczękę przed snem. O, i jakiś pan

z psem na spacerku.

Obróciłem się i wtedy zobaczyłem straszłą, wykrzywioną twarz przyklejoną do szyby tuż obok mojej twarzy. Wrzeszcząc, rzuciłem się do drugiego okna, tam też pojawiła się jakaś twarz, obok następna i jeszcze jedna, i kolejna...

- Aaa! - Zerwałem się cały zlany potem, z impetem stoczyłem się z łóżka, rąbnąłem głową w kant szafki i... znowu byłem w rzeczywistości. - Moja ty, kochana, nie ma psychopatów, nie ma! - Uszczęśliwiony całowałem mebel i swoje znoszone pantofle pod łóżkiem, i w ogóle wszystko, co miałem w zasięgu ust. - To tylko sen, co za ulga, wspaniale!

Po chwili naprawdę wróciłem do siebie i przestałem molestować sprzęty domowe. Staralem się odpędzić wspomnienie złego snu. Umyłem się, ubrałem. Zadzwoił telefon.

- Ty, kolego, już ósma! Do pracy dziś nie przychodzisz?! - Wątroba najwyraźniej stęsknił się za mną. - Masz pełno roboty!

Wcale się nie przejął faktem, że mnie wysłał w środku nocy do ciężkich zadań i należy mi się czas na wypoczynek po tej przyjemnej wycieczce.

- Hm, tak, już jadę - zapewniłem go o swojej gotowości.

- I Chwiejczak już się nie może ciebie doczekać. - Komisarz wiedział, jak mnie zachęcić do pośpiechu.

W tle usłyszałem jakieś łupnięcie. Pewnie lakierkami o podłogę.

- No to pięknie, już jadę. - Udałem, że się cieszę.

- Więcej entuzjazmu! - Wątroba miał dziś humor z odcieniem sadystycznym. - Chyba zrobię z was stały team, pasujecie do siebie.

- Jak but na głowę! - mruknąłem, wyłączając czym prędzej tę idiotyczną dyskusję.

Rozglądałem się po pokoju. Zacząłem zbierać rozrzucone wczoraj papiery; obejrzałem każdy, ale żadnej zapisanej z tyłu kartki nie

znalazłem. Bezwartościowe szpargały, pudło nie miało żadnego znaczenia. To był sen, z pewnością tylko zły sen, przerażający swoim idiotyzmem. Wziąłem papieryska pod pachę, teczkę w rękę, jeszcze parasol, bo na zewnątrz kropiło. Wyszedłem, lecz po dziesięciu sekundach zawróciłem, żeby sprawdzić, czy wszystko wyłączyłem i zakręciłem krany. Nie pamiętałem już ranka w ciągu ostatnich dwóch lat, żebym wyszedłem bez zawrócenia. To roztargnienie pewnie wynika z przepracowania, choć Wątroba wielokrotnie twierdził, że z mojego wrodzonego lenistwa.

Wreszcie ruszyłem do samochodu. Po drodze w kieszeni znowu rozdzwoniła się komórka. Wiedziałem, kto to. Ile razy można dzwonić do swojego podwładnego w ciągu jednego poranka?

- A dzwoń, sobie dzwoń, Wątrobo pier...piernikowaty. Będę tańczył, jak mi zagrasz, tak sądzisz? Hej, samba, mamba, bum! Dzwoń do woli i tak nie mam ręki, żeby odebrać - podśpiewywałem do rytmu melodii mojego dzwonka. Miałem dość telefonicznej indoktrynacji.

Dzieci sąsiada idące do szkoły odprowadzały mój występ zdziwionym wzrokiem. W aucie wyszarpnąłem w końcu grający aparat. Właśnie zamilkł. Zerknąłem na wyświetlacz. Numer zastrzeżony. Pik, pik, masz wiadomość w poczcie.

Coś zachrobotało w słuchawce i usłyszałem niski, grobowy głos, wypowiadający jedno jedyne słowo:

- Niżej.

- Uspokój się. Zwariowałeś? Jaka zmiana adresu, jaka operacja plastyczna? Na razie nikt ci nie groził, nie masz nic, zupełnie nic! Z punktu widzenia policji oczywiście. - Gruby policjant położył mi rękę na ramieniu, próbując uspokoić swoimi metodami godnymi psychologa-amatora.

Wodziłem rozbieranym spojrzeniem po pokoju. Chwiejczak odstawał właśnie krzesło, którym zabarykadowałem drzwi. Wątroba

podnosił żaluzje, opuszczone przeze mnie w panice po wbiegnięciu do komisariatu.

No tak, racja. Powoli opadały ze mnie emocje. Słowa Wątroby, jakie by nie były, napawały mnie odrobiną nadziei, że może przeżyję następne dwadzieścia cztery godziny w jednym kawalku. Mój szef zastygł, wpatrując się w moją przestraszoną twarz. Po chwili uśmiezek pełen zadowolenia z koncepcji pływających w jego małym mózgu wypłynął na usta.

– Właściwie to się dobrze składa. Jeżeli oni cię obserwują, to rośnie szansa, że nam wpadną w ręce – wprowadził mnie w rolę, jaką właśnie mi przydzielili w myślach.

– Dzięki. Mam robić za przynętę? – Nie paliłem się do bycia ofiarą jakiegoś psychologa, wielbiciela goździków w słoikach.

– Nie. – Oczka pływające w tłustej fizjonomii wwiercały się we mnie, nakazując wziąć się w garść i nie utrudniać innym życia. – Masz być dobrym gliniarzem, który wykorzysta tę sytuację, a nie zrejeruje, zmieniając sobie nazwisko i twarz, niczym kobieta dla jakiegoś kochanka. Zresztą nie masz na to kasy, a świadkiem koronnym nie jesteś i państwo ci tu nic nie zafunduje. Rozumiesz, Misiek?

Zapadła krępująca cisza. Bardzo, bardzo krępująca cisza.

– Dlaczego nazwałeś mnie Misiek, odbiło ci? – W końcu otrząsałem się ze zdumienia wywołanego ostatnim określeniem.

– Mhm... – Wątroba zmieszał się, sam najwyraźniej zaskoczony tym, co powiedział. – Tak. Znaczy... Tak mi się kojarzysz. Od kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy, to sobie pomyślałem, ot, Misiek. He, He! Misiaczek! Mhm, przepraszam.

Patrzyłem na Wątrobę oniemiały. Co jest? W co on pogrywa? W ramach odwetu postanowiłem mu powiedzieć, jak go czasem nazywamy. Niech tłuszczoch wie, że jest obiektem niejednego dowcipu.

– My... znaczy ja też... – zacząłem, jednak czułem, że to, co łatwe w myślach, staje się niezwykle trudne w czynach, szczególnie wobec szefa przyznającego lub nie coroczną premię i podwyżkę.

– Co też? – zapytał z błyskiem zaciekawienia w oku.

– My... ja... – Straciłem nagle cały impet. Wiedziałem już, że raczej nic z tego nie będzie. Ale zdanie trzeba było jakoś dokończyć. – Ja też czasem myślę o sobie Misiek. – Zrejtrowałem w ostatniej chwili.

Poczułem, jak fala gorąca zalewa mi twarz, uszy robią się czerwone, oczy napęlniają się łzami. Jezu, ale wstyd!

Chwiejczak chrząknął, wytrzeszczając oczy ze zdumienia; pewnie był przekonany, że jest świadkiem czegoś w rodzaju homoseksualnego love story.

– Na komendzie mi nie uwierzą! – jęknął w końcu.

– No, już dobrze! – Wątroba pierwszy przerwał ciszę. – Wszyscy jesteśmy przepracowani. A wy, Chwiejczak, jeżeli chcecie kiedyś awansować, to radzę wstrzeźliwość w słowach.

Wątroba zmierzył go surowym wzrokiem, Chwiejczak zamrugał nerwowo powiekami.

– Znaczy morda w kubeł! – Wątroba domyślił się powodów jego stresu.

– Taaak jest, panie komisarzu! – Posterunkowy huknął butami służbiście, jak tylko on potrafił. Wątroba się uśmiechnął, zadowolony z postawy niektórych swoich podkomendnych.

– No to do roboty. Na Wolbromską! – zakomenderował.

Przestraszony wpiłem się pazurami w krawędź stołka.

– Nie jadę, tam jest strasznie, nie jadę! – Powróciło wspomnienie przerażenia czyjąś obecnością za drzwiami w ciemnym, opuszczonym domu oraz tych koszmarnych twarzy przyklepionych do szyby samochodu.

Wątroba i Chwiejczak wymienili znaczące spojrzenia. W końcu Wątroba pokręcił ręką przy czole, pokazując, co o mnie myśli i westchnął.

– Jedźcie tam sami, Chwiejczak. Do jutra mu przejdzie. – Potem dodał: – Miejmy taką nadzieję.

Po minucie przebrzmiało echo trzaśnięcia butów dzielnego posterunkowego, spieszącego do kolejnych zadań w służbie ukochanej ojczyzny. A my spojrzeliśmy z Wątrobą po sobie. Jakiś ptaszek śpiewał za oknem, w pokoju obok dzwonił telefon, dyżurny, gruby Edek, przyjmował co rusz nowe zgłoszenia o kradzieżach i rozbojach. A my patrzyliśmy w zadumie, to na siebie, to na tego ptaszka, myśląc, jak trudne jest życie policjanta, jak niedoceniana nasza praca, jak marne zarobki i jak cienka kawa w automacie.

– Tak – mruknął w końcu Wątroba, nadal w zadumie.

– Tak, tak – przebiłem go w ilości słów.

Grubas spojrzął na mnie wyzywająco. Wiedziałem już, że powiedziałem coś nie po jego myśli.

– Tak, tak, tak i tak.

O nie, nie dam się tak łatwo. Szybko policzyłem na palcach.

– Tak, tak, tak, tak, tak, tak i jeszcze raz tak.

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Tak, tak, tak, tak, tak, tak, tak, tak, tak, tak oraz tak! He, he, he!

Po chwili staliśmy naprzeciw siebie, purpurowi jak indyki przed kopulacją, i wrzeszczeliśmy na siebie, powtarzając to jedno proste słowo.

Znaczy ja wrzeszczałem, bo Wątroba i stażysta patrzyli na mnie ze zdumieniem. Rozejrzałem się po pokoju. Co jest? Znowu sen?

– Hej, uspokój się, mała drzemka nie zaszkodzi, ale po co od razu tak krzyczeć? – Wątroba stał za swoim biurkiem i trząsał się ze śmiechu jak pudding w kreskówkach. Stażysta w kącie trząsał się ze śmiechu jak stażysta.

– Ale jaja! Ciekawe, co ci się takiego śniło? Może jakaś zgrabna kobitka? – komentował moje zachowanie komisarz. Znowu się zatrząsał rozbawiony. Pomyślałem, że czasem go nienawidzę, a nawet dość często. Może mała nieszkodliwa próba jako zemsta nie zaszkodzi?

- Chcesz, to ci powiem. Śniłem o dziwnym osobniku, który w myślach nazywa innych różnymi dziwacznymi imionami.

Uśmiech Wątroby zniknął jak zdmuchnięty.

- Do roboty! - rozkazał, sadzając stażystę do roboty przy jakiejś tabelce na ekranie komputera, którą wypełniał już kolejny dzień.

Ruszyłem do dokumentów wziętych wczoraj z miejsca morderstwa. Zacząłem szukać kartki z napisem „niżej”. Niestety była w tych papierach. Kurczę, trzeba jechać na tę Wolbromską po to pudło. Trudno. Z drugiej strony zacząłem się bać o swój los. Co jest w tym śledztwie prawdą, a co snem lub przywidzeniem? Skoro atak na Wolbromskiej i pojedynki słowne z Wątrobą w komisariacie były iluzją, to dlaczego i te papiery nie mogłyby być przywidzeniem? Jednak wyraźne słowa polecenia przełożonego i odgłos wrzasków niecierpliwych petentów u dyżurnego za ścianą sugerowały, że tymczasowo jestem w realnej rzeczywistości. Trzeba jechać na miejsce zdarzenia.

W pracy policjanta liczą się upór i odwaga. Jeżeli nie wiesz, co dalej robić w śledztwie, to rób cokolwiek, byle z całych sił, a na pewno coś z tego wyjdzie. W kwestii odwagi odwrotnie, boisz się gdzieś jechać, coś zrobić, nie szafuj nadaremno cennymi zasobami. Wyślij innych lub unikaj zaangażowania. Zachowuj siły, by dopiero swoim ewentualnym popisem w późniejszej fazie, kiedy grunt stanie się pewniejszy, zadziwić przełożonych i kolegów.

- I tubylców z Wysp Baranich. Ech, byle do emerytury - dopowiedział mój rozsądek, mający nieco doświadczenia z kolegami i ich podziwem dla mojej pracy. Korytarzem nadchodził Chwiejczak. Myśl stawała się czynem, pora wcielić w życie moje koncepcje uporu i odwagi.

- Chwiejczak, pamiętacie to pudło u denata, co je wczoraj widzieliśmy? - zagadnąłem go.

Zmarszczył czoło w trudzie przywoływania wspomnień, jakby to się wydarzyło kilka wieków temu. A on miał dodatkowo w tym czasie milion innych spraw wagi państwowej.

– Zaraz, zaraz, był ten dziadek i ta stara od belzebubów...

– Chodzi o karton, o-pa-ko-wa-nie! Skoczcie no tam na Wolbromską i przywieźcie je. A jak go nie będzie, to zobaczcie, czy przypadkiem zamiast niego gdzieś tam goździk w słoiku nie stoi – przekazywałem polecenia.

Chwiejczak wybałuszył oczy ze zdziwienia.

– W jakim słoiku? – Był najwyraźniej zdziwiony tą informacją.

– A nie spytacie, jaki goździk? Po pieczarkach marynowanych – wyjaśniłem.

Po chwili odszedł, oglądając się podejrzliwie.

Wątroba wychylił się ze swojego kantorka, pomachał ręką.

– Mamy jednego koleżkę w tej sprawie od ukrzyżowanego, znaczy jeszcze nie mamy, ale to może być on. Stary znajomy, siedział już za bimbrownictwo i włóczęgostwo. W mieszkaniu były jego odciski palców.

Zarośnięty szczecina osobnik okazał się bardzo elokwentny i rzeczywiście był nam już znany. Nawet sam go kiedyś przesłuchiwałem, ale dziś sprawa była dużo poważniejsza. Morderstwo to nie kradzież bułki z piekarni.

...zaraz tak na ty, gęsi razem nie paśliśmy, panie grubszy. Dobra, z chudym też mogę pogadać. Jak się nazywam, to już mówiłem, ale powtórzę, Wasiak Roman.

Tak, znam go, jak już pan, panie młodszy, pytasz, znam tego koleżkę.

Że nie żyje, to pół miasta gada, a jak umarł, to drugie pół. Razem, panie, całe miasto. Taka afera, to i gadają.

Skąd go znam? W moim fachu różnych takich porypańców się zna, ale ten był spoko. Towarzystwa szukał, tośmy z braciszkami go przygarnęli.

Nie, nie, to braciszkwowie, panie, duchem, nie krwią, wspólne zainteresowania... Tak szczerze, to samotny był strasznie, opowiadał, że kościół chciał boży zakładać, ale go zdradzili...

Kto, nie wiem, pewnie te krówki boże z tego kościoła bożego, w każdym razie żal do życia miał, że ci ludzie to takie, panie, świnię, ale to żadna nowina, u nas to każdy ma jakiś żal, tylko braciszkwowie są ludzcy, czasami...

A bywało się u niego, bo on z tą bożą ideą szukał kogoś, komu można pomóc. A jak dają, to się nie odmawia... ten jego dziadzio Broda, czy jak mu tam, też.

A pewnie, że się znali, piliśmy nieraz razem z tym Brodą czy Broną...

Co, ja zabiłem?! Panie grubszy, bimberk i drobne sprawy to jedno, a krzyżowanie to drugie, mają się tak jak pan do modelki. Może to te krówki boże, może mafia urugwajska! Skąd wiem, że krzyżowanie? Ktoś to widział i rozgadał. Nie upilnowaliście. Mnie tam nic do tego. Żal chłopaka, ale ja tego nie zrobiłem.

Najwyraźniej Warecka puściła informacje w obieg. A może Brona? Ech, ci wścibscy starszkwowie. Postanowiłem trochę zablefować. Może ten Wasiak ma z tym coś wspólnego.

– Przecież ty tam byłeś wczoraj wieczorem. Byli tacy, co widzieli, jak wychodzisz z domu – powiedziałem, patrząc mu prosto w te jego wiecznie kręcące się nerwowo oczka. Chyba trafiłem.

Co? Kto mnie widział? Macie już ich?

Zresztą opowiem, co mi tam...

Byłem tam wczoraj. Tak, już po was, pojechali wszyscy, a ja wiedziałem, że on zawsze w takim schowku trzyma... No pieniądze trzyma. To postanowiłem, żeby się nie zmarnowały. Wszedłem do mieszkania. Jakie włamanie, panie grubszy? A tam nie było nic w tym pudełku, panie, tylko kartka. Zaraz, zaraz, tu ją mam.

Wszyscy się pochyliliśmy nad zmiętoszonym świstkiem wyciągniętym z kieszeni. Tekst był krótki:

„Wasiak, powiedz im, że sam się zabiłem, a cała reszta to bujda”.

Wątroba pokiwał z uznaniem głową.

– Znał cię, Wasiak, na wylot, braciszku jeden. Lubisz spożywać owoce nie swojej pracy, to i wiedział, że znajdziesz.

Wasiak milczał przez chwilę, jakby zawstydzony. Szybko mu jednak przeszło.

To ja dokończę, zanim sobie pójdę. Kiedy tak marudziłem nad tą kartką, usłyszałem jakieś szmery. To byli nieznani ludzie, nie policja. Nie wiem kto ani jak weszli, nie słyszałem żadnego odgłosu drzwi. Mieli małe latarki. Co? Byłem za zasłoną w pokoju, myślałem, że umrę ze strachu. A ci nic nie mówili, podeszli do tego pudła na dole i całe rozszarpali. Jeden powiedział tylko: „Bracie, jest”. Posprząтали papierki i wyszli, z tym pudłem. Też nie drzwiami, zniknęli gdzieś w korytarzu.

Co, goździk? A, goździk, stał w kuchni w jakimś słoiku, może i po pieczarkach, jeszcze nie zwiędnął, to go dałem w miejsce pudła, żeby pusto nie było, bałem się, że się wyda...

Ale to nie ja, ja tylko do tego schowka...

Z tego wszystkiego to najbardziej mi żal jego matki, matka zawsze za dzieckiem płakać będzie.

– Tak – powiedział w zadumie Wątroba, już po wyprowadzeniu Wasiaka, spoglądając na mnie jakoś dziwnie.

– Tylko nie zaczynaj! – zachnąłem się.

– Czego mam nie zaczynać? To chyba rzeczywiście był tylko pojedynek w śnie. – Wątroba znowu na mnie popatrzył. – Wiesz co? Idź do domu, prześpij się, a jutro mi powiesz, kto to zrobił. I masz się nie budzić, póki wszystkiego się nie dowiesz, jasne? – rozkazał mi tonem jak najbardziej poważnym.

– Oczywiście, jasne. Mam tylko jedną prośbę. – Nie mogłem przecież nie wykonać rozkazu przełożonego.

– Słucham – zaciekawiał się ów przełożony.

– Daj mi ten rozkaz na piśmie. – Jak procedury, to procedury.

Wątroba galopował przez chwilę palcami po blacie. Najwyraźniej ważył w głowie potencjalne reakcje: śmiech, gniew, oficjalne pismo, skierowanie do psychologa. U niego wszystko było możliwe.

- Racja, nie mogę ci narzucać tego, co masz robić po pracy. Ale gdyby coś ci się obilo o uszy lub oczy, daj znać - wreszcie się zdecydował.

Wszedł Chwiejczak wracający z domu na Wolbromskiej.

- I co? Stoi? - rzuciłem pytanie, znając już odpowiedź od Wasiaka.

- Stoi. Skąd pan wiedział, panie inspektorze? Po co ja tam jechałem? Żeby zobaczyć goździka? - zaperzył się Chwiejczak, sądząc zapewne, że z niego zażartowałem.

Wątroba poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

- Żeby nasza wróżka miała satysfakcję, Chwiejczak! Jesteście bardzo przydatni. No to do roboty! Na Wolbromskiej już nie tak strasznie, co? Można jechać i posuwać śledztwo? - pocieszał strapionego posterunkowego, zgodnie ze swoim marnym poziomem domorosłego psychologa.

Pomyślałem, że chyba jednak musiałem gadać przez sen.

- Aha, jeszcze ta matka! Wiecie, Chwiejczak, że ten, jak mu tam, Karbowski, miał matkę? - zadał pytanie komisarz.

Chwiejczak trzasnął butami i z dumą wyprężył pierś.

- Wiem, panie komisarzu! - potwierdził dumnym głosem.

- A skąd? - Wątroba nie krył zdziwienia.

- Każdy ma matkę, panie komisarzu! - doprecyzował źródła swojej wiedzy Chwiejczak, a twarz mu się rozjaśniła w wyniku tego popisu kompetencji.

- To już bardzo dużo wiecie. - pochwalił go komisarz. - Ustalcie, co to za kobieta i gdzie ją znajdziemy! - Następnie zwrócił się w moja stronę. - A ty...

- Tak, tak, wiem, do łóżka i nie budzić się do czasu wyjaśnienia sprawy.

- To później, na razie do mieszkania, gdzie chodzą ci straszni ludzie i czyhają na cie-bieeee!

Wątroba zbliżał się do mnie, udając ducha, cedząc słowa i unosząc ręce do góry, grozę postaci podkreślając wytrzeszczonymi oczami. Chwiejczak rechotał.

- Nienawidzę was - mruknąłem, czym jeszcze bardziej ich rozśmieszyłem.

Przed wyjazdem podsumowaliśmy z Wątrobą fakty. Z dotychczasowych informacji wynikało, że zamordowany był związany z jakąś sektą, ale według słów zatrzymanego braciszka miał z nią na pieńku. Różne ślady wskazywały wstępnie na samobójstwo, jednak stan ciała i odwiedziny nocnych gości trochę mąciły ten obraz. Na dodatek ten sąsiad... Czemu kłamał?

- Przyciśnij tego Brodę. - Wątroba jadł kanapkę z jajkiem i bełkotał z wypchanymi policzkami. - Przyciśnięta broda otwiera usta.

Wątroba nacisnął swoją brodę i zilustrował, jak wyglądają otwarte usta, niestety, wewnątrz jego ust wypełniała pogryziona kanapka. Ujrzałem ohydny szarawą masę, poprzyklejaną do zębów i podniebienia, po brodzie pociekła komisarzowi strużka śliny.

Poczułem, że zawartość żołądka podchodzi mi do gardła i zaraz rzygnę prosto w... Uff, udało mi się powstrzymać, a Wątroba na szczęście zamknął paszczę.

- On się nazywa Brona! Zapamiętaj, na litość boską! - wrzasnąłem.

- No dobrze, co się denerwujesz? Poza tym pojawiło się to! - Wątroba nie lubił, gdy ktoś podnosił na niego głos.

Rzucił mi jakąś lokalną gazetę, gdzie na pierwszej stronie widniał artykuł z tytułem: „Mesjasz umęczony”. Artykuł, ozdobiony reprodukcją świętego obrazka, w pompatycznym stylu opowiadał historię chłopca, który od najmłodszych lat był niezwykle, pomagał ludziom, rzucał światłe myśli, a gdy dorósł, założył nowy kościół, skupiający

„prawdziwych” chrześcijan. Historia kończyła się tym, że jacyś prześladowcy, niegodziwe kanalie, zamordowali nowego mesjasza na progu jego kościoła i ukrzyżowali jak Jezusa.

– „...po śmierci pojawiła się nad Jego głową aureola, a całe ciało Jego rzucało blask niezwykajny...” – Wątroba zacytował wcześniej zakreślony fragment.

Spojrzałem na niego pytająco.

– Tak, tak, jak się dobrze wczytasz, to znajdziesz tu odpowiedź na kilka pytań z naszego śledztwa. O ile przyjmemy, że ten artykuł coś znaczy. Tyle śmiecia się teraz ukazuje... A jeżeli znaczy, czemu akurat teraz się pojawił?

– Chcą go zrobić świętym. Tylko kto i po co? Kto to dziś kupi? Ludzie trzymają się teraz z dala od spraw boskich.

– Nie wszyscy. Kto ma kupić, kupi. Trzeba sprawdzić tę gazetę. Chociaż spójrz tutaj, drobnym drukiem oznajmiają: „Tekst sponsorowany, za treść publikacji redakcja nie odpowiada”. Pięknie, umywają ręce od reklamówki morderstwa w nakładzie dwudziestu tysięcy egzemplarzy. Świat zwariował.

Jechałem na miejsce z gorącym postanowieniem przyciśnięcia Brony, zgodnie z wytycznymi mojego przełożonego. Braciszkwowie w pobliskim parku czynnie wspierali sadowników konsumpcją płynów alkoholowych. Znowu wydało mi się, że widzę kolegę Wątroby – Metalowego Piotra czy jakoś tak. Zaparkowałem samochód pod domem. Spojrzałem tam i zastygłem. Czy mi się zdawało, czy ktoś przeszedł w mieszkaniu koło okna na parterze? Aż się wzdrygnąłem na myśl, że będę tam musiał zajrzeć. W głowie znowu pojawiło się wspomnienie pustego domu, gdzie ktoś się kręci w taki sposób, żeby nikt go nie zobaczył, knuje coś złego, a za oknem szumi ten okropny kasztanowiec. Może Chwiejczak by mnie wyręczył? Stałem przez chwilę, medytując nad swoją zasadą upor i odwagi.

- Ech, trudno! Dziś trzeba zadziwić przełożonych swoim zaangażowaniem. Ale najpierw Broda, tfu, Brona – postanowiłem pokonać moje lęki.

Od razu stanęła mi przed oczami obrzydliwa masa w paszczy Wątroby. Fuf!

Zadzzwoniłem do drzwi na piętrze. Żadnej odpowiedzi, dziadka nie było.

- Trudno – mruknąłem, czując ulgę, że nie muszę się już starać. Wtedy usłyszałem szybkie kroki, ktoś się zbliżał, pomacałem kaburę pod kurtką. Rany boskie! Czy nabiłem pistolet? Nie pamiętam! Ostatni raz czyściłem broń za Piasta Kołodzieja.

- A, to pan policjant. – Zza rogu, kuśtykając, wyszedł Brona.

Otarłem pot z czoła i odetchnąłem z ulgą.

- Tak, policjant, w rzeczy samej. Chciałem porozmawiać o pana związkach z Karbowskiem – zasygnalizowałem cel mojej wizyty.

Weszliśmy na górę, Brona mnie wpuścił do mieszkania.

- Często pan wychodzi, wcześniej mówił pan, że nigdy, prawie nigdy, z powodu choroby.

Brona burknął coś w odpowiedzi. Był wyraźnie zdenerwowany moją wizytą. Odpowiedzi były coraz bardziej pokrętne i jasno wskazywały, że staruszek ma coś do ukrycia. Poza tym przyszło mi do głowy, że słyszałem Bronę nadchodzącego szybko i pewnym krokiem, który zwiastował raczej siłę i tężyznę fizyczną. Gdy tylko mnie zobaczył, zaczął kuleć. Udaje? Kogo? Powtórzyłem mu informacje uzyskane od Wasiaka.

...przecież już mówiłem, że nie łączyło mnie z nim nic poza wspólnym domem.

Kto taki? Wasiak? Wierzy pan menelowi?

Co? Skąd wiem, że menel? Bo... bo wiem, tutaj wszystko się wie o okolicznych układach.

No może raz tam byłem, ale prawie go nie znałem...

*Nie ciśnij pan, bo człowiek pod naporem tylko głupoty gada!
Powiedziałem, co wiem!*

Spokojny staruszek przemienił się na moich oczach w energicznego nie-staruszkę o żywej gestykulacji i zdecydowanym, choć mocno nerwowym sposobie bycia. Znać było, że psychika odmawia mu posłuszeństwa. Dla każdego policjanta był to jasny znak, że należy się wziąć za baczniejszą obserwację jego poczynąń.

Zacząłem się żegnać, Brona cały czas głądził, że on właściwie nikogo nie zna, a nawet jeżeli zna, to słabo i nic przydatnego nie wie. Miałem wrażenie, że mnie nie wypuści, dopóki nie dowiedzie, że jest stetryczalym, ograniczonym umysłowo dziadygą, który spędza dni na siedzeniu w oknie i drapaniu się po jądrach. Uzyskiwany efekt był wręcz odwrotny. Z każdym słowem traciłem zaufanie do jego osoby i opowieści.

Kiedy wspomniałem, że muszę jeszcze rozejrzeć się po lokum na parterze, natychmiast ruszył za mną. Ponoć by sprawdzić pocztę w skrzynce. Otwierałem drzwi w jego asyście, każdy mój ruch uważnie obserwował. Musiałem się go jakoś pozbyć.

– Panie Brona, poczta! – przypomniałem mu, po co zszedł na dół.

– Co? Ach, tak, poczta... – Takim entuzjazmem od razu zdradził, że to był tylko pretekst. – Zaraz zobaczę, chcę tylko spojrzeć na to mieszkanie. Wie pan, taki przesąd, he, he... Puste mieszkanie po nieboszczyku, szczęście, tego, no, cię spotka, byku, he, he...

– Dziwny przesąd, panie Brona! – mruknąłem. Otworzyłem drzwi i spojrzałem nieufnie w czerń korytarza rozlewającą się przede mną.

Zrobiło mi się nieswojo. Brr, mieszkanie po nieboszczyku...

Dziadek niecierpliwie mrugał oczami, czekając, aż będzie mógł wejść. Wpadliśmy do środka razem, Brona szybko obleciał mieszkanie, lustrując każdy kąt, i po tym obchodzie wyraźnie się uspokoił. Czego on tu szuka? Jego zachowanie było coraz dziwniejsze.

– No to do zobaczenia. Szczęścia na dziś wystarczy. Teraz poczta i do wyrka! – zakrzyknął niemal radośnie.

- Do wyrka? Przecież jeszcze wcześniej - zdziwiłem się, bo był środek dnia.

- Ależ się dziś nachodziłem, panie, a w moim wieku takie dreptanie wokół domu to jak maraton dla pana! - usprawiedliwiał się potokiem słów.

Chciałbym wyglądać po maratonie tak dziarsko jak on teraz. Cały czas gadał i wbrew zapowiedziom wcale nie zbierał się do wyjścia. Dowiedziałem się z jego paplaniny, że dom jest solidny, przedwojenny i mury ma grube, że dziś już takich murów się nie buduje, chyba że rekonstrukcje w zamkach, jak w Malborku, że to taka spokojna okolica, jedynie ci menele w parku to zakała dzielnicy...

- Panie Brona, łóżko czeka, w pańskim wieku takie gadanie na stojąco to jak dla mnie dwa maratony w przyciasnych trampkach. Proszę już iść! - Pragnąłem za wszelką cenę uwolnić się od tego obserwatora i komentatora moich poczynań w jednej osobie.

Wreszcie zamilkł, wydał wargi obrażony i wyszedł, udając niesłusznie strofowanego. Mogłem nareszcie spokojnie się rozejrzeć. Zamknąłem drzwi, na wypadek gdyby Brona chciał wrócić ze swoimi ploteczkami albo gdyby ktoś inny chciał tu zajrzeć. Przypomniały mi się słowa Wasiaka o ludziach myszkujących w nocy tutaj po zabraniu ciała. Dostałem gęśiej skórki.

- Bierz się w garść, jesteś policjantem! - próbowałem sam siebie pozytywnie motywować.

Najpierw sprawdziłem tę półkę. Czarne pudło stało nietknięte, otworzyłem je - te same książki i papierzyska, które widziałem wczoraj. Coś tu było nie tak, ktoś musiał kłamać. Przecież pudła nie znikają i nie pojawiają się same z siebie. A Chwiejczak, pomimo swoich licznych wad i śmiesznośtek, jest wzorem prawdomówności i dyscypliny. Byłem pewien, że tu przyjechał i sprawdził pokój jak trzeba. Znowu pojawił mi się przed oczyma wyobraźni obraz tajemniczych istot wynoszących pudło. Mogli je też potem odnieść. Co więcej, mogli tu jeszcze być w tej chwili, obserwować z ukrycia, kto chce zajrzeć do tych papierów.

Zacząłem nerwowo się rozglądać, na wszelki wypadek obszedłem całe mieszkanie, sprawdzając każdy kąt. Ani śladu kogokolwiek. W kuchni znalazłem pod zlewem mnóstwo słoików. Pomyślałem, że trzeba je obejrzeć. Może jeden z nich to ten po goździku? Kucnąłem i poświeciłem sobie latarką. Na jednym, daleko w tyle pod ścianą, perlily się jeszcze kropelki wody. Ktoś go tu postawił dopiero co. Jeszcze nie wysechł z wody. Delikatnie, przez folię wyciągnąłem go z szafki, będzie można skontrolować, czy nie zostały na nim jakieś odciski palców. Powróciłem do pokoju. W drzwiach stanąłem zaskoczony. Czyżbym miał omamy? Pamiętam, że pudło stało prawie przy krawędzi półki, a teraz było na środku. Co się dzieje? Zastygłem w przestrachu przed nieznanym czymś kręcącym się po tym domu. Tuż obok ciebie, przemykającym nieomal pod nosem, a jednak niezauważalnym, knującym coś na później. Przez kilkanaście sekund nie wykonałem ani jednego ruchu. Z otoczenia łowiłem każdy szmer lub inny niepokojący odgłos. Jednak nic się nie działo. Cisza. Tylko serce biło mi jak szalone, dudniąc młotem pod czaszką. I wielki kasztanowiec szumiał, pochylając się na wietrze, całkiem jakby zaglądał tu przez szybę i kontrolował, co się wyprawia w tym ponurym wnętrzu. Trzeba sprawdzić te papiery. Postanowiłem, że dokończę przeszukiwanie domu, a potem zabiorę wszystko na komendę. I więcej tu nie wrócę, choćby Wątroba mnie z pracy miał wylać. W komisariacie się zarygluję, ustawię strażnika w postaci Chwiejczaka i w bezpiecznym miejscu przejrzę wszystkie papierzyska. Rany, dlaczego właśnie ja muszę być przydzielony do tej sprawy?

Znowu wyszedłem na korytarz, następnie zacząłem opukiwać mury w korytarzu. Czasem to daje rezultaty. Zamaskowane przejścia, podwójne ściany, przejścia do pomieszczeń, skąd nie ma wyjścia. I zejścia do piwnicy. Solidny, przedwojenny dom powinien posiadać piwnicę, Wasiak nie miał chyba halucynacji, choć z braciszkami różnie bywa. I może ci osobnicy wyszli z piwnicy? W rogu korytarz został ścięty ścianką, wszystko elegancko wykończono boazerią, na suficie

można było jeszcze rozróżnić ślad po dawnych schodach na górę, do mieszkania Brony. Stara willa została podzielona na dwie części, zamurowano wszelkie przejścia pomiędzy nimi, ale one kiedyś istniały. A skoro były schody na górę, powinny być także stopnie prowadzące w dół, do piwnicy... Zacząłem pukać w ścianę, moje przypuszczenia się potwierdzały, niewątpliwie znajdowała się za nią pusta przestrzeń.

Przystawiłem płomień zapalniczki do miejsca łączenia ściany z podłogą – pochylił się, jest ciąg. Ale przecież nikt nie przecisnąłby się tamtędy, musiałby być gąsienicą. Mocno napałem ramieniem na ścianę, ale solidny mur ani drgnął. Sta nałem, zastanawiając się, co dalej. Wyobraziłem sobie, że oto, jak na filmach przygodowych, naciskam głowę rzeźby lwa i tajne przejście się otwiera. W tle brzmi muzyka potęgująca napięcie. Pociągnąłem silnie za rzeźbiony wieszak i... ścianka rzeczywiście się uchyliła. Solidny mur się przesunął i otwór za nim ział czarną dziurą i piwnicznym chłodem.

Ale jaja!

Po chwili nieco otrzeźwiałem. Czy mi naprawdę odbiło? Przecież całe życie, poczynawszy od pierwszych klas szkoły podstawowej, marzę jedynie o emeryturze, spokojnej lekturze porannej prasy, w pantoflach przy kominku, ze szklaneczką whisky w ręce – a tu takie wybryki. To może być bardzo niebezpieczne. Takie przejścia są używane przez złych ludzi, przestępców, którzy niewątpliwie mają coś do ukrycia i niewątpliwie będą chcieli tego bronić. Ja się nie nadaję do takich akcji. Boje się tajnych przejść i złych ludzi, którzy całymi dniami knują swoje nieczne plany. Tajne przejścia to nie jest typowy element architektoniczny! Choć może należałoby się zapytać Brony, tyle gadał o tych murach... A jeżeli tam się czai jakiś zły duch, jakieś straszne mzymu, albo szczury, albo pająki jak krowy?

Szczególnie myśl o pająkach wielkości krowy mnie przeraziła. Nie, nie wejdę tam za nic. Ale zaraz potem wyobraziłem sobie minę Wątroby, któremu raportuję:

...i otworzyły się te drzwi, a ja uciekłem. Przyjechałem tu, bo bałem się tam zejść sam. Proszę o wsparcie antyterrorystów i dodatkowo o Chwiejczaka jako osobistego ochroniarza...

To niestety nie przejdzie. Zasada uporu i odwagi nadal podpowiadała, że dziś jest dzień zmagania z samym sobą. Westchnąłem ciężko i ruszyłem w dół. Po pokonaniu dwóch pierwszych stopni wciąż żyłem, po zejściu z trzeciego również. Światło dnia pozostawało coraz bardziej w tyle, schody spiralnie prowadziły mnie w piwniczny chłodek. Latarka oświetlała najbliższe metry muru. Doszedłem do jakichś drzwi. Solidne stalowe drzwi przywodziły na myśl wejście do bunkra, jakby do kwatery Hitlera. Uff, pewnie zamknięte i po kłopotcie. Nacisnąłem klamkę, ciężkie odrzwia otworzyły się zaskakująco lekko. Przed sobą ujrzałem korytarz, a za nim pomieszczenie wielkości dwóch dużych pokoi, w kształcie litery L. Mrok rozpraszający znicze, palące się po przeciwległej stronie. Podszedłem bliżej. Stały na czymś w rodzaju ołtarza, oświetlały białą, jakby alabastrową rzeźbę. Spojrzałem na tę figurę i zamarłem. Przedstawiała Karbowskiego, ukrzyżowanego; wszystkie szczegóły zostały uchwycone jak na zdjęciu ekipy śledczej.

- Co tu się dzieje? - mruknąłem do siebie, zaciekawiony widokiem i zapominając na chwilę o strachu.

- Nic, nic, dziecinko - odpowiedział jakiś głos.

- To dobrze - odpowiedziałem, wdzięczny losowi, że ktoś mnie uspokaja i nie muszę się zmagać ze strasznym otoczeniem w samotności.

Nie od razu pojąłem, że taki głos nie jest czymś normalnym w katakumbach opuszczonego domu, należącego do zamordowanego członka sekty. Chwilę później, powalony ciosem, upadłem na ziemię, niczym Old Shatterhand z powieści Karola Maya ujęty przez Komanczów. A gdy doszedłem do siebie, ponownie ujrzałem znicze oraz kilka postaci w długich płaszczach. Miałem skrępowane ręce i leżałem na betonowej posadzce. Postacie rozmawiały ze sobą.

- Bracie Broda, nie powinniście go tu wpuszczać! - Jeden z nich strofował Bronę.

- Nazywam się Brona. Sam wszedł – tłumaczył się Brona. Nie rozpoznawałem, który z nich to staruszek. Wokół było ciemno, a oni wszyscy mieli na sobie płaszcz.

- Jeszcze się zastanowimy nad karą. Teraz weźmiemy się za niego – zdecydował głos najwyraźniej należący do szefa.

Ponura grupa zwróciła się w moim kierunku, otaczali mnie, ich oblicza skrywały cienie kapturów. Zmartwiałem. Twarzy nie widziałem, ale w miejscu, gdzie ludzkie istoty mają oczy, odnosiłem wrażenie, że jarzą się czerwone punkty. Zbliżali się powoli.

- I co z nim? – dopytywał się jeden z nich.

- Wrzucmy go niżej – padła zdecydowana odpowiedź. Niżej. W ciągu ostatnich kilku godzin zdecydowanie przestałem lubić to słowo.

- Aż tam? – Głos dopytującego się zadrżał przestraszonym.

Jeden z płaszczy przesunął z szuraniem betonowy wąż w podłodze, zawiąło stęchlizną i wilgocią, chyba nawet słyszałem kapanie wody gdzieś tam, w doskonale czarnych czeluściach.

Postać pochyliła się nade mną:

- No, dziecinko, czas na nas – syknął.

Mruknąłem w odpowiedzi:

- No to do widzenia.

- Zaraz dowcip ci się stępi, zginiesz w piekle – oznajmił mi głosem kojarzącym się z filmami grozy i tandetnymi horrorami.

Przełknąłem nerwowo ślinę.

- Jeszcze się nie wybieram – wydukałem, choć raczej że nikt nie oczekiwał mojej opinii.

- A i owszem, owszem. Brać go! – rozkazał szef. Pozostali przypadli do mnie.

Płaszcz chwycił mnie ze wszystkich stron i zaczęły ciągnąć do włazu. Rany boskie, co teraz?! Zapierałem się nogami, wrzeszczałem, czeluść była o krok. Tylko cud mógł mnie uratować.

– Przecież jako skazaniec mam prawo do ostatniego życzenia! –
zawyłem.

Postacie zatrzymały się, jeden z płaszczy mruknął:

– Chyba racja.

Płaszcz-szef podrapał się w tkaninę na domniemanej głowie.

– Gadaj! – warknął w końcu.

– Chcę stąd wyjść. – To rzeczywiście było moje największe marzenie
w tej chwili.

Płaszcze się rozstały, puszczając moje ręce.

– Proszę.

Zaraz jednakże szef wrzasnął:

– Zgłupieście, papieros, modlitwa albo coś takiego! Ale nic więcej,
brać go!

– Dobra, dobra! Chcę zaśpiewać piosenkę! – wybrałem swoją
ostatnią rzecz w życiu.

Płaszcze jęknęły głucho, ale pozwoliły.

– Nie będę śpiewać skrupowany. I tak wam już nie ucieknę. –
Zadbałem o dobre warunki dla mojego ostatniego występu.

Po zdjęciu węzłów zacząłem chrząkać, niby przygotowując gardło do
występu. W rzeczywistości panikowałem. Co dalej?

– No śpiewaj, nie chrząkaj! – pogończył mnie niecierpliwy płaszcz-szef.

Cóż było robić, zaśpiewałem. Na melodię „Don't cry for me,
Argentina” z musicalu Evita, tekst wymyślałem na bieżąco, nie znałem
oryginału. Póki śpiewałem – żyłem.

*Czy pamiętasz mamę i tatę, gdy jeszcze byłeś małym dzieckiem,
jak hasałeś po lesie i piękny był każdy dzień.*

*A ten smak naleśników i pierogów, i... i...innych dobrych rzeczy,
które robiła babcia, kiedy jeszcze miałeś mały płaszcz.*

A teraz co, piwnica i właz?

Pociągnąłem kilka zwrotek w tym stylu, płaszcz patrzyli na mnie w zadumie. Tak przynajmniej myślę, bo czarne otwory pod kapturami były zwrócone w moją stronę. Niektórzy nawet zaczęli się lekko kołysać do taktu. Może mam nieodkryty talent wokalny?

*Nie wrzuca się ludzi do włazu,
bo we włazie jest smutno... mhm... na razie.
Nie wrzuca się ludzi do piwnicy,
bo dostają depresji i nerwicy.*

Płaszcz po kilku zwrotekach chwycił tekst refrenu, który również wymyśliłem i powtarzałem co kilka wersów. Śpiewali razem ze mną, kołysali się coraz mocniej, nawet szef coś tam beczał.

- No, panowie! Ustawiamy się razem i robimy chórek - zakomenderowałem.

Ustawiłem ich w jednej grupce, improwizując coś na kształt chórkę przy jamie. Następnie stanąłem naprzeciwko i nadzorowałem pieśń, dyrygując z zapalem.

*Wolimy słońce i chmury od betonowej struktury.
Wolimy panienki i dobre jedzenie niż we włazie siedzenie...*

Płaszcz gromkimi głosami odśpiewały finał. Klaskałem zachwycony, oni zaś obejmowali się wzruszeni, poklepywali po plecach i dziękowali za oklaski ukłonami.

W tym podniosłym momencie zdecydowałem się na akcję, wziąłem potężny rozbieg i z rozwartymi ramionami wbiłem się w szczęśliwy chór. Wpadli jak jeden mąż do dziury, która była przygotowana dla mnie.

- Do widzenia! Wesołego śpiewania! - wrzasnąłem w czerni.

Usłyszałem z dołu jakieś przekleństwo. Odwróciłem się i ujrzałem zbliżającą się zakapturzoną postać. Rzuciła się na mnie.

Siłowaliśmy się przez chwilę, w szamotaninie zsunął się jej kaptur.

- Broda? - Zastygłem zdziwiony.

- Nazywam się Brona! Giń, śpiewaku! - zasyczał wrogo dziadek, który wcale nie był już schorowany ani powolny.

Wyszarpnął nóż zza pazuchy, chwyciłem go w ostatniej chwili za nadgarstek. Brona był niesłychanie silny. Czuję, że zaraz mnie dźgnie. Upadliśmy razem na podłogę, na samym skraju włazu. Chwycił mnie za gardło, zacharczałem. Dłoń trzymająca jego dłoń z nożem była coraz słabsza. Głosy z włazu dopingowały starego:

- Broda, dołóż mu!

Nadludzkiem wysiłkiem znowu odciągnąłem rękę z nożem. Brona gwałtownie ją wyszarpnął i zadał cios.

- Już dobrze, panie aspirancie! Żyje pan?! - Głos zrazu dochodził jakby z zaświatów, był tak odległy i niewyraźny, ale po kilkunastu słowach dźwięki się wyostrzyły i zaczęły docierać do mnie, uświadamiając mi, gdzie jestem. A dokładniej gdzie mnie nie ma. Szara piwnica z bandą płaszczy, figurką zamordowanego chłopaka i lichym oświetleniem kaganka zniknęła. Rozejrzałem się wokół, oprzytomniawszy już zupełnie. Znajdowałem się w samochodzie, który prowadził Chwiejczak. Spoglądał na mnie co chwile, trochę zaciekawiony, trochę przestraszony. Widząc, że mam otwarte oczy, odezwał się.

- I co, i co? Kto jest sprawcą? Gdzie mam jechać, kogo ująć? - Chyba pytał serio, tak przynajmniej to brzmiało.

Dotarło do mnie, co się wydarzyło. Uff, znowu sen! Czemu akurat ja muszę mieć takie widzenia? Dlaczego nie Chwiejczak ani Wątroba albo gruby dyżurny Edek? Posterunkowy nadal wyglądał, jakby czekał na rozstrzygające słowo kryminalistycznej wyroczni. Zdenerwowałem się.

- Wiecie co, Chwiejczak, odwalcie się! Nie jestem medium! Zwłaszcza za policyjną pensję aspiranta. - Obróciłem się do okna i wbiłem wzrok w migającą po bokach samochodu zieleni.

Chwiejczak zamilkł obrażony. Mijaliśmy wiejskie krajobrazy w drodze do miejscowości odległej o sto dwadzieścia kilometrów od

naszego miasta. Wątroba wysłał nas do matki Karbowskiego. Chwiejczak zdobył dane wraz z adresem jej zameldowania, a szefuńcio stwierdził, że matki zazwyczaj posiadają kontakt z własnymi dziećmi, więc trzeba ją wypytać o wszystko, co wie. I pojechaliśmy. Odprawa przed wyjazdem była krótka i konkretna. Komisarz przekazał w zwięzłych, policyjnych słowach zadania na najbliższe kilka godzin.

- W obcym terenie macie szansę się wykazać, zdobyć dane, kontakty, potencjalne motywy, wspomnienia i co tam jeszcze. Innymi słowy, nie zmarnujcie państwowej benzyny. - Dostaliśmy błogosławieństwo i kluczyki do nieoznakowanego radiowozu, czekającego już na parkingu.

- Tak jest! - Chwiejczak jak zwykle ryknął słuźbiście i wyszedł, by wypełniać swoje obowiązki.

Jestem pewien, że gdyby Wątroba kazał mu odciąć sobie nogę i zjeść na surowo, Chwiejczak trzasnąłby lakierkami i udał się do stołówki po sztućce. Takich szefowie lubią.

- To lubię - mruknął Wątroba, patrząc za Chwiejczakiem z zadowoleniem. Po czym spojrzał na mnie i westchnął ciężko: - Ech ty, zgniły inteligencie. Patrz i ucz się. No, idźże już, pewnie tamten już siedzi za kierownicą i czeka.

Chwiejczak rzeczywiście czekał. Podczas tych kilku minut zdążył sprawdzić ciśnienie w oponach, stan bieżnika, spisać licznik do książki przebiegów, wytrzeć lusterka wsteczne oraz wytrzeć dywaniki i opróżnić popielniczkę. Zasiadłem obok niego z westchnieniem dezaprobaty dla tego zaangażowania godnego lepszej sprawy niż wygląd samochodu służbowego. Po chwili ruszyliśmy. Podróż zapowiadała się na długą, bo Chwiejczak zawsze przestrzegał wszystkich ograniczeń i puszczał pieszych na pasach. Nic dziwnego, że zasnąłem. Choć kto mi zaręczy, że i teraz nie śnię o dziwnych delegacjach w nieoznakowanym radiowozie?

– Ale dziura! Prawda, panie aspirancie?

Prawda. To było pierwsze wrażenie, jakie odnieśliśmy, gdy tylko zaparkowaliśmy samochód przy centralnym skwerze miasteczka, który zarządzała tabliczka na pobliskim murze szumnie nazywała rynkiem. Miasteczko wyglądało jak wymarłe. Plac otaczały stare, odrapane fasady domów, po drugiej stronie trawnika stał kiosk z gazetami i papierosami, zbudowany z dykty i blachy falistej. Na środku skweru pyszniła się abstrakcyjna w formie, betonowa konstrukcja osadzona w czymś przypominającym dużą wannę. Można było domniemywać, że jest to stara, nieczynna fontanna wybudowana w czasach popularności radosnej abstrakcji w przestrzeni publicznej.

– Czego chcecie? Raj na ziemi, bez zanieczyszczeń, bez pośpiechu metropolii, bez morderstw, najwyżej podpalenia stodoły...

– Bez dzielnicowego, który by meneli gonił – wpadł mi w słowo Chwiejczak, wskazując gościa konsumującego wino na resztkach ławki przy alejce biegnącej naokoło resztek fontanny.

Wyciągnął legitymację i podszedł z surową miną do pijaczka.

– No, kończymy konsumpcję, panie kolego, i do domu! Za publiczne pijaństwo jest paragraf – zbeształ go bez ceregieli.

Zaczepiony przez nieznanego człowieka wielbiciel taniego wina otarł rękawem usta i zdumionym wzrokiem wpatrywał się dłużej chwilę w Chwiejczaka, jakby próbując sobie wyjaśnić, gdzie jest i do czego zmierza w życiu. Odznaka policyjna zrobiła jednak na nim wrażenie. W końcu wydukał, nadal zaskoczony:

– Że, że... jak? Występy wyjazdowe czy co?

Po chwili już odchodził, popijając z butelki podczas marszu i co rusz zerkając badawczo przez ramię na dziwnych przybyszów. Mitygowałem dzielnego posterunkowego.

– Dajcie sobie spokój z tym popisem. Dobrze? Strażnik Teksasu się za znalazł! Za pół godziny całe miasteczko będzie wiedziało, że tajni agenci tu węszą! Idziemy. Ja do tej matki Karbowskiego, a wy na ogólnie przeszpiegi. Może ktoś go tu pamięta.

Chwiejczak podszedł jeszcze do samochodu, otworzył drzwi i zaczął grzebać w torbie na tylnym siedzeniu.

- Już idę, już idę, mała chwileczka - mruzczał ni to do mnie, ni to do siebie. Czekałem ze zdumioną miną.

Wyciągał z auta jakieś zawiniątko. Po chwili miałem przed sobą faceta w szarym prochowcu, kapelusiku w kratę i ciemnych okularach w rogowej oprawce.

- Co to ma być? - wyjąkałem, a w duszy zakiełkowało mi podejrzenie, że pod marsowo-służbistą powłoką idealnego posterunkowego kryją się bulgoczące oceany dziwnych myśli i dewiacji, o jakich świat nie słyszał.

- Takie małe marzenie, panie inspektorze. - Chwiejczak się splotił na moje pytanie, a potem zaczął tłumaczyć: - Chodzi człowiek na co dzień jako zwykły krawężnik, a chciałby być czasem takim Sherlockiem Holmesem albo Herculesem Poirotem. Tutaj jestem obcy, nikt nie zwróci uwagi.

Jęknąłem. Też mi incognito. Przecież tu, jak w każdej małej miejscowości, informacje i plotki rozchodzą się szybciej niż światło. Cała okolica zaraz będzie huczeć o dziwaku w prochowcu i kapelusiku, wypytującym o Karbowskiego. Już widziałem i słyszałem w wyobraźni te dzieci, biegnące za nim grupą przez uliczki i skandujące: „Tajniak, tajniak!”. Jednak westchnąłem tylko ciężko. Trudno, niech idzie. Jak marzenia, to marzenia.

Dom Karbowskich, zgodnie z informacjami zebranymi w bazie teleadresowej, stał przy wylotowej uliczce z miasta, obok skupu żywca. Sprawdziwszy numer, wszedłem na podwórko, które wyglądało dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem wiejskie podwórka; kury gdały, pies zawarczał na mój widok, na szczęście ograniczał go łańcuch przypięty do budy. Obskurne obejście prowadziło przybyszów do małych drzwi, pomalowanych zieloną farbą olejną, ale przynajmniej ze trzydzieści lat temu, bo teraz ta zieleń zmieniła się w intrygującą nieokreśloność formy nadrzwiowej.

Podszedłem i zapukałem. Po chwili usłyszałem po drugiej stronie kobiety głos. Rozmowa odbyła się przez drzwi.

A kto tam? Że jak? Policja!? Teraz to rozmawiać chcą, a jak mojego Mateusza zabijali, to gdzie żeście byli? A może to wyście go załatwili!? A idźże już pan, panie policja! Nie chcę nikogo znać!

Innymi słowy kobieta mnie nie wpuściła i odmawiała jakiejkolwiek współpracy. Nawet nie wiedziałem, czy to naprawdę była poszukiwana matka. Normalnie wycofałbym się, zgodnie ze świętą zasadą odwagi i upor, ale gdy sobie wyobraziłem Wątrobę, to aż mnie zmroziło. Już widziałem ten kpiący błysk w małych oczkach nad pucułowatymi policzkami i uśmiezek, który mówi: „A nie mówiłem? Nie dość, że zgnily inteligent, to jeszcze benzynę państwową marnuje!”.

Zawróciłem z zaciętą miną. Pies, widząc, że intruz wraca, zaczął ponownie ujadać i szarpać łańcuch tak, że aż buda podskakiwała. Ponowiłem dobijanie do drzwi i zacząłem grozić sankcjami za brak współpracy z przedstawicielami prawa. Prosiłem, przeklinałem, przekonywałem. Wydawało się, że na próżno. Jednak w pewnym momencie usłyszałem zza drzwi przytłumione odgłosy rozmowy, które chwilami nieco się nasilały. Jakby kłótnia albo ktoś komuś rozkazywał. Starałem się wyłowić jakieś słowa. Głos kobiety coś tłumaczył, odpowiadały mu pomruki zrozumienia bądź lekceważenia. Co ta kobieta mówiła? Brzmiało to jakoś tak: „Wypierdol go, Heniek!”.

O rany! Opadła mnie wściekłość. Znowu huknąłem w drzwi.

– Co? Mnie? Jeszcze zobaczymy! Proszę otwierać, natychmiast, bo... bo... wyważę drzwi!

Drzwi się otworzyły, w progu stanął wielki jak szafa Heniek, ubrany w szerokie watowane gacie, wysokie buty oficerki i czarną bluzę z napisem Bad+Mad. Stanął nade mną, a ja poczułem się, jakbym właśnie wszedł w cień wielkiej góry. Zacząłem się tłumaczyć ze swojej misji i nieustępliwości.

– Chciałbym tylko zadać kilka pytań. Wiem, że po śmierci syna to niezręczne, ale być może państwo mieli z nim jakiś kontakt na krótko

przed. Może coś wiecie, coś wam przekazał? A pan to właściwie kim jest dla pani Karbowskiej, co pan tu...?

Heniek cierpliwie znosił mój atak dyplomatyczny. W końcu zamrugnął oczkami i mruknął tubalnym głosem:

– Stałeś pod drzwiami?

– Tak – odparłem nieco zbity z tropu.

– Słyszałeś, co mam zrobić? – upewniał się Heniek.

– Ale ja tylko... – chciałem wytłumaczyć, kim jestem i czego chcę. Jednak Heniek nie miał ochoty tego słuchać.

– Aha, nie słyszałeś. Mam cię stąd wypierdolić – stwierdził.

Powiedział to tak spokojnie jak panienka w okienku informacji kolejowej. I postąpił krok do przodu. Po pewnych ruchach i niewzruszonym wyrazie twarzy zorientowałem się, że ma wprawę w bójkach i siłowym pozbywaniu się natrętów ze swojego życia.

– Ale... – próbowałem zagadać. Heniek nadal miał twarz jakby z kamienia.

Znowu postąpił krok do przodu.

Zwalista postać górowała nade mną. Pies ujadał jak oszalały, kury rozpierschły się po kątach. Widziałem kątem oka, że ktoś zerkał na całą scenę zza firanki.

Heniek patrzył na mnie z góry. Jednak nie zaczynał żadnych rękoczynów. Wyraźnie nie chciał bić niższego i słabszego. Poczulem swoją przewagę. Jestem mniejszy, lecz tu intelekt i siła ducha się liczą, a nie mięśnie. Wyobraźnia podpowiadała mi scenkę, kiedy to zawładnę sercem kolosa i wejść razem z nim do domu. On otworzy drzwi, ujmie poszukiwaną, potem ja przesłucham tę Karbowską, podczas gdy on będzie czekał na moje dalsze rozkazy. Wpiłem się w niego wzrokiem i powoli przejmowałem nad nim kontrolę. Olbrzym stał spokojnie, przejście nad nim władzy następowało bez zakłóceń. Po kilkunastu sekundach miałem go przed sobą – wyższego i potężnego fizycznie, ale wobec mnie, swego pana, uległego i spokojnego. Po kolejnych sekundach odezwał się, niezwykle pokornie:

- No... Idziesz sobie?

- Nie, Henryku! - krzyknąłem buńczucznie, egzekwując swoją władzę. - Wracamy do domu, ujmij Karbowską i czekaj na dalsze rozkazy, zrozumiano?!

W minutę później leżałem za bramką podwórka, sponiewierany, z podbitym okiem i bólem różnych części ciała, które spotkały się z pięściami Heńka oraz twardym podłożem małomiasteczkowego podwórka. Natomiast sam Heniek spokojnie oddalał się w stronę zielonej jamy wejściowej, poprawiając fryzurę i wygładzając fałdy swojej bluzy z napisem Bad+Mad. Jakaś świnią, wieziona do skupu żywca, patrzyła na mnie z politowaniem z wysokości swojej przyczepki ciągniętej przez traktor: „Mnie to wiozą, a on się musi tarzać w błocie”. Takie tam świńskie sny o potędze. Powłokłem się obolały na ciele i duszy w stronę rynku. Po drodze usiadłem na podmurówce pompy ulicznej i dumałem, jaki to ze mnie mężczyzna do dupy.

- Ech, do dupy jestem! - mruczałem sam do siebie w akcie samobiczowania po porażce w kontakcie z olbrzymim Heńkiem. - I cały uświniony błotem! - Robiłem dodatkowo przegląd garderoby, która mocno ucierpiała po zetknięciu z glebą wiejskiego podwórka. - Nie dość, że marnuje państwową benzynę to jeszcze pobrudzi tapicerkę, również państwową. Nadaje się już tylko na bufetowego - cytowałem słowa Wątroby, które jeszcze nie padły, ale z pewnością padną, gdy tylko zdamy relację ze swoich „sukcesów” w terenie.

W tym samym czasie Wątroba ze znużoną miną konsumował kolejną bułkę z pasztetową. Spoglądał przy tym na szarą ścianę swego biura, gdzie jedynymi ozdobami był krzywo wiszący zegar z kukułką oraz pajęczyna w brudnym kącie za szafą. Rozmyślał o szansach powodzenia misji podwładnych, jak również o własnych kłopotach ze zdefiniowaniem swojej roli w społeczeństwie:

- Pojechali i działają w terenie. Pewnie tylko zmarnują państwową benzynę, może nawet pobrudzą tapicerkę. Ale przynajmniej nie umierają z nudów na komendzie. Jakże ciężko być przełożonym! Praca papierkowa i koncepcyjna, bardzo stresująca i niedoceniana. Zwykły patrol każdy widzi i uważa, że jest potrzebny, a takiego wyższego rangą policjanta to wszyscy za darmozjada mają. A przecież ktoś rządzić musi, bo by... bo by... - Dumał przez chwilę, co by było, gdyby zniknęli wszyscy szefowie, a zostali na świecie jedynie ludzie od konkretnej roboty. W końcu koncepcja nabrała kształtu. - Bo by robili, co chcieli. A tak jest dyscyplina. Uff, ale nudy, zaraz pęknę po tych pięciu pasztetowych. Chyba muszę się poruszać przy okazji czynności operacyjnych.

W ramach czynności operacyjnych włączył komputer i uruchomił internet.

Wszedł w jakiś portal z małą ilością tekstu i przewagą zdjęć z nagimi paniami oraz panami. Tam natknął się na link do innej strony, anonsowany jako portal towarzyski dla singli. Może w końcu znajdzie swoją drugą połówkę? Obawiał się jednak, że nie jest w typie większości kobiet. Wzdychając ponuro nad swoją samotnością, czytał kolejne ogłoszenia.

- Jesteś samotny, masz dużo czasu i ochotę na super towarzystwo, napisz lub zadzwoń...

Numer był wyjątkowy, całkiem normalny, bez komercyjnego prefiksu, z ich miasta, wokół tekstu umieszczono kilka zdjęć uśmiechniętych ludzi, zajętych rozmową. Charakter reklamówki wcale nie sugerował, że chodzi o poszukiwanie partnera bądź jakieś inne uciechy we dwoje czy nawet we troje.

- Zaraz, zaraz!... - Wątroba prawie wpadł na ekran. Chyba rozpoznał w jednym z uwiecznionych zamordowanego Karbowskiego. Komisarz patrzył jak zaczarowany. Nie było wątpliwości. Denat został sfotografowany w chwili, gdy tłumaczył coś grupce ludzi.

- Hm, coś tu nie gra - mruknął Wątroba. Skopiował stronę, następnie wyciął tylko zdjęcia i ustawił koło siebie, bez zbędnego designu i tekstu. Zgrał na pen drive i udał się do Tadzia, urzędującego w pokoju obok. Później poszedł do następnego pokoju i do kolejnego, potem dalej i jeszcze dalej. Skończywszy rundkę po całym piętrze, wrócił do pokoju i jeszcze raz odczytał wyniki ankiety, w której zadawał pytanie, kogo przedstawia to zdjęcie:

- Zebranie partyjne, spotkanie z interesującym człowiekiem, test na prawo jazdy, nauki przedmażeńskie, spotkanie koła hodowców drobiu... - Tu się nieźle uśmieł. Po tych kilku odpowiedziach widać było, kto czym żyje i jak to wpływa na jego percepcję świata. - Nauki przedmażeńskie, he, he, baby siedzą we trójkę, to taki holenderski model, he, he! Spotkanie hodowców drobiu, średnia wieku 25 lat, he, he, młodzieżówka drobiarstwa!

Moment rozbawienia minął. Twarz ponownie się zachmurzyła, bo odpowiedzi były zgodne z jego podejrzeniem. Zdjęcia zrobiono na różnych spotkaniach, na każdym znajdował się domniemany Mesjasz; to nie był przypadek. Miał do czynienia z sektą, która reklamowała się w necie! Polowali na takich jak on, zawiedzionych życiem oraz innymi ludźmi, szukającymi sensu w życiu oraz możliwości zmiany tego życia.

Chwilę podumał nad faktem, jak można wykorzystać zebrane informacje.

- Hm, jeszcze jeden telefon.

Poszukał czegoś w papierach, wziął telefon, po czym... odłożył słuchawkę i skorzystał z aparatu swego kompana, świętującego wątpliwe triumfy w kontaktach z miejscowymi na wyjeździe.

- Co prawda u nich nie wyświetla się 997, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże... Halo, czy to redakcja...?

Po rozmowie telefonicznej Wątroba pokiwał głową z uznaniem dla siebie.

- Niezły jestem, praca koncepcyjna to podstawa! Bez tego byśmy byli jak dziecko we mgle. Jeszcze jedna bułeczka mi się należy za kawal

dobrej roboty!

Tymczasem na prowincji sprawy toczyły się w swoim wolnym, prowincjonalnym tempie.

– Ech, do dupy jestem. I tapicerkę pewnie wybrudzę, państwową – marudziłem od dobrych kilkunastu minut. Nawet gołębie miały dosyć tego pokazu samokrytyki i poszły dziobać chodnik gdzie indziej.

– Panie aspirancie, panie aspirancie, sensacja, rewelacja! – ryczał, zbliżając się do mnie facet w czarnych okularach, prochowcu i kapelusiku w kratę. Nie od razu skojarzyłem, że to mój współpracownik incognito. Pani z kiosku aż się wychyliła przez malutki otwór, żeby móc dłużej obserwować owo kroczące dziwo. Również sklepowe ze spożywczego paliły przed sklepem papierosy, gapiąc się na Chwiejczaka i na mnie. Grupka dzieci, wracająca ze szkoły, przystanęła, łypiąc ciekawie na podekscytowanego przebierańca. Cyrk czy co?

– Dobra, Chwiejczak, ściągnijcie przynajmniej te koszarne okulary i idziemy! Trzeba zmienić otoczenie, bo budzimy sensację. – Otrząsnąłem się z zadumy nad własnym losem i ponownie ująłem sprawy w swoje ręce.

Chwiejczak prowadził mnie i opowiadał:

– Węszyłem, węszyłem, pytałem, zagadywałem, zaczepiałem...

– Fakty, Chwiejczak, fakty! – zgasiłem te krasomówcze popisy, żądając w zamian wyników i syntetycznych relacji.

– No więc węsz... W każdym razie znalazłem ich wychowawcę ze szkoły, dobrze ich pamięta, miał z nimi dobry kontakt – przeszedł do rzeczy posterunkowy.

– Kiedy używacie sformułowania „dobrze pamięta”, to nie stosujcie później w tym samym zdaniu słowa „dobry”, to błąd stylistyczny. Można powiedzieć inaczej, na przykład „świąteczny” – zrzędziłem, usiłując znaleźć w słowach Chwiejczaka jakiś punkt zaczepienia do dalszego marudzenia i cierpkich uwag.

Nagle do mnie dotarło, co chciał mi przekazać.

– Jakich ich? Szukamy przecież jednego! – zachnąłem się.

Facet w prochowcu zarechotał triumfująco.

– A właśnie, że nie, a figa, trelki morelki! Było ich dwóch!

Chwiejczak upajał się sukcesem. Pozwoliłem mu się cieszyć, zwłaszcza że z mojej strony sukcesów brakowało. Dominowały sukcesy ujemne, zwane przez złośliwych porażkami.

– Karbowski to bracia bliźniacy, zawsze razem, wszystko wspólne, nawet szczoteczka do zębów. Niezłe urwisy! – kontynuował radosne tyrady człowiek w prochowcu i kapelusiku.

Zbliżaliśmy się do małego domku, otoczonego różanym ogródkiem. Na ławce siedział starszy jegomość i palił papierosa. Chwiejczak uchylił furtkę, weszliśmy.

A pan to też z gangu Olsena? Bo jak kolegę zobaczyłem, to wiedziałem od razu, że nietutejszy, inne zwyczaje, inna moda w dużym mieście.

Karbowski? Tak. Pewnie, że znałem. Nicponie. Byłem ich wychowawcą i nauczycielem biologii, tak, z nimi były same kłopoty. To tacy ludzie, co rosną, gdzie ich nie posiali.

Matka, tak, wiem, że u nas mieszka z tym, jak mu tam... Heńkiem. A skąd pan wie? Co, poznał pan już Heńka? Trochę gbur i do tego osiłek. Mówią, że jedną ręką potrafi tak ścisnąć, że kość pęka.

To nie ich matka, rodzona zmarła, gdy byli mali, ojca nikt nie znał, a ona to ich pod opiekę wzięła... Słucham? A, tak, nielegalne, ale już po sprawie. Tu, panie, sprawy w urzędzie załatwia się ze swoimi, sąd nigdy się w to nie mieszał, wzięła, zasądzili opiekę i już. Za chłopców dodatek socjalny był, to się załatwiło. Ale nie można powiedzieć, nie biła, nie głodziła, ale i nie wychowywała... Ani razu nie była na wywiadówce, ale przeszli jakoś szkołę. Ich siłą było to, że trzymali razem, jak jednego bili, to drugi go bronił, jak jeden nie umiał, to drugi odpowiadał za niego, twierdząc, że jest swoim bratem, i trzeba było wierzyć, bo jak sprawdzić, przecież ich nie oznakujesz... Ale wewnątrznie byli inni, jeden delikatniejszy, ten Mateusz, bardziej

wrażliwy, poszukujący odpowiedzi, drugi, Radek, szybki, wygadany i raczej bez skrupułów. Mówili, że się gdzieś tam grubszych pieniędzy dorobili, widziano ich tu nawet u matki, BMW przyjechali, zawsze się wspierali, to i się dorobili...

Wracaliśmy z Chwiejczakiem przez miasteczko do samochodu, dumając nad informacjami uzyskanymi od nauczyciela. Mój wywiadowca w pewnym momencie nie wytrzymał osaczających go wątpliwości i zaczął wypytywać.

– Panie inspektorze, czy ta matka powiedziała, że ich dwóch miała? Może trzeba tam jeszcze raz iść, dopytać? Przecież wiemy już coś więcej.

Nerwowo przełknąłem ślinę. „Mówią, że jedną ręką potrafi ścisnąć tak, że kość pęka” – zagrzmiało mi w głowie zdanie nauczyciela. Za nic w świecie nie wrócę do Henia, zbyt świeże były siniaki w różnych miejscach mojego ciała.

– Ona nic nie wie, biedna, załamana staruszka, trochę tego... – Zrobiłem palcem kółko na środku czoła. – Nie dogadasz się, bredzi, zbacza z tematu. Nie ma sensu z nią gadać, wracamy. Późno już, komisarz pewnie się martwi. Wysłał nas razem, a on tam sam jak palec. Smutny i opuszczony. Nie godzi się go tak na pastwę losu porzucić.

Chwiejczak patrzył na mnie badawczo. Najwyraźniej w jego głowie zakiełkowało podejrzenie, że w mojej osobie ma właśnie do czynienia z wariatem, który wymaga opieki psychologa. Przecież mu nie powiem prawdy, autorytet rzecz święta. Ruszyliśmy dalej w milczeniu.

– To przynajmniej na komendę tutejszą wstąpmy, może oni coś wiedzą, herbaty dadzą – zaproponował posterunkowy.

Idea była dobra. Chwiejczakowi wyraźnie podobało się w tym miasteczku i nie miał ochoty szybko wyjeżdżać.

– No to chodźmy – ustąpiłem.

Na komendzie nie dali herbaty ani nawet szklanki wody. Dyżurny przywitał nas chłodno, wręcz lodowato. Na pytanie o Karbowski stwierdził, że zna takich, pamięta z czasów szkolnych i wcale za nimi nie tęskni. Dodał, że bywają tu czasem, ale rzadko i bardzo krótko. Pomimo pozorów przychylności mieliśmy wrażenie, że miejscowy nie chce z nami rozmawiać. Rozmowa nie kleiła się zupełnie. W końcu wyjaśniło się dlaczego.

– Panowie są z miasta, miejscowych układów nie znają i nie szanują – na zadane pytanie odburknął z wyraźnym wyrzutem.

Spojrzeliliśmy na niego, nie rozumiejąc o co chodzi.

– A kto mi Zenka z rynku przegonił? Może i chłopina pijaczek, ale przynajmniej wiem, panie tego, co się w każdym kącie tej dziury dzieje i co ludzie mówią. To moje, panie tego, niezawodne źródło informacji. On teraz myśli, że to ja, panie tego, cudzymi rękami go przeganiem, i się tego, no, obraził. A sprawa, panie, kradzieży kładki nad Wątlinką jeszcze w lesie! Na złom pewnie poszła, kładka znaczy, nie sprawa. Jak ja teraz sprawców dorwę, skoro żeście mi, panie tego, wtyczkę przegonili? On tu ze wszystkimi za pan brat, panie! A tu wójt po nocy wracał, zmęczony, panie tego, i braku kładki nie zauważył. A tą naszą Wątlinką, panie tego, trochę wody płynie, a reszta to gówna. Po pas albo i głębiej. Jak się w nie zarył, to go, panie tego, we trzech sąsiedzi z brei wyciągali, no i się rozniosło. Ja tu życia nie będę miał, dopóki sprawcy się nie znajdą, a Zenek, panie tego, to była moja tajna broń! Siedzi, patrzy, dedukuje, rozmawia. A potem mi przekazuje to i owo. A że coś sobie tam pije? Niech mu będzie na zdrowie.

Stańło na tym, że poszukamy Zenka, przeprosimy i na zgodę zasponsorujemy dzisiaj jego działania wywiadowcze. Miejscowy policjant powiedział, że nam się to opłaci, bo Zenek na pewno wie wszystko, co nas interesuje. Wyszliśmy z komendy z jasnym planem oraz ponurymi minami.

Przechesywaliśmy miasteczko razem z Chwiejczakiem w poszukiwaniu Zenka dobre pół godziny, a ja zastanawiałem się, czy

dodatkowo nie huknąć nadgorliwego posterunkowego w gębę, taki byłem wściekły z powodu tych jego zapędów moralizatorskich. Ale ostatecznie to on się czegoś dowiedział, a nie ja, więc byliśmy kwita. Została tylko kwestia, kto sponsoruje tego miejscowego asa wywiadu.

Zenek się po kilkudziesięciu minutach odnalazł i dał przebłągać za cenę kilku szkieł pełnych płynu oraz ozdobionych pięknymi etykietami; za cenę kilku kolejnych dowiedzieliśmy się, że Radek Karbowski jeszcze godzinę temu siedział u matki, ale już wyjechał; o Mateuszu też słyszał, podobno zabili go jacyś wrogowie, bo ich święty wkurzał, ale zdaniem Zenka poszło o pieniądze, bo – po pierwsze – dziś wiara i przekonania gównu znaczą dla ludzi, a – po drugie – Mateusz nie był święty, tylko oszust, do spółki z tym swoim braciszkiem. Ludzie różnie komentowali, skąd pochodziły te pieniądze, ale najczęściej gadali coś o jakiejś organizacji, do której różne świry, zamiast do proboszcza, po radę w postaci pięknych słówek przychodziły i albo dawały się oskubać od razu, albo za jakiś czas. Według Zenka to musiało kiedyś jeb... znaczy, załamać się. Uważał też, że chłopcy odziedziczyli łajdactwo po tej swojej niby matce, co gzi się teraz z przerośniętym Heńkiem i nagle bardzo pokochała tych nicponi, bo jej czasem coś odpalą, dobre dzieci. Po jakimś czasie zeszło na to, jakimi palantami są ludzie u władzy, i że najlepiej było, jak można było w PGR-ze gówno robić, nakraść się, wziąć pensję i żyć jak człowiek, a nie jak, za przeproszeniem, bydłę.

Zenek wyraźnie nabierał rozpędu krasomówczego. Dawałem Chwiejczakowi znaki, że pora się wycofać, ale on podtrzymywał dyskusję i podsycał gadaninę pijaczka.

Rozmowa zeszała w końcu na sponiewieranego w Wątlince wójta. Zenek opowiadał ze szczegółami, jak to pan wójt z trudem trzymał się jakiejś, szczęśliwie dla niego, zwisającej gałęzi i przebierał nogami w mlaskającej mazi, a z każdym ruchem opadał coraz niżej.

...i rozumiesz, panie, tam mułu ze ścieków z pół metra jest, dotarłby do dna i po strachu, ale on w panikę wpadł, że się utopi, a że uchłany był, to myślał, że go wrogowie polityczni tam podstępem wrzucili i stoją teraz na

brzegu, patrząc z satysfakcją na jego śmierć. Kiedy go sąsiedzi wyciągać chcieli, to się od nich oganiał i ryczał, że on za ojczyznę zginie, a dywersantom się nie da, bo on, panie, komuch, też w pegeerze robił jak ja. Ale awansował skubaniec, dziś wybił się na wójta. A jak mu przeszło, to, panie tego, ze wstydu dwa dni pił, ale już po swojej stronie rzeki...

I tak dalej. Gawędy Zenka mogły trwać godzinami. Wtyczka miejscowej policji obmawiała wszystko i wszystkich, byle zapracować na kolejne butelki napoju. W końcu odciągnąłem Chwiejczaka prawie siłą. Powędrowaliśmy z powrotem do samochodu. Na szczęście posterunkowy był po tym spotkaniu zalany potokiem bezużytecznych danych i nie drążył tematu pobytu Radka Karbowskiego w domu matki w czasie, gdy i ja tam byłem.

Skoczyłem jeszcze na chwilę podziękować komendantowi za podany pomysł sesji z Zenkiem. Tymczasem Chwiejczak flirtował ze sklepową sklepu wielobranżowego. Sprzedawczyni paliła papierosa na schodkach, śmiejąc się z jego niewyszukanych żarcików; wyraźnie imponował jej przybysz z miasta, w kapeluszu i prochowcu.

– Jedziemy! – warknąłem na rozanieloną parkę, przerywając te gody.

– Podoba wam się to miasteczko, co? – zagailem po kilku kilometrach drogi powrotnej. – Chcielibyście tu mieszkać?

– Chyba tak. Pochodzę z podobnej mieściny, też mieliśmy takiego Zenka, Wątkinę, sami swoi w sklepie, urzędzie. Jakoś się nie zrosłem z wielkim miastem.

– Ludzie tu chyba szczęśliwsi? – zapytałem.

– A bo ja wiem, to chyba indywidualnie, jak sobie ktoś życie zorganizuje, tak ma. – Chwiejczak był realistą i nie gloryfikował za bardzo małomiasteczkowego życia.

– A w ogóle cóż to jest szczęście, każdy za nim goni, ale czy wiadomo za czym? Konia z rzędem temu, kto mi powie, co to jest szczęście. – Rzuciłem światłą myśl, nie zważając na fakt, że ludzkość od zarania dziejów boryka się z tym pytaniem i odpowiedzi jak dotąd znaleźć nie umie.

Chwiejczak popatrzył na mnie zdumiony i zaczął tłumaczyć swoją koncepcję szczęścia. Czyżby jeden prosty policjant osiągnął to, co się nie udało wielkim myślicielom przez tysiąclecia?

– Jak to co? To jasne jak słońce. Byłbym szczęśliwy, gdybym z kupą forsy leżał pod palmą na Hawajach, a wkoło piękne Hawajki, takie zgrabne, ale nie kościste, i tego, no... chętne, hm, do współpracy, drinki by mi podawały, a w tle szumiałby ocean i starzec grałby na gitarze hawajskiej – bardzo konkretnie opisywał szczęście Chwiejczak.

Najwyraźniej zapomniał dodać, że wszyscy obowiązkowo byłiby w koszulach hawajskich i jedliby kotlety schabowe po hawajsku. Już zabierałem się, żeby go wyśmiać, nakreślić wyższe cele, do których należy dążyć, opowiedzieć o eksploracji nieznanej dotąd nikomu głębi uczuć, może nawet wspomnieć o ochronie środowiska naturalnego i skarbów kultury narodowej. Ale dałem spokój, wizja posterunkowego była tak wyrazista, plastyczna i trafna, że w końcu wyjąkałem tylko smętnie:

– Też bym się na to pisał.

Zieleń lasów śmigła za szybą policyjnego samochodu służbowego, a dwóch funkcjonariuszy ze średnio udanym życiem prywatnym i zawodowym, jadąc w środku, ot tak, przy nieformalnej rozmowie, rozwiązało odwieczny dylemat filozofii. Następnie zapadli w milczenie, kontemplując te ważne stwierdzenia, które właśnie przed chwilą padły. Dodatkowo jeden z nich modlił się, żeby przypadkiem nie zasnąć i znowu nie znaleźć się w piwnicy domu, gdzie chodzą postacie w płaszczach i wrzucają nieproszonych gości do włazu w betonowej podłodze.

Następnego dnia Wątroba powitał nas lawiną faktów, danymi dotyczącymi siedziby sekty wraz z numerem telefonu, wynikami sekcji zwłok i badań odcisków palców, łącznie z tymi na słoiku. Okazało się, że

na słoiku znajdowały się odciski Wasiaka i Brony. Co ciekawe, Brony były późniejsze; to on ustawił wszystko z powrotem.

- Zaraz, zaraz, ale jak? Przecież ten słoik pod zlewem to ja... - zachnąłem się, przypominając sobie wycieczkę po domu i towarzyszące jej chóralne śpiewy w lochu. Głowę dałbym sobie uciąć, że zostawiłem go w tym śnie. Jak mógł trafić do laboratorium?

- No już bez przesady, wszystko ty. Nie masz o sobie zbyt wysokiego mniemania, panie Wróżka? Wystarczy, że wczoraj Henia poturbowałeś.

- Poklepał mnie po ramieniu mój wstrętny szef. - Psychicznie, oczywiście, he, he. Zostaw innym trochę chwały. A wasz kapelusik też się podobał. Tamtejszy posterunkowy pyta, czy jeszcze mamy takie na składzie. Podobno panny tam za wami szalały - dodał w stronę Chwiejczaka, który właśnie zapłonął czerwienią wstydu na twarzy.

Patrzyliśmy oniemiałi. Skąd on to wszystko wiedział? Czy nie można w tej robocie już nawet kroku zrobić bez nadzoru grubasa w płaszczu?

- Po prostu zadzwoniłem do niego, żeby wam pomógł, ale wytłumaczył mi, że nie trzeba, bo sobie świetnie radzicie. I nawet tam piliście wino z jakimś Zdebkiem - wyjaśnił komisarz z uśmiechem zadowolenia, jakie daje poczucie kontroli i pełni władzy nad innymi.

- Zenkiem - poprawiłem Wątrobę, próbując tym samym udowodnić, że nie wie o nas jeszcze wszystkiego.

- No to opowiadajcie! - zachęcił nas do raportu.

Wesoły ton Wątroby zwiastował, że nic nam nie grozi i zdaliśmy relację z rekonesansu, zgodnie ze starą policyjną zasadą przekazywania informacji, uwypuklając sukcesy i bagatelizując porażki.

- Tak, bracia, wspólne biznesy, gruba kasa i śmierć, to się kupy trzyma - uznał Wątroba. - Aha, Karbowski zatrul się albo został otruty

Tutaj komisarz odczytał z raportu wzory i nazwy kilku związków chemicznych, które nic nam nie mówiły, ale brzmiały bardzo groźnie i z pewnością mogły być przyczyną niejednego nieszczęścia.

- Więc panowie, od czego zaczynamy? - zwrócił się do nas.

- Na pewno nie od „więc” - zażartowałem.

Wątroba westchnął ciężko.

- Proszę o konkretne koncepcje, nie o zrzędenie purystów językowych – wyjaśnił z niezadowoloną miną.

- Wziąłbym tego Bronę na spytki, już u nas – zaproponowałem.

- Tak, te odciski, te walki w lochu, to niby kuśtykanie... – poparł mnie Chwiejczak.

Spojrzałem na niego zdumiony. Skąd oni to wszystko wiedzą? Śledzą moje sny?

- W porządku, zwijamy gościa i ciśniemy – zawyrokował komisarz.

Przybrał przy tym zawzięty wyraz twarzy i pokazał dłońmi międzynarodowy znak dokręcania śruby.

Brona nie był zaskoczony. Wręcz odwrotnie, jak tylko zobaczył policję, wziął spakowaną już torbę, pozakręcał kurki z gazem i wodą, zasunął firanki. Wychodząc, zapalił nawet małą lampkę przy oknie. Wytłumaczył nam, że robi to, by ewentualny złodziej myślał, że gospodarz cały czas przebywa w domu. Patrzyliśmy na te przygotowania nieco zdziwieni, ale i rozbawieni. Dziadek wybierał się jak na zesłanie w daleki Sybir, a przecież chwilowo został tylko zatrzymany do wyjaśnienia.

Gdy szliśmy do samochodu, zauważyłem, że już nie kuśtyka, szedł całkiem sprawnie. Chwiejczak miał rację: udawał niepełnosprawnego.

- Widzę, że się panu z nogą poprawiło – zaszydziłem z uśmiechem.

- Modliłem się, to się poprawiło – wyjaśnił Brona poważnym głosem. Obserwowałem jego twarz i zastanawiałem się, czy bójka w piwnicy była snem, czy też może zdarzyła się naprawdę. Bo jeżeli jest tak sprawny jak wtedy, to należy na niego uważać.

Po przewiezieniu do aresztu, trafił na przesłuchanie. Przebiegło ono niezwykle szybko.

Tak, ja to zrobiłem. Otrułem go.

Jak? Wsypane to do herbaty, bo czasem tam jednak bywałem, wcześniej kłamałem. Czym? No miałem taki proszek na szczury. Jak się go z herbatą zmiesza, to nic nie czuć, a po chwili człowiek jest na tamtym świecie.

A dlaczego ukrzyżowałem? Nie wiem, taka fantazja...

I dalej w podobnym tonie. Brona przyznawał się do wszystkiego. Opisywał swoje kontakty z zamordowanym, motywy, mieliśmy wrażenie, że niedługo oskarży sam siebie o rozpętanie rewolucji maoistowskiej w Nepalu i zarażanie okolicznych kur grypą. Omijał jednakże wszelkie wątki, które łączyłyby go z jakąkolwiek organizacją czy innymi ludźmi. Nie był częścią żadnej grupy. Zrobił to sam, bo go nie lubił.

Do pokoju wszedł Wątroba, w zawiniątku krągliły się bułeczki na drugie, a może trzecie śniadanie.

– Jak leci, mówił coś? – zainteresował się dotychczasowym przebiegiem przesłuchania.

Streściliśmy Bronowy akt samokrytyki, na końcu wykpiłiśmy dziadkowe przygotowania do zsyłki.

– He, he, he, szkoda, że siennika nie spakował, miałby celkę typu lux, he, he...

Wątroba wcale się nie śmiał. Odłożył śniadanie, zacisnął pięści i popatrzył na nas z mieszaniną wściekłości i paniki. O co chodzi? Przecież mamy cwaniaka w garści, a on do wszystkiego się przyznaje. Jednak to go wcale nie uspokajało, malutkie oczka w oprawie pucułowatej gęby przewiercały nas na wylot.

– Palanty! Co za fuszerka! Lampka w oknie, a może karteczka: „Jestem na policji i kapuję, czekam na dalsze instrukcje”? Przecież to mógł być jakiś znak. Wiecie z innych spraw, że nieraz grupa przestępcza daje kogoś na wabia, jako kozła ofiarnego. Szybko na Wolbromską, pacany! Gasić lampki i inne potencjalne sygnały.

Pobiegliśmy z Chwiejczakiem do samochodu. Tym razem ja prowadziłem, więc trasę pokonałiśmy szybko, nie zważając na ograniczenia prędkości i czmychających z pasów pieszych.

- Panie aspirancie. - Posterunkowy patrzył na mnie zgaszonym spojrzeniem. - On rzeczywiście jakiś kwiatek przestawił na oknie. Czyżby dawał znaki?

Burknąłem coś w odpowiedzi; sam wiedziałem, że przestawił. Nie wspominałem o tym przy Wątrobie, bo nie chciałem zdusić tłęcej się jeszcze nieśmiało nadziei na podwyżkę. Ale chyba już przepadło. Brona nas wykiwał - teraz może spokojnie leżeć sobie w celi i czekać na dalszy tok dochodzenia. Dojechaliśmy na Wolbromską. Lampka w oknie nadal się paliła, żadnych śladów włamanie, dlatego spokojnie podeszliśmy do drzwi. Były zamknięte i nic nie wskazywało na to, że ktoś tu wchodził w ciągu ostatnich godzin. Chwiejczak manipulował kluczem przy zamku, gdy nagle usłyszeliśmy stuk ze środka. Obaj zamarliśmy.

- Otwierajcie, szybciej! - syknąłem. Nadarzała się idealna okazja, aby zrealizować założenia zasady odwagi i upor. Była akcja, uwaga przełożonego, towarzystwo kolegi z pracy.

Chwiejczakowi z emocji aż się ręce trzęsły, przez co trwało to dwa razy dłużej, niż powinno. Weszliśmy. Cisza. Nikogo.

Z szafy zeskoczył kot i zamruczał. Poza tym spokój.

- To tylko kot - sapnął Chwiejczak z wyrazem ulgi na twarzy.

Obeszliśmy mieszkanie, zgasiliśmy lampkę, doniczkę przesunęliśmy na swoje miejsce, mniej więcej tak, jak zapamiętaliśmy. Zajrzeliśmy we wszystkie kąty. Nie zauważyliśmy śladów niczyjej ingerencji, choć żaden z nas nie był wprawnym tropicielem.

- Chyba w porządku... - mruknął posterunkowy.

Już chciałem potwierdzić, gdy mój wzrok padł na stolik w kącie.

- Chyba jednak nie, Chwiejczak - rozwiąłem nasze nadzieje.

Na stoliku pysznie czerwienił się dorodny goździk w słoiku, z dumnym napisem „Kapusta kiszona z ziołami”.

Odlot

Po oględzinach mieszkania Brony podeszliśmy do braciszków, biesiadujących nieopodal w parku, i zapytaliśmy, czy nie widzieli jakiegoś podejrzanego ruchu koło domu. Nic nie widzieli i nic nie słyszeli. Po mrukliwych odpowiedziach wywnioskowaliśmy, że gdyby nawet zaobserwowali barwny korowód brazylijskich tancerzy samby prowadzony przez Bolesława Chrobrego na różowym kucyku, to i tak policji by powiedzieli, że nic się nie wydarzyło, a całe ich życie to nuda i niekończące się czekanie na grom z jasnego nieba. Po prostu oni tak mieli.

Spytaliśmy również o Wasiaka, który według informacji Wątroby został rano wypuszczony z aresztu. Podobno dostał policyjny „ogon”, a nasz przenikliwy szef wiązał spore nadzieje z informacjami, które mogło nam dać śledzenie tego typu. Jednak tutaj go nie było. Oczywiście braciszkwowie nie mieli pojęcia, gdzie się teraz znajduje, albo tylko tak twierdzili, zgodnie z zasadą totalnej dyskrecji wobec policji i straży miejskiej. Widać było również, że los ich pobratymca jest im całkowicie obojętny. Będzie chciał, to się znajdzie. Zniknie, jego sprawa.

Innymi słowy panował całkowity brak perspektyw i zainteresowania światem, tętniącym wokół życiem i ważkimi wydarzeniami na arenie światowej i lokalnej polityki.

Po powrocie zdaliśmy relację przed chmurnym obliczem pryncypała, z przejęcia zapominając nawet o uświęconej zasadzie uwypuklania sukcesów i bagatelizowania porażek. Ale ostatecznie nie mieliśmy czego uwypuklać. Kwiatek w słoiku dowodził, że się spóźniliśmy z usunięciem pozostawionych znaków, i niezależnie, co albo jego krył Brona, to prawdopodobnie udało mu się go ostrzec.

Po rozmowie zapanowała ponura cisza. Nie mieliśmy ochoty na dalsze dyskusje, a tym bardziej żarciki bądź uszczypliwe uwagi Wątroby. On zresztą również wyglądał poważnie. W pewnym momencie wstał ze swojego fotela, rzucił nam miążdżące spojrzenie i wycedził:

- Wiecie co, nieudaczniki? Ja to właściwie mam wszystko, wiecie gdzie? I wiecie, co jeszcze zrobię?! No to patrzcie!

W tym momencie Wątroba zaczął się napinać, krew napłynęła mu do ciastowatej twarzy; stał przed nami, stękając głucho. Cisnął i cisnął. Odruchowo z Chwiejczakiem zatkaliśmy nosy, patrząc z przerażeniem na to dziwne zachowanie. O co chodzi, co tu się wyprawia? Nagle, po jakimś mocniejszym stęknięciu, nasz komisarz lekko wzniosł się nad fotelem. Zakołysał się kilka centymetrów nad ziemią jak balonik jarmarczny na sznurku, a następnie ponowił wznoszenie do góry.

- Hej, lećcie za mną! Do diabła z tym idiotycznym śledztwem! Zabawimy się, chłopaki! - zakrzyknął zachęcająco.

- Ale jak? - Byliśmy jak najbardziej chętni do zabawy, ale brakowało nam podstawowych umiejętności i kwalifikacji.

- Cholerne nieloty! - zdenerwował się Wątroba. - Chwyćcie się nogawek.

Chwyciliśmy i wylecieliśmy wszyscy razem przez okno. Unosiliśmy się coraz wyżej i wyżej. Wyglądaliśmy trochę jak latające winne grono z łądygą w postaci Wątroby i zawieszonymi na gałęziach nóg owocami, czyli naszą dwójką. Cholera, nawet podczas lotu zachowana została struktura organizacyjna komendy i widać było z odległości kilku kilometrów, kto tu rządzi. Im dalej od komisariatu, tym bardziej oddalały się wszystkie nasze troski, nieudane śledztwo, po prostu cały niedorobiony świat na dole. Jedyną rzeczywistością był smagający nas po twarzach wiatr i furgoczące spodnie Wątroby. Lecieliśmy coraz wyżej.

- I jak?! - Wątroba przekrzykiwał szum wiatru.

- Super! - odkrzyknęliśmy chórem.

- Zaraz chyba puszcze, już nie moge! - dorzucił po chwili Chwiejczak, który najwyraźniej udawał poprzedni entuzjazm, nie chcąc robić przykrości szefowi.

- Możecie puścić! - odkrzyknął komisarz. - Ważne, że uwierzyliście! Spodnie to tylko środek, a nie cel!

- Puścić? Przecież zlecę! - Zielony ze strachu Chwiejczak wpił się kurczowo w nogę Wątroby, tak że komisarz aż syknął z bólu.

- A nie, nie, to nie puszczajcie. Jak nie wierzycie, to zlecicie! Puść, Misiek, to Chwiejczak uwierzy i też będzie mógł puścić! - Wątroba szukał pomysłu, jak można by się nas pozbyć.

- Ale mnie nic nie dolega, mogę tak lecieć na Księżyc i z powrotem! Poza tym nie jestem Misiek! - odkrzyknąłem wesoło. Leciąło mi się wygodnie, a energię podczas latania niech tracą najgrubsi.

- Ale mnie dolega, zaraz mi spodnie zlecą i się rozdzielimy na zawsze! Z tym, że ja będę goły! - Wątroba zaczął się złościć. Najwyraźniej zaproponował nam lot w chwili słabości, a teraz myślał już tylko o tym, jak się pozbyć kłopotliwego balastu. Czyżby chciał nas zamordować poprzez zrzucenie na ziemię odległą o setki metrów?

Ze spodniami miał jednak rację. Rzeczywiście, spod zsuwającego się odzienia już wystawały sporą częścią ogromne półdupki, między którymi lśniły srebrne stringi. Pierwszy raz w życiu mieliśmy możliwość oglądania szefa z opuszczonymi spodniami i szczerze mówiąc, mam nadzieję, że ostatni.

- Git majtaski! - pochwaliłem jego gust w doborze bielizny, wbrew temu, co naprawdę myślałem. Pochwały go jednak nie zmiękczyły.

- Puszczajcie, do cholery, przecież mówię, że polecicie dalej siłą waszej wiary! - Komisarz zdenerwował się nie na żarty. Spodnie zsuwały się centymetr po centymetrze. Do katastrofy było blisko.

- Wolimy tak, jak jest! - zawołałem, ale już mniej dziarsko. Wcale nie byłem pewien, czy umiem latać.

Wątroba zaczął wierzgać nerwowo nogami, zamierzając nas zrzucić. Ogromne cielsko wykonywało podniebny taniec, a widownia wisiała pół

metra niżej, zielona ze strachu, że zaraz będzie zmuszona uwiesić się u srebrnych stringów. A tego już moja biedna psychika by nie zniósła.

- Wierzyć i spierdalać! – ryczał komisarz jak opętany. Spodnie zsuwały się niżej i niżej, Wątroba czynił ogromne wysiłki, żeby je podciągnąć, ale ciężyliśmy mu coraz bardziej.

W końcu zsunęły się całkowicie i Wątroba zaczął się oddalać w niesamowitym tempie, wymachując do nas pięścią. A my spadaliśmy, dość łagodnie – bo spodnie Wątroby były płachtą, co się zowie, która mogła być używana jako prowizoryczny spadochron – ale bezsprzecznie spadaliśmy.

- Chwiejczak, musimy uwierzyć, że polecimy, inaczej nie polecimy. Skoro Wątroba może, to my też, nie? – W tych specyficznych okolicznościach rozpocząłem swoją karierę jako mówca motywacyjny. Posterunkowy skinął nerwowo głową i napiął się tak, jakby chciał eksplodować siłą woli. Powoli wiara nadchodziła.

W końcu zadziało i nasz spadek ustał. Nauczyliśmy się latać. Wzięliśmy kurs na Wątrobę. Goły tyłek w srebrnych stringach błyszczał w słońcu i wskazywał kierunek.

- Uff, był moment zawahania! Ale pięknie uwierzyliśmy i teraz już nikt nam nie podskoczy! – entuzjazmowałem się swoją nową umiejętnością.

Właściciel srebrnej bielizny zaczął nam dawać znaki, wskazując na dół. Łądujemy. Opadliśmy delikatnie, znowu wykorzystując spodnie jak spadochron. Rozejrzałem się. Ależ tu pięknie...

Staliśmy na plaży, przed nami szumiało morze, za nami zieleniły się palmy, lekki wietrzyk od morza łagodził upał, kłębiaste chmury dostojnie płynęły przez błękit nieba, od czasu do czasu układając się w reklamę pewnego znanego batonika kokosowego. Było całkiem jak w raju pokazywanym w książeczkach propagandowych Świadków Jehowy.

- Oddawać! – Wątroba podbiegł do nas i ze wściekłą miną wyrwał nam spodnie z rąk. – Dać takim palec, to połkną całą rękę. Do

zobaczenia jutro na komendzie, a tymczasem każdy radzi sobie sam. Latać już umiecie, własne spodnie też macie...

- Majtki również, panie komisarzu! - zameldował służbiście Chwiejczak, podpowiadając kolejną część garderoby niezbędną każdemu lotnikowi.

Wątroba mroził go przez chwilę spojrzeniem. W końcu odwrócił się na pięcie i odszedł plażą, mrużąc pod nosem:

- Zachciało mi się kolegów z pracy zabierać, kto to w ogóle wymyślił te... te... Hawaje?! - Patrzył wokół z dezaprobatą. - Gorąco i ludożercy!

- Hm, Chwiejczak, chyba się domyślam, kto te Hawaje nam zafundował. Co nas tu czeka? - spytałem, rozglądając się za jakimiś rajskimi atrakcjami.

- Idziemy, panie aspirancie, sam pan zobaczy. - Chwiejczak mówił zagadkami, ale wyraz twarzy miał tak radosny, jakby czuł, że za wydumą siedzi Święty Mikołaj i szykuje już dla nas wymarzone prezenty.

Wędrowaliśmy wzdłuż morza jak z obrazka, w tle zieleńły się lasy i wznosiły wysokie góry, wiatr niósł delikatne dźwięki muzyki. W pewnym momencie doszliśmy do baldachimu, pod którym rozłożono leżak, a na nim umieszczono tabliczkę z napisem „Hwjećak”.

- No cóż, w końcu zagranica. - Chwiejczak wybaczyłyby w tej chwili wszystko, nawet przeniesienie do straży miejskiej, a cóż dopiero drobne błędy w pisowni nazwiska.

W piasek wbito również tabliczkę w kształcie strzałki z moim nazwiskiem, czyli miałem iść dalej we wskazanym kierunku. Pomachałem Chwiejczakowi i powędrowałem ku cudownym atrakcjom rajskiej wysepki.

Za wydumą znalazłem podobny baldachim z przygotowanym dla mnie leżem. Nawet nazwisko nie było przekreścone. Ułożyłem się wygodnie i dłuższą chwilę patrzyłem na morze, leniwy szum fal uspokajał mnie, jedyny dysonans stanowiły odległe odgłosy małych grasujących na palmach. Niebawem pojawiło się smagłe dziewczę,

piękne jak z obrazka. Cholera, tylko ja nie pasowałem do tego pięknego folderu.

– Życzy pan sobie coś do picia? – zagadnęło mnie czystą polszczyzną, chociaż byłem daleko, daleko od kraju.

Zamówiłem jakiegoś drinka. Dziewczę oddaliło się z kocią gracją, odprowadzone moim rozbierającym spojrzeniem. Pod pobliską palmą przycupnął starzec w kwiecistej koszuli i czarnych okularach; po ruchach rozpoznałem niewidomego. Zaczął grać na gitarze hawajskiej. Melodia, choć prosta, idealnie pasowała do otoczenia, uspokajała, nie usypiając. Z tyłu dobiegły mnie po chwili odgłosy kroków pięknej kelnerki. Nagle tę harmonię zakłócił inny, znacznie mniej dziewczęcy tupot stóp, usłyszałem też niski, chrapliwy, choć wyraźnie kobiecy głos:

– Dawaj i spierdalaj!

Odwrociłem się. Piękność zniknęła za wydumą, a w moją stronę zmierzała postać, która nieodparcie kojarzyła mi się z jednym określeniem: „Gruba Berta”. Gruba Berta również była ubrana w bikini, tyle że ogromnych rozmiarów. W krótkiej fryzurze z przetłuszczonych włosów i z perkatym nosem wystającym z nalanej, piegowatej twarzy, nijak nie przypominała swojej poprzedniczki. Różniło je także podejście do klienta, czyli do mnie.

– Zamawiał picie? – zagadnęła tym swoim chropowatym, nieprzyjemnym głosem.

Potwierdziłem i wyciągnąłem rękę po napój.

– Zaraz, jeszcze nie daję! Łapy do kapy! – ryknęła tak, że z przerażeniem cofnąłem wyciągniętą rękę oraz odruchowo skuliłem się na swoim miejscu.

Gruba Berta taksowała mnie nieprzyjaznym wzrokiem.

– Leżak wygodny? – zachrypiała ponownie.

Potwierdziłem, choć wcale nie wyczułem u niej troski o moją wygodę.

– Bo wcześniej tu, o tu... – Kopnęła mnie w tyłek przez płachtę leżaka. – Była taka decha, która w dupę rżnęła. Ulepszyliśmy.

– Mundek, daj no trochę czadu! – zakomenderowała, zwracając się do grajka.

Starzec musiał mieć już do czynienia z Grubą Bertą, bo bez szemrania zaczął grać głośniej i szybciej. Ręce mu się trzęsły ze zdenerwowania, często mylił melodię. Gitara jęczała coraz nieznośniej.

– Chciał picie, to ma! – Podsunęła mi pod nos szklaneczkę. Wyciągnąłem rękę, ale ona szybkim ruchem wylała zawartość na piasek. – Ale nie to! Drinki też żeśmy ulepszyli. Co nie, Mundek?

Starzec bąknął coś pod nosem. Tymczasem Gruba Berta pogrzebała w piasku i wyciągnęła butelkę, nalała mętnej cieczy do szklanki i znowu podsunęła mi pod nos:

– Zum Wohl! (*po niemiecku: na zdrowie*) – Zabrzmiało to niczym jakaś komenda.

Niepewnie łypiąc, to na Bertę, to na dziwną ciecz, wziąłem szklanekę do ręki, łyknąłem troszeczkę. Zwabione odgłosami gitary małpy zaczęły buszować nad nami, rzucając kokosami i piszcząc. Wyraźnie celowały w grajka.

– Uuu, ohyda! – jęknąłem. Napój był mocny i lekko słonawy.

– Pij, do dna! – zakomenderowała ponownie Gruba Berta.

– Ale... – Chciałem zaprotestować przeciw temu bezceremonialnemu burzeniu mojego rajskiego spokoju.

– Pij, procenty to procenty! – Nie dopuszczała żadnych dyskusji.

– Ale... – Miałem dosyć. Uniosłem się lekko, chcąc odejść.

– Pij, nie pierdol! – Przydusiła mnie swoją ogromną nogą do leżaka, w odległości dwudziestu centymetrów od twarzy widziałem jej pomalowane na czerwono pazury. Coraz bardziej spanikowany łykałem solidne hausty słonawej cieczy.

Gruba Berta, nadal trzymając swoją nogę na mojej kłacie, zaczęła wykonywać wężowo-taneczne ruchy, starając się dopasować do jęczącej gitary. Małpy wrzeszczały coraz głośniej, mnie już mdliło od paskudnego drinka. Gruba Berta zalotnie jeździła rękoma po udzie,

ogromna, sadlista noga trwała przed moją twarzą w swej całej okazałości.

– Nieźle, co nie?! – wrzasnęła, klepiąc się po biodrze.

Niepewnie skinąłem głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć i jak się zachować w tych dziwnych okolicznościach. W tym momencie jeden z rzucanych przez małpy orzechów kokosowych trafił w starca, który zwał się obok gitary zemdlony, może nawet nieżywy.

– Ha, ha, ha, ha, skasowały Mundka! – Gruba Berta trzęsła się ze śmiechu, widząc powodzenie akcji złośliwych małpisonów. – Cieniarz!

Małpy rozochocone sukcesem wrzeszczały coraz bardziej i szukały nowego celu dla swych rzutów. Gitara, choć bez muzyka, grała nadal. A raczej zawodziła i jęczała, wydając z siebie dźwięki nieskoordynowane i przypadkowe. Gruba Berta odwróciła się do mnie, wyrwała mi szklanke i ponownie napełniła ciecżą.

– Pij! – padła komenda.

Pamiętając o ogromnej nodze zgniatającej mi pierś, łknąłem nieco. Postanowiłem zmienić taktykę i pić małymi łykami. Tymczasem Gruba Berta przygryzła wargę i przypatrywała mi się krytycznie, mrucząc coś pod nosem. Nagle podskoczyła i zwała się całym ciężarem na moją pierś, aż tchu mi zabrakło. Leżak trzasnął i runęliśmy na ziemię. Zacząłem się miotać, ale Gruba Berta przygniatała mnie skutecznie, jedną ręką walcząc ze mną, drugą manipulując przy moim rozporoku. Wrzeszczałem i szarpałem się, ale nie miałem szans.

– Coś ty taki nieśmiały, te?! Bab nie lubisz czy jak?! Zaraz się dogadamy! – Gruba Berta działała zgodnie ze swoim przerażającym planem. Prawie by mnie dorwała, ale odciągnął ją bełkotliwy ryk dochodzący zza wydmy:

– Błe, błe, błe!

– Ech, ty... ty... baranie! Tymi wrzaskami Kwasióra zbudziłeś! Leżeć tu i czekać! – znowu rozkazała i pobiegła ku odgłosom.

Zza wydmy wyszło coś zielonego, galaretowato-ciastowatego i ryczącego. Gruba Berta podeszła do istoty, mówiąc coś, ale stwór szedł

dalej. Prosto na mnie. Kobieta przekonywała, starała się intruza przytrzymać, w końcu przytuliła go i pocałowała. Kwasiorek zatrzymał się, a po chwili Gruba Berta zaczęła z nim tańczyć w rytmie wyznaczanym rzepoleniem gitary, kierując się z każdym taktem w stronę wydmy. Wyraźnie go odciągała. Patrzyłem osłupiały na tę dziwną akcję i stwora nie z tej ziemi, aż naraz dotarło do mnie, że może uniknę spotkania z Kwasiorem, ale ona zaraz tu wróci.

– O nie! Po moim trupie! – Zerwałem się z resztek tego, co jeszcze niedawno było wygodnym, ulepszonego leżakiem, i puściłem biegiem przez plażę.

Słońce piekło niemiłosiernie, słyszałem z tyłu wrzaski Berty przeplatane zawodzeniami Kwasiora. Pędziłem ku miejscu, skąd przyszedłem. Nagle zza wydmy wyłoniła się kolejna biegnąca postać. Chwiejczak.

– Chwiejczak! Tu! – ryknąłem, jak mogłem najgłośniejsze.

Posterunkowy przypadł do mnie, dysząc ciężko, wzrok miał błędny. Trząsł się jak w febrze.

– Szy...szy...szybko, odlatujemy! – wybełkotał przerażony i chwycił mnie kurczowo za rękę.

Napięliśmy się, ale nawet nie drgnęliśmy.

– Rany boskie! – Chwiejczak patrzył na mnie błagalnie. Widziałem, że chłop powoli żegna się z życiem.

Tętno łomotało mi w skroniach, w głowie miałem pustkę. Skup się! Co Wątroba mówił? Trzeba wierzyć, wtedy się uda. Jeszcze raz skoncentrowałem się, napiąłem i nic, ani drgnąłem. Posterunkowy to samo. A odgłosy pogoni były coraz bliżej. Nagle przyszedł mi do głowy pewien przewrotny pomysł.

– Wiecie co, Chwiejczak, ja się już trochę uniosłem, teraz polecimy. Chwycie się mojej nogawki i odliczamy. Raz, dwa...

Na trzy Chwiejczak śmignął do góry, a ja tuż za nim. W samą porę. Gruba Berta wygrażała nam z dołu pięścią. Za nią bełkotał Kwasiorek,

najwyraźniej rozgniewany faktem ucieczki swojej popołudniowej przekąski.

– Przepraszam, przepraszam. Nie wiem, skąd się tam wzięła. Nigdy, ale to nigdy nie miałem nic wspólnego z takim babskiem! – szlochał i jęczał Chwiejczak, załamany takim obrotem spraw na jego rajskiej wyspie.

Staliśmy z Wątrobą obok niego i razem próbowaliśmy pocieszyć niefortunnego wielbiciela Hawajów, ale zranione serce i krach własnych marzeń o szczęściu trudno uleczyć.

– Tak, tak, człowiek ma wielkie plany i marzenia, a kończy co najwyżej jako konsument najtańszego wina z Żabki – orzekł komisarz tonem znawcy.

Chwiejczak na te słowa zaszlochał jeszcze żałośniej. Nie byłem pewien, czy komisarz swoją terapią bardziej mu pomaga, czy może pogłęży w jeszcze gorszej depresji.

– Nie martwcie się, Chwiejczak. Pisać poprawnie nie umieją, tańczą z galaretami, demolują leżaki. Do niczego te Hawaje! – brnął dalej fachowy pocieszyciel. – A tak na marginesie wspomnę, że moja Berta była całkiem niezła i ja bym się tam jeszcze pobawił, tylko ta galareta za bardzo hałasowała.

Chwiejczak znowu zawył głosem pełnym rozpacz. Komisarz wznosił oczy ku niebu. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

– No, na raz, dwa, trzy bierzecie się w garść i oddalacie do czynności operacyjnych, jutro meldujecie wyniki. Na piśmie. – Wątroba zmienił technikę z dobrego wujka na surowego żandarma. Jeśli się wybierze odpowiedni moment przemiany, jest to bardzo skuteczna metoda na załamanych.

– Raz, dwa... – rozpoczęło się zapowiadane odliczanie.

Chwiejczak niedbale zasalutował i powlókł się korytarzem ku zadaniom. Wpatrywaliśmy się chwilę w korytarz, aż posterunkowy zniknął za rogiem.

- Tak, na dzisiaj to tylko jakaś głupia robota mu pomoże -
zawyrokował Wątroba z miną eksperta.

- Nazywasz czynności operacyjne głupimi? - zapytałem zdziwiony.

- Nie, pisanie raportów. Chwiejczak będzie skrobał do nocy, a ja zaraz potem wyrzucę do kosza jego wypociny. Przecież nic ciekawego się w terenie nie dzieje.

- Fakt. Niezły z ciebie psycholog - pochwaliłem przełożonego zgodnie z zasadą regularnych pochwał pomysłów przełożonego, kolejną zasadą, której znajomość jest niezbędną każdemu policjantowi. Tym razem należało go trochę zadziwić, nie własną odwagą lub zaangażowaniem, lecz pozytywnymi słowami o jego ideach, choćby i były one na siłę.

- Wiem, takiej mądrości nabiera się, jedząc salceson. - Wątroba nie uważał, żeby jakiegokolwiek pochwały pod jego adresem były na siłę.

Uplęnęło trochę czasu i sprawa dziwnego morderstwa lub samobójstwa połączonego z inscenizacją krzyżowania nieco przycichła. Brona dostał najlepszego adwokata w mieście, choć chyba niepotrzebnie, bo dostarczone przez nas dowody trudno było nazwać niezbitymi. Substancja, która zabiła Karbowskiego, nijak nie zgadzała się z opowieściami Brony. Również wiele innych szczegółów świadczyło, że ten człowiek bardzo się stara przedstawić jako morderca, ale nie do końca mu to wychodzi. Skąd pochodziły pieniądze na drogiego prawnika, to pozostało tajemnicą kancelarii adwokackiej, choć próbowaliśmy pozyskać te informacje wprost od adwokata, jak również z innych źródeł informacji. Wszystko na próżno.

Natomiast Wasiak zniknął na dobre. Przydzielony do niego policyjny agent powrócił z działań w terenie po kilku dniach i ze skruczą przyznał, że w pewnym momencie obserwowany zamienił się z kimś ubraniami. Tak zmylony szpicel śledził przez wiele godzin innego człowieka, którym okazał się w końcu miejscowy odchyleniec,

ekshibicjonista grasujący wieczorami w pobliskim parku. Mimo wyraźnego zaniedbania ze strony agenta, komisarz wykazał się daleko idącą pobłażliwością. Udzielił mu jedynie napomnienia, dodając, że takie pomyłki się zdarzają. Czyżby sam się kiedyś tak pomylił?

Dom był od chwili aresztowania Brony pod obserwacją, ale nikt się tam nie pojawiał. Również badanie ścian i skrytek przez wynajętą ekipę budowlaną nie przyniosło żadnych wyników. Innymi słowy, moje śpiewy i boje w piwnicy nie miały prawa być rzeczywistością, ponieważ nie zostały potwierdzone przez speców.

Jeżeli chodzi o sprawy inne, Wątroba przyznał mi podwyżkę roczną, całkowicie wbrew wykazywanym wynikom w pracy i zaangażowaniu w obowiązki, jednak w pełnej zgodzie z zasadą regularnych pochwał działań przełożonego. Chwiejczak podwyżki nie dostał, również zgodnie ze wspomnianą regułą. Świat wokół toczył się ociężale dalej, stonka ziemniaczana pustoszyła pola, a prezes Spółdzielni Mieszkaniowej Radość znów się pokłócił z żoną.

W taki to piękny dzień wędrowałem po służbie ulicami miasta w kierunku zakładu fryzjerskiego Krwawego Józia. Krwawy Józiu naprawdę nazywał się Józef Przykrywka i od piętnastu lat prowadził zakład fryzjerski do spółki z Heleną Sykuć, dawną konkubiną. Uczucie minęło, ale biznes łączył ich nadal. Józiu strzygł panów, Helena panie. Obie części zakładu oddzielał parawan, jak u ginekologa. Krwawy Józio był najtańszym fryzjerem w mieście, miał swoją stałą, niewybredną klientelę i dzięki temu utrzymywał się w branży. Podobnie część damska, specjalizująca się w przekształcaniu różnorodnych typów owłosienia w jednolitą masę – kasztanową trwałą – niezależnie od typu urody, naturalnego koloru włosów, wieku czy zamawianej fryzury. Stali bywalcy męskiej strony dowcipkowali, że stamtąd, czyli „od bab”, nawet łysy wyszedłby jako brązowy baranek. Panie rewanzowały im się uwagami o płatanu przez rzeźnika. Uwagi te wynikały ze stylu pracy Józia, który w wyniku jakiegoś dawnego urazu bądź choroby nabawił się bardzo mocnych tików nerwowych, objawiających się nagłymi

wstrząsami całego ciała. Strzyżony nigdy nie mógł być pewien, czy dziś padnie akurat na niego i Józio wbije mu nożyczki w ucho bądź świśnie brzytwą przez kark. Istna rosyjska ruletka. Można też było zamówić strzyżenie maszynką, wtedy ryzyko urazu małało w skutkach do niewinnych szarpnięć. Stali bywalcy, widząc jakiegoś nowego nieświadomego klienta, często robili zakłady, kiedy poleje się krew, lub nawet bezczelnie obgadywali Józia, licząc na jego nerwową reakcję.

Podobnie było i tym razem. Nieznany klient tłumaczył, jak długie mają być baczki i grzywka, po czym zasiadł z zadowoloną miną na fotelu. Panowie uśmiechnęli się znacząco, dwóch się założyło, trzeci przeciął, patrząc z wyraźnym politowaniem na zawodnika, który obstawił brak rozlewu krwi. Stary dziadek o imieniu Czesław, wiecznie siedzący u Krwawego Józia, ni to jako klient, ni to jako towarzysz pogawędek, obojętnie oglądał tę scenkę, popijając herbatę z poszczerbionego kubka. Codziennie tu takich widywał – jedni się awanturowali, inni znosili ból cierpliwie, ale byli też tacy, co mało Józia nie pobili.

Ja siedziałem z boku, pod parawanem, czekając na spotkanie ze stosunkowo bezpieczną maszynką. Chciałem jak najszybciej mieć to z głowy i lecieć do domu. Wtem ze strzępów rozmowy dobiegającej zza parawanu wyłowilem znajome nazwiska – Karbowski i Brona. Dwa damskie głosy opowiadały sobie o naszej sprawie.

– ...bo widzi pani, ja od początku czułam, że zabił ten Brona. Jaki z niego staruszek? Sama widziałam, przez mur kiedyś przeskoczył i pobiegł dalej...

– Ale co też pani, jaki Brona, to przecież ten, no, kozioł ofiarny! Jak usłyszałam, że dochodzenie prowadzi ten gruby, co na Cisowej mieszka, to sobie pomyślałam: O, to ładne kwiatki, będzie żał paszтетową i na koniec zgarnie byle kogo. A przecież wiadomo, co i jak było, byli nawet tacy, co wszystko, no, prawie wszystko widzieli, na przykład ten, ten, jak mu tam...

– No, ale mnie Balkowa mówiła, wie pani, ta, co sklepową była i teraz przez to kłopoty z biodrem ma, no to ona mówiła... Co? Tak, tak, pani Heleno! Jeszcze poczekamy.

– Balkowa mówi jedno, a prawda to drugie, ja wiem tylko tyle, że to nie tylko Brona, ale również ten, no, jak mu tam, ten menel Wąsik...

– To on też? A tak spokojnie wyglądał, złego słowa bym nie powiedziała! Zawsze uprzejmy, drzwi przytrzymał...

– A nie, to nie ten. Ten na pewno drzwi nie trzymał, bo wie pani, oni to razem, z tym jego bratem...

– Z jakim bratem? Pani kochana, świnia nie brat, brat brata by tak...!

– Ale rodzina to rodzina, a poza tym słyszałam, że ten, co zginął, to właśnie ten brat, podmianka była, bo ten Wąsik...

– Ale przecież wtedy nawet ten gruby, co żre pasztetową, by się poznał, a poza tym oni tam mają takie laboratoria i mogą wszystko zbadać, wszystko, nawet ten kod BHP, co go każdy ma, mogą...

– Zależy, nieraz się robi, nieraz nie, a zresztą na tej komendzie wszyscy jacyś tacy, lenie, świry albo debile.

Zacisnąłem pięści w bezsilnej złości, ale rozmowa tak mnie wciągnęła, że się opanowałem i spokojnie siedziałem dalej. Ucho prawie przylegało do parawanu, za którym dwie emerytki wiedziały więcej o naszym śledztwie niż cała powiatowa policja.

– ...to jak pani mówi, on z tym Wąsikiem, a teraz pod tym Góldapiom...

– Pod Góldapim, czy gdzieś tam, czort wie gdzie. A Bronę kto broni? Puzika dostał, najlepszy adwokat w mieście...

– Najlepszy, bo sypiał z sędzią, to się konsultowali w kuluarach i wyroki były jak trzeba.

– Taki ananas! A mnie to Balkowa mówiła...

– Co jest, do jasnej cholery, fryzjer czy rzeźnia!? – Awantura przerwała podsłuchiwanie. Gość wyraźnie miał już dosyć. Gwałtownie zerwał się po kolejnym dziabnięciu w kark i wrzeszczał, przecierając skrwawioną potylicę.

Krwawy Józio przeproszał i obiecywał, że to się już nie powtórzy. Facet jednak ani myślał ponownie usadzić tyłek na fotelu.

- Baczki takie, grzywka taka, a pierwsza uwaga powinna być, żeby czaszki nie uszkodzić albo ucha nie uciąć! Na perkusji pan grałeś?!

Klientela parsknęła śmiechem. Poraniony zobaczył, że ma publikę.

- Witam szanownego pana, zapraszam na fotelik, hop! - Podskoczył jak rażony prądem. - Może na przedziałek, hop, a może na języka, hop!

Klienci śmiali się już całkiem otwarcie, nawet dziadzio coś tam beczał pod nosem. Krwawy Józio stał jak wmurowany.

- O tak, proszę przechylić głowę, pik, o przepraszam zaraz dziurkę zalepię i powietrze z czaszki nie ujdzie, hop! A teraz podgolimy, o przepraszam, zaraz się zszyje i szyjka jak nowa, hop.

Faceci zwijali się ze śmiechu. A artysta kontynuował swój show, najwyraźniej realizując tu marzenia o wielkiej scenicznej karierze. Natomiast ja wszedłem za parawan. Pani Helena paliła papierosa, patrząc tępo w drzwi.

- Chłopy po drugiej stronie! - warknęła, widząc, że naruszyłem strefę podziału zakładu ze względu na płęć.

- Przepraszam, chciałem tylko zapytać... Przepraszam, ale gdzie są te dwie panie, które tu siedziały? Jeszcze przed chwilą - jąkając się, tłumaczyłem i wodziłem wzrokiem po pustym pomieszczeniu w poszukiwaniu gadatliwych kobiet.

Pani Helena popatrzyła na wskazane przeze mnie puste krzesła. Oczy zaokrągliły się zdziwieniem.

- Jakie panie? Dziś zero klientów, tylko u Józka te barany - wyjaśniła to, co każdy mógł zobaczyć na własne oczy.

- Ale ja wyraźnie słyszałem, że one rozmawiały o mnie... mhm... o nas, o śledztwie... - ciągnąłem tłumaczenia, choć zdawałem sobie sprawę, że stoję na z góry przegranej pozycji.

Pani Helena spojrzała na mnie przeciągle, oczy ze zdziwionych zmieniły się w przestraszone. Następnie powiedziała:

- Spadaj, świrze, bo zaraz policję zawołam!

Omiotłem spojrzeniem pomieszczenie i wtem mój wzrok padł na szafkę w kącie. Stał na niej słoik z brązową nalepką, a w nim biały goździk. Zrazy staropolskie.

Szkoło słoja drwiło ze mnie swoją nalepką z wydrukowanym składem, oznaczeniem normy zakładowej i rysunkiem parujących zrazów staropolskich na talerzu. Kabareciarz za parawanem osiągnął apogeum swoich możliwości i publika powoli się uspokajała. Odwróciłem się i smętnie noga za nogą powlokłem w kierunku wyjścia, odprowadzany podejrzliwym spojrzeniem pani Heleny.

- Ech, byle do emerytury!

Kryminalny klub emeryta

- Tak, tak...

- Hm, tak, tak.

Zapadło dłuższe milczenie. Dłuższe, choć nikomu się ono nie dłużyło. Życie, najlepszy nauczyciel cierpliwości, uśmiechnęło się tryumfalnie. Jego uczniowie spisywali się świetnie. Zniwelowali swoje pragnienia, wzruszenia oraz emocje do kilku starczych gestów. A cierpliwość, brak oczekiwań na najbliższe chwile, lata, a nawet na całe pozostałe im życie, stały się tym, czym ruch i rozwój dla najmłodszych – codziennością.

- Tak, tak – powtórzył Chwiejczak.

- Co: tak, tak? – zdenerwował się Wątroba.

- A takuję sobie tak. Takie tam taku-tak. – Chwiejczak postanowił poćwiczyć sprawność swojego aparatu mowy.

- Stałeś się filozofem na emeryturze, Chwiejczak – podsumował go Wątroba.

- Tak jest, panie komisarzu! – Dzielny posterunkowy potwierdził służbiście swoje nowe zajęcie.

- Darujcie sobie, już możemy bez stopni i tytułów. Jesteśmy na emeryturze. Nieważne kim byłeś, ważne, że teraz na razie jeszcze trwasz poza cmentarnym ogrodzeniem – mruknął Wątroba.

- Tak, tak – potwierdził Chwiejczak.

- Skończcie z tym takaniem, do diaska!

- Tak jest! – Chwiejczak zrozumiał, że trochę przesadził.

I znowu zapadła chwila milczenia. Skorzystały na niej gołębie, obficie dokarmiane przez Chwiejczaka. Domorosły filozof kruszył bułkę

na skalę przemysłową. Kilka gołębi już leżało pod krzakiem, ciężko dysząc z przejedzenia. Inne jeszcze dziobały zachłannie nowe porcje białego pieczywa. Pod nogi dwóch starszych panów pielgrzymowały dalsze zastępy, zwabione obfitością przy ławce parkowej. Wątroba nie lubił gołębi. Znaczy lubił, ale na talerzu. Jednakże tolerował tę słabość kolegi przy spotkaniach parkowych. Doskwierała mu na emeryturze samotność, brak obowiązków oraz ulubionej pracy policjanta. I zniósłby o wiele więcej niż widok wiecznie głodnego i srającego gdzie popadnie ptactwa, byleby tylko móc częściej pogadać z byłym podwładnym.

– Wie pan co, komisarzu? – zagaił Chwiejczak po skruszeniu kolejnej buły.

– Co?

– Nudno na emeryturze. – Niegdyś posturkowy chyba również cierpiał z powodu braku zajęć. – Brak perspektyw, na Hawaje się nie pojedzie, bo i za co? Patrol by się zrobiło. Ale po co? I jako kto? Emerytowani stróże osiedlowi? A do tego przecież i tak jesteśmy już za starzy, żeby jakiegos ptaszka przyskrzynić.

– Chyba że gołębia. – Wątroba kopnął ze złośliwym uśmiechem najbliższego ptaka. Temu z oburzenia aż wypadł z dzioba spory okruszek. – Tylko brudzą wszystko.

– To ich święte prawo, natury pan nie oszukasz – ponowił filozoficzne myśli Chwiejczak. Zapadli w milczenie. Po chwili dodał: – A wie pan, ja czasami zastanawiam nad naszymi starymi sprawami. Nad tym, co się wydarzyło, kto był najgłupszy na komendzie, dlaczego czasem coś nam wyszło, ale częściej nie wychodziło...

– I co? Jakies wnioski? – Wątroba żywo się zainteresował, kogo Chwiejczak uważał za najgłupszego.

– Dużo błędów żeśmy popełnili i dużo zaniedbań. Sporo zagrywek, aby awansować, ale się przy tym nie narobić – ciągnął swoje szczere wynurzenia Chwiejczak.

Wątroba spojrział na niego ze zdumieniem. Takiego go nie znał. Zawsze pedantycznie wykonujący rozkazy, wydawał się być przez te lata służby automatem bez własnego zdania, bez opinii o bieżących oraz ponadczasowych zjawiskach. A tu, proszę, krytyczne przemyślenia.

- Stałeś się filozofem na emeryturze, Chwiejczak - powtórzył Wątroba. - Stąd blisko do odkrycia, że wszystko nie miało sensu. A to już bardzo ryzykowne w naszym wieku.

Dawny posterunkowy spojrział na byłego przełożonego w filozoficznej zadumie.

- Może i tak, ale nachodzi mnie często, prawie ciągle, taka myśl, żeby powrócić do takiej jednej starej, rozgrzebanej sprawy. I ją, tak już bez polityki, bez myślenia o awansie, kto kogo, za kim, po prostu ją wyjaśnić i zakończyć. Zrobić porządne śledztwo, nie żałować czasu. Po ludzku dojść do tego, co się naprawdę wydarzyło.

Wątroba machnął ręką, jakby lekceważąco. Stęknął, dając byłemu posterunkowemu znak, że spodziewał się po nim lepszych pomysłów na koniec ich ziemskiego bytowania.

- Nie po to tyrałem całe życie, żeby potyrać jeszcze trochę. Nie macie jakichś ciekawszych tematów? - skomentował pomysł powrotu do starych spraw.

Chwiejczak zapatrzył się w tłumek kłębiących się ptaków. Dorzucił jeszcze kilka kawałków bułki, które wygrzebał z dna torebki.

- No to pogadajmy o gołąbkach, to też ciekawe. Ornitologia potrafi być fascynująca - odburknął w końcu, najwyraźniej obrażony na reakcję byłego szefa.

- Może innym razem. - Wątroba wstał z ławki i zaczął iść ku wylotowi alejki. - Do zobaczenia, odezwę się wkrótce.

- Do zobaczenia - odpowiedział Chwiejczak i odprowadził Wątrobę spojrzeniem. Komisarz poruszał się dość wolno, ale nie był jeszcze staruszką, raczej starszym panem. Nadal pasowało do niego określenie otyły, choć do rekordowych gabarytów sprzed dwudziestu lat trochę mu brakowało. Schudł na starość i zmarniał, nie dało się tego

ukryć. Chwiejczak sypał dalej pieczywo i coś gwizdał, jakby na melodię „Chłopaki z kwadrata”.

Wątroba wędrował przez swoją dzielnicę, co chwila zaczepiając wzrokiem o znajome kształty, mury, drzewa, no i oczywiście twarze. Z przykrością stwierdził, że wraz z upływem lat poza pracą policjanta zaczyna się coraz bardziej oddalać od teraźniejszości. Kiedyś znał każdego menela w mieście, każdą prostytutkę i kieszonkowca. Teraz zauważył u jednego z trzech kolesi pijących piwo pod osiedlowym sklepikiem więzienne kropki wytatuowane na ręce, jednak nie miał pojęcia, co to za typ ani co robi w tym rejonie. Jeszcze dwa lata temu byloby to wykluczone, znałby jego kartotekę bezbłędnie. Tak rozmyślając, zagapił się na towarzystwo pod sklepikiem, co oczywiście im się nie spodobało.

– Co tak dziadek gały wytrzeszczasz, te? Szukasz problemów? – zagaił mało grzecznie typ. – Spadaj na chatę, bo ci baniaka obtłuczemy.

Dwóch jego kompanów zarechotało. Wątroba mruknął coś, ni to przepraszająco, ni to przyjaźnie, i śpiesznie odszedł w swoim kierunku. Za rogiem zatrzymał się i w bezradnej wściekłości zaczął walić pięścią w ścianę. Jeszcze nie tak dawno temu każdy go tu znał i szanował. Wszyscy wiedzieli, że z Wątrobą się nie zadziera, a z nieuświadomionymi umiał sobie poradzić. A teraz byle przybłęda tak się do niego odzywa i na dodatek napędził mu niezłego stracha! Wątroba zdał sobie sprawę, że jest już tylko starszym, emerytowanym gliną z zaśniedziałym medalem za niejasne do końca zasługi w rozbiciu mafii gazowej. Byle wyrostek mógł podbiec, dać mu po pysku i uciec bezkarnie, bo on by go nie dogonił za żadne skarby. A potem zanudzałby dzielnicowego swoimi opowieściami i podejrzeniami, każąc mu wyłapać wszystkich młodocianych w okolicy oraz narzekając na złe wychowanie dzisiejszej młodzieży. I opowiadałby mu, jakim to jest ważniakiem, bo kiedyś, wieki temu, rozbił mafię gazową i dostał za to medal. I pokazywałby mu ten medal. A dzielnicowy łagodnie by się

uśmiechał przy pisaniu protokołu, mruzczałby ze zrozumieniem, nie chcąc zrazić weterana miejscowej służby bezpieczeństwa. Ale w duchu dawałby mu radę, żeby sobie w dupę wsadził ten gazowy medal i spadał do sanatorium w Ciechocinku, bo on ma tu huk roboty, w której marudzący dziadyga tylko mu przeszkadza.

Tak właśnie by było, bo takie jest życie. Uczy cierpliwości, zrozumienia świata oraz wszechświata, postaw godnościowych i obrony honoru ludzkiego, uczy również ochrony przyrody, dziedzictwa narodowo-kulturalnego i eleganckiego sposobu jedzenia nożem i widelcem w dobrym towarzystwie. A jak już życie skończy swoje nauki, to człowiek staje się pełnym wiedzy, zrozumienia i godności starcem, który nikomu do niczego nie jest potrzebny.

- I tak już jest! - potwierdził półgłosem Wątroba to, co pomyślał przed chwilą mózg, i... rozplakał się. Bo chyba nic w świecie tak go nie zabolalo jak odwieczna prawda o przemijaniu i spadku apetytu wraz z wiekiem.

Poszedł do domu. Prowadził go wzdłuż ulicy długi szary mur znaczone szarawozielonymi zaciekami. Wiele razy go mijał, ale nigdy nie zrobił na nim tak przygnębiającego wrażenia jak dziś. W tym stanie ducha Wątrobę zaczęły otaczać złe wizje, również szarozielone; bezgłośnie tańcząc, wyczarowywały obrazy niedalekiej przyszłości pełnej chorób, lęków i samotności. Szedł przez ten spektakl coraz bardziej przytłoczony brzemieniem lat i bezsilności. Świat i umierające życie przykryły jego mały kawałek rzeczywistości kloszem i zgodnie stwierdziły, że od teraz tutaj panuje spokój i zapomnienie. Raz na dwa lata się odkurzy, a jak kloszowany umrze, to się jego pryczę odkazi chlorem i da nowe prześcieradełko. Innymi słowy - i życie, i świat, i do tego ZUS, i komenda miały już porządek w aktach personalnych, pamiętkowy długopis za długą służbę został wydany, konto emerytalne aktywowane, a jego stare politurowane biurko z chwiejącą się nogą przekazane młodemu absolwentowi szkoły policyjnej. Wszystko zaczęło się zamykać, pokrywać patyną nicości. I nie faktyczna ilość lat

w dowodzie osobistym ani zniszczony prochowiec świadczyły o wieku Wątroby. Starość była jak rozwijający się w jego ciele wirus, który znalazł żarcie – duszę. Nagle Wątroba poczuł, jak ona go zżera i on musi coś zrobić, żeby ją powstrzymać.

– Chwiejczak! – krzyknął, odwracając się w miejscu, i pobiegł z powrotem. Opanowała go taka panika, że nie czuł w starych nogach zmęczenia ani nie czuł, jak mocno bije jego zmęczone życiem serce. – Zróbmy coś! Chwiejczak, zróbmy coś, zanim się całkiem rozsypimy!

I darł się tak na całe gardło, pędząc przez osiedle. Nie zważał na fakt, że zakłóca spokój i porządek, miał też w dupie otaczającą go przyrodę i jej kojący wpływ na człowieka. Nie zwracał również uwagi na tego mało grzecznego typu, który już się szykował, żeby mu spuścić lanie za wrzaski i bieganie przed jego nosem. Ale jak tylko Wątroba zniknął za rogiem, machnął ręką na pomysł zaczepiania niesfornego dziadka i przywalił nieoczekiwanie swojemu kumplowi, który najpierw się zatoczył i krzyknął z bólu, a później oddał koledze z barana. Tak zaczęła się bijatyka pomiędzy trzema zgodnymi dotychczas panami, z użyciem stalowych prętów i zbitych butelek. Było jasne, że chłopaki muszą się wyszumieć w wolnym czasie i każdy pretekst jest dobry.

– Chwiejczak! – Wątroba biegł i krzyczał, aż dopadł do wlotu alejki parkowej. – Chwiejczak!

Chwiejczak odwrócił się, obserwując nadbiegającego kompana, który przecież dopiero co poszedł do domu. Były posterunkowy dalej zanieczyszczał asfalt okruszkami, a armia obżartych gołębi powiększała się z minuty na minutę. Spojrzał zdziwiony na zdyszanego Wątrobę.

– Stało się coś, biją naszych? – Nie wiedział, co mogło tak wzburzyć byłego szefa.

– Idziemy, Chwiejczak! – zakomenderował komisarz.

– Ale jeszcze trochę zostało bułki, są jeszcze głodne...

– Idziemy, kurna, a ptaki niech sobie lecą do Biedronki na zakupy! Przynajmniej park będzie czystszy. – Szef, niezależnie obecny czy były, nie tolerował opieszałości w wykonywaniu poleceń.

Chwiejczak posłusznie pomaszerował za swoim dawnym przełożonym. Choć określenie „dawny przełożony” zakrawało na jakiś żart. Tej zależności, zbudowanej przez dziesięciolecia wspólnej pracy, żadne emerytury, wojny czy rewolucje nie mogły zmienić. Wątroba is king. Tak było, jest i zawsze już będzie, przynajmniej dla Chwiejczaka.

– Ale co się stało? Dokąd idziemy? Zaraz mam „Poranek seniora” na czwórce. Zdamy? Biorę tam zawsze udział w telekryżówce – gorączkował się były posterunkowy, widząc, że Wątroba ciągnie go w zupełnie innym kierunku niż mieszkanie Chwiejczaka.

– Zapomnijcie o telekryżówkach i o porankach seniora. O wieczorkach zresztą też. Będziemy realizować nasze marzenia – pouczył go Wątroba.

– Jedziemy na Hawaje? – Oczy Chwiejczaka zapłonęły na moment dość bezpodstawną nadzieją, która żyła w nim całe dziesięciolecia i do dnia dzisiejszego nie zgasła.

– Do Grubej Berty?! – zaperzył się komisarz. – Nie, dzięki. Bierzemy się za tę starą sprawę, o której mówiliście. Trzeba się pogimnastykować intelektualnie. Wrócić życie w nasze umarłe szare komórki. Wyrwać z ram stetryczalej codzienności.

– Że jak? – Chwiejczak niczego nie rozumiał, poza tym, że nigdzie nie jada i że znowu Wątroba mu rozkazuje.

Był wciąż oszołomiony akcją szefa, a gromada gołębi kroczyła jeszcze za nimi, licząc na dalszą wyzerkę, tyle że na innej ławce. Gruby komisarz łypnął na nie groźnie, tupnął nogą i huknął: „Won!”. Chmara uniosła się, lecz zaraz opadła niedaleko, wpatrując się błagalnie w Chwiejczaka, a raczej w woreczek w jego ręce.

– Rzućcie im te głupie buły i spadamy, ale to już. Mam dosyć prześladowających nas pierzaków! – zdenerwował się komisarz.

Chwiejczak wykonał polecenie, a potem ruszył potulnie za Wątrobą, machinalnie sprawdzając, czy ptactwo za nimi biegnie. Ale one rzuciły się na pieczywo i miały swego dotychczasowego dobroczyńcę głęboko

pod ogonem. Chwiejczak westchnął nad niewdzięcznością przyrody i przyspieszył kroku, doganiając oszalałego komisarza.

Doszli na Cisową, miejsca zamieszkania Wątroby. W mieszkaniu, w iście zabójczym tempie organizowali pokój operacyjny. Tak nazwał go Wątroba. Wielki stół, krzesła, mapa miasta wyciągnięta z zakurzonego kąta za szafą. Na uwagę, że brakuje na niej nowej obwodnicy autostradowej, Chwiejczak usłyszał kąśliwą odpowiedź, że nie są klubem samochodowym. W ogóle każda próba spowolnienia i wyjaśnienia tej chaotycznej krzątaniny kończyła się uwagami w stylu „ruchy, ruchy” albo „gadać będziemy na emeryturze”. Chwiejczak chętnie przypominałby, że właśnie są na emeryturze, ale jedno spojrzenie Wątroby zamykało mu usta. Innymi słowy, praca wrzała, choć jej cel był niejasny.

Dawno się tak nie zmęczyli. Po przemeblowaniu pokoju dla celów dochodzenia, wyciągnięciu starej maszyny do pisania, powieszeniu dyplomu uznania za wieloletnią służbę na ścianie – opadli z westchnieniem ulgi na krzesła. Wątroba zaczął coś mówić o jutrzejszej wizji lokalnej i dotarciu do świadków, ale Chwiejczak wreszcie się odważył na bardziej kategoryczną reakcję i przerwał mu w połowie zdania.

– Ale szefie, o co chodzi? Skąd taki ogień?

Wątroba spojrział na niego z ukosa. I westchnął.

– Miałem natchnienie...

Teraz znowu Chwiejczak westchnął. Znał te wstępny, padnie dużo trudnych słów. Będą porównania, dygresje, metafory, aforyzmy, parabole, legendy i klechdy, a wszystko zamiast kilku prostych, policyjnych informacji.

– Pierwszym impulsem była wasza gotowość do bezinteresownego poświęcenia w poszukiwaniu prawdy, drugim stała się wizja utraty kontroli nad życiem półświatka w naszej okolicy, trzecim brak

jakichkolwiek perspektyw typu konstruktywnego, trwanie w autarkicznym pódystansie... – Wątroba rzeczywiście zaczął „swoje gadki”. A Chwiejczak, jak zwykle, po kilku zdaniach tego typu wykładu dostał „kamiennej twarzy”. Słyszał, ale nie słuchał. Mowa przekształcała się w uszach posterunkowego w jednolity mur, który go zamyka w okrążeniu, a on nie umie na to nic poradzić. Mówca tracił tym samym szansę na jakąkolwiek informację zwrotną. Nie wiedział, czy cokolwiek dociera do słuchacza, czy może przemawia już do rzeźby.

– Nie rźnijcie głupa, Chwiejczak. Ja tu zaczynam z wysokiego C, a wy uciekacie w życie wewnętrzne – zdenerwował się w końcu Wątroba, widząc, że bardziej usypia kolegę, niż inspiruje.

– Bo, bo... – jękał się posterunkowy, przyłapany na braku koncentracji – bo ja naprawdę nic nie kapuję.

Wątroba zamyslił się. Pokiwał głową. Pomyślał, że z Chwiejczakiem zawsze trzeba było jasno i zwięźle.

– Boję się starości, zapomnienia. Nie chcę być wiecznie wspominającym wojnę zrzęda. Wolę robić cokolwiek, byle nie to, co teraz – wyjaśnił krótko i jasno.

Obaj pokiwali głową. Taki punkt widzenia Chwiejczak pojmował doskonale. Sam tęsknił za robotą policyjną, choćby i zakończoną kilometrowym protokołem. Zapanowała atmosfera wzajemnego zrozumienia. Tykał zegar z kukułką, gotowa do pracy czekała maszyna do pisania, sąsiad za oknem trzepał chodnik, pałac jednocześnie papierosa. Po ostrym starciu śledztwa, które chwilowo skupiło się na przemeblowaniu pokoju, obu emerytów opanowała senność. Wątroba, po rzuceniu kamienia troski ze swojej duszy, przysnęła z otwartymi ustami w bujanym fotelu, który ustawili dla wspomagania rozmyślań dedukcyjnych. Chwiejczak pił herbatę małymi łykami, siedząc na tapczanie, i liczył zacieki na tapecie. Zastanawiał się, czy dziś zgadłby hasło telekryżówki. Jednak i jemu po chwili zacieki zaczęły się łączyć, płynąć w różnych kierunkach i wić węzłowymi ruchami. Zasypiał na siedząco.

Śledztwo nabierało tempa.

– Wstawać, kurna, wstawać, aleśmy czasu zmitrężyli! Zaczynamy, zaczynamy! – Wątroba robił alarm chyba na całe miasto, a przynajmniej na kilka okolicznych ulic.

– Co, że jak, że co... – Chwiejczak przecierał oczy, wstając chwiejnie z sofki w kącie. – Wojna?

– Zaspaliśmy, zamiast działać. Śpimy, wstyd, brak gotowości! – gorączkował się Wątroba, miotając się po pokoju i próbując zainicjować jakiegokolwiek przyspieszenie zaplanowanych działań.

Chwiejczak, ziewając, usiadł za stołem, popatrzył na zegarek.

– Czwarta w nocy. Co mamy zaczynać? Gdzie ja jestem? – mamrotał i powoli dochodził do stanu, kiedy osoby i miejsca znajdowały właściwe usytuowanie w jego głowie.

Chwilę potrwało, zanim zbliżyli się do siebie nastrojami. Wątroba spuścił nieco z tonu, schodząc z wyżyn gotowości i zaangażowania, a Chwiejczak wygrzebał się z dołka lenistwa i zgnuśnienia. Ale i tak dzieliły ich jeszcze lata świetlne.

Około piątej rano sytuacja się unormowała; Wątroba już siedział, a Chwiejczak trzymał głowę w miarę prosto, bez podpierania jej ręką. Na stole dymiły dwa kubki z kawą i świecił bielą kartek czysty zeszyt w kratkę o formacie A-4.

– Śledztwo poprowadzimy według najlepszy wzorców raportowania. Na początku opis sytuacji, podejrzenia oraz dotychczasowe ustalenia. Wszystko jasno, przejrzyste, z datami, ale bez zbędnej biurokracji. Na szczęście jesteśmy już poza tą koszmarną policyjną biurokacją. Potem plan działań, burze mózgów i inne heurystyczne metody wspomagania myślenia, mapa powiązań personalnych i niekończąca się indukcja z dedukcją, nawet podczas czynności fizjologicznych. Zrozumiano?! Zaczynamy od opisu sytuacji. Dziś jest dwudziesty, piąta piętnaście, nie, już szesnaście. Proszę o pełen raport sytuacji z dnia, tego, no... Kiedy to

było? – Komisarz rozpoczął odprawę niczym sierżant musztrę dla rekrutów w ich pierwszym dniu w armii, nie zamierzając pobłażać żadnej fuszercie w opisie dochodzenia.

– Dwadzieścia trzy lata temu czy coś takiego – udzielił informacji Chwiejczak, nieco przygnieciony tym ogromem wymagań.

– Konkretnie, Chwiejczak, konkretnie, żadne „coś takiego” albo „jakoś tak”, bo się pogubimy – Wątroba nie tolerował nieścisłości ani niepotwierdzonych przypuszczeń w pracy i tego samego żądał od współpracowników.

Chwiejczak już wcześniej zatęsknił za swoimi głodnymi gołąbkami, telekryżówką, a przede wszystkim brakiem wrzasków w otoczeniu. Obecnie to uczucie się podwoiło, a nawet potroiło. Zapomniał już, jak upierdliwy potrafi być komisarz. Innymi słowy, usychał z tęsknoty za swoim dotychczasowym emeryckim życiem. Przypomniał sobie również, że powinien iść do domu po tabletki na nadciśnienie, które łykał co rano.

Zaczęli omawiać sprawę, o której myślał Chwiejczak, przywoływać nazwiska, fakty, szczegóły. Okazało się, że były posterunkowy posiada w domu kopie wszystkich dokumentów dotyczących badanego zdarzenia. Poszedł po nie i już za kilkadziesiąt minut siedzieli razem nad dokumentami.

– Wy to niezłe ziółko jesteście! Wszyscy żeśmy was mieli za krystalicznie uczciwego służbę, Chwiejczak. A tu, proszę! Regulamin złamany chyba w ośmiu punktach. Wie ktoś o tym? – Wątroba pokiwał głową z uznaniem. Nadzieja na powrót do formy sprzed lat nabierała rumieńców.

– Tylko Mizera. Nie sypnie, to dobry kumpel. Zresztą też już wkrótce na emeryturę idzie, więc nic mu z ujawnienia nie przyjdzie – wyjaśnił Chwiejczak.

– Mizera, Mizera... zaraz... A, to ten od tańca w walce krakowiakiem? Niezły świr! – Wątroba przypomniał sobie płąsy na podwórzu i złożoną przez posterunkowego beczelną propozycję

kręcenia się w tym tłumie przebierańców jako oś w formacji zwanej mikserem.

- Bardzo zdolny człowiek – obruszył się posterunkowy. – Wie pan, ilu funkcjonariuszy wygrało walkę z cholesterolem dzięki kursom tańca w walce? A on jest obecnie komendantem na powiatowej w Złotogródku.

- Dobrze, dobrze, cudowny gość. Mam nadzieję, że nie będziecie mnie już przekonywać do hołubców w serdakach – zakpił Wątroba.

Chwiejczak mruknął pod nosem kilka niepochlebnych słów o stosunku niektórych do zdrowia i tężyzny fizycznej, ale nie kontynuował tematu.

Od godziny wertowali dokumenty. Śmiechu i wspomnień było co niemiara. A to zdjęcie lekarza badającego rozciągnięte na dywanie zwłoki i jego śmieszna, niemodna dziś fryzura. A to czyjś ręczny dopisek do maszynopisu zeznań podejrzanego Zygmunta Brony: „przyciśnięta broda otwiera usta”, a to rozlana kawa na dacie i godzinie odnalezienia zwłok i odręczna notatka: „chyba około 23.20 czy jakoś tak”.

- Mam nadzieję, że żaden archeolog tego nie odkopie za tysiąc lat, bo będzie wstyd. Kto to prowadził? A, ten, Wrózkowski, nasz Wróżka. Jak spał, to umiał wyśnić sprawcę, ale na jawie do roboty za nic się nie dało go zagonić – mruknął Wątroba, patrząc na podpis. Wróżka był znanym w całej powiatowej policji bumelantem i patentowanym leniem, a umiejętność ujrzenia w wizjach sprawców przestępstw stanowiła chyba jego jedyny atut w walce z przestępczością, zresztą bardzo niechętnie wykorzystywany. – Też jest już na emeryturze. Możemy go wciągnąć w naszą przygodę.

Obaj panowie roześmiali się, traktując tę propozycję jak dobry żart.

Po etapie wspomnień przyszła pora na podsumowanie sytuacji. Spod długopisu Wątroby aż iskry szły. Jako wizualną ilustrację postępu sprawy Wątroba narysował w zeszytcie operacyjnym budynek, którego ściany, dach i okna symbolizowały znane fakty, zeznania świadków,

zdjęcia, spostrzeżenia oraz luźne przemyślenia prowadzących sprawę. Na razie wszystko się chwiało, dziury ziały wszędzie, w dachu brakowało dachówek.

– Będę to uzupełniać w miarę przyływu informacji. Prowadzimy to śledztwo, jakbyśmy budowali dom, Chwiejczak! Co prawda tylko na papierze, ale chcę, żeby był prosty oraz solidny. Już za kilka dni nie chcę tu widzieć żadnej niejasności! – Komisarz wygłaszał swoje credo z entuzjazmem.

Chwiejczak spojrział uważnie na szefa, stwierdzając w duchu, że może ich akcja nie miała większego sensu i nikomu nic z niej nie przyjdzie, ale jedno nie ulegało wątpliwości: dzięki niej chłop wyglądał jak nowo narodzony. Chyba warto było stracić telekryżówkę i spocic przy przemeblowywaniu pokoju operacyjnego.

Po kilku godzinach pracy wszystko sobie poskładali w głowach; ułożenie ciała zamordowanego Karbowskiego, przyczynę zgonu, dokumenty znalezione w pokoju denata, wszystkie dziwaczne przygody inspektora Wróźki, zeznania świadków i podejrzanego Brony.

– Ten Brona to jakaś mętna postać. Kiepsko się do niego zabraliśmy, a wydaje się, że mógł nam jeszcze niejedno powiedzieć – stwierdził Wątroba.

– Też tak sądzę – dopowiedział Chwiejczak i rzucił z szelmowskim uśmiechem na stół jeszcze jedną teczkę, z innym numerem i sygnaturą.

– A co to? – Wątroba zaczął wczytywać się w opis sprawy. – Poszukiwania sprawcy pobicia włóczęgi. Zaraz, zaraz, już pamiętam. To ten ptaszek, co nam po parku uciekał, a zawsze łapaliśmy jakiegoś przerażonego pedała.

– Ekshibicjonistę – poprawił go Chwiejczak.

– Tak, tak, pamiętam. Nieźle się facet przeraził. Pół komendy go goniło, a on tylko sobie zwiedzał park wieczorami. Po co nam te dokumenty? – Wątroba przywołał wspomnienie człowieka, który po złapaniu miał powiedzieć wyraz z literką „r”, a potem uciekał przed wojownikami atakującymi go poprzez taniec.

– Byli świadkowie, którzy widzieli tego poszukiwanego, chyba jego. Z innym człowiekiem. Po zwolnieniu Brony z aresztu coś mnie tknęło i poszedłem z jego zdjęciem do tego kolesia, który ich widział. No i jemu się zdawało, że ten, co tamtego prowadził, z którym on później rozmawiał, a którego chyba poszukiwaliśmy, to jakby Brona – tłumaczył Chwiejczak logiczne zależności i meandry swojego postępowania sprzed lat.

Wątroba na chwilę zamknął oczy i mamrotał pod nosem, ustalając koligacje „Ten, tego, co go widział, był z tamtym, co ten, tego, z innym, który...”.

– Kapuję! No i czego żeście nie alarmowali?! – wzburzył się, gdy tylko zrozumiał, na jaki trop wpadł jego podkomendny.

– Bo, bo... – jękał się ów podkomendny, a lico czerwieniało mu coraz bardziej.

– Bo co? – pogonił go komisarz.

– Bo Wróżka mi powiedział, że jeżeli jeszcze raz będzie musiał iść przeze mnie do Brony i włązić do jakiejś piwnicy z włazem, gdzie jakieś płaszcze śpiewają, to tak mi w papierach namiesza, że do końca życia będę samochody w myjni komendy pucował albo polerował sztuce na stołówce, a nie w kryminalnej robił. To dałem spokój. – Chwiejczak przyznał się po wielu latach do jawnego aktu mobbingu w miejscu pracy.

Wątroba pokiwał głową i wygiął usta na znak zrozumienia.

– Tak, niezły był z niego trzęsidupa. No dobra. Daruję sobie dalsze komentarze. Przynajmniej teraz mamy zajęcie na stare lata. Bierzemy się za tę teczkę. – Postanowił nie powracać do niesubordynacji podwładnych sprzed lat. – Niezły w niej galimatias. Chyba musiałem być bardzo roztargniony. A ten list, co go przyniósł klaun. Taki żart? – Wątroba wyciągnął świstek papieru, który już oglądał wiele lat temu.

– Możliwe, ale to znaczy, że wiedzieli już o naszych poszukiwaniach tego człowieka z parku... – domyślał się Chwiejczak.

- I wiedzieli, że wkrótce zyskamy powód, by szukać właściwych ludzi odpowiedzialnych za śmierć Karbowskiego – dodał Wątroba. – Ale po co chcieli, żebyśmy gonili za tym dziwakiem z parku?

Wątroba i Chwiejczak popatrzyli na siebie.

- Fałszywy trop – stwierdzili jednocześnie.

- No tak. Ja gonię po parku, szukam prześladowców meneli, tułę ekshibicjonistów, gra jazz, Stalowy z Pajakiem wałę się po mordach w krzakach, a gdzieś indziej dzieje się coś ważnego. Chyba o to chodziło.

- Czyli nie warto zajmować się tym parkowym sprawcą pobicia? – zagadnął Chwiejczak.

- Tego nie powiedziałem – zdecydowanym głosem odparł Wątroba.

Po chwili się pożegnali, bo posterunkowy kategorycznie stwierdził, że musi iść się zdrzemnąć i zażyć kolejne tabletki.

Stalowy Kazek i Pajak siedzieli w jesienny wieczór pod wiatą przystanku. Raz na pół godziny podjeżdżał autobus, ktoś wsiadał, ktoś wysiadał, obchodził brudnawych typków dużym kołem i znikał w październikowej przestrzeni.

- Piżdzi jak za Nowosybirskiem – ujął stan rzeczy Pajak.

- Mhm – zgodził się Stalowy.

- Dupiata pogoda – podtrzymywał konwersację Pajak.

- Mhm – grzecznie potakiwał Kazek.

Szary październik, w odróżnieniu od czerwonego, odbiera ludziom resztki humoru i nadziei. Powoli pierzchają do niedawna całkiem niezłe wypasione myśli, że jakoś to będzie, a dotychczasowe zło wkrótce minie. Wszelkie ponure żyjątko w głowie zaczynają drążyć kanały, tunele i niepostrzeżenie zjadają cię żywcem. Świat buduje mury, korporacje się bogacą, zostawiając motłochowi jakieś nędzne ochłapy, żeby mógł egzystować jako tania siła robocza. Wszystko lekko błędnie, staje się niepewne i mocno jesiennie. I nie zaradzi temu żaden, choćby

najlepszy program socjalny, bo pewne rzeczy są wprogramowane w życie. Obok oddychania, głodu, prawa własności pojawia się bezinteresowna nienawiść, strach przed życiem i masowe samounicestwienie. Taki jest szary październik, takie jest życie. Szare. Szczególnie wtedy, kiedy człowiek robi wszystko, żeby je takim uczynić.

Stalowy już jakiś czasu temu przestał być gwiazdą ławeczki w parku oraz na osiedlu, stając się podstarzałym, bardzo zniszczonym przez życie człowiekiem. A nawet bardziej niż bardzo. Lata spożywania alkoholu i niezdrowego trybu życia wyorały swój niezmywalny znak na niebrzydkiej onegdaj twarzy. Pająk wyglądał natomiast, jakby lata nędznej wegetacji nie odcisnęły na nim żadnego piętna. Spokojnie mógłby wstać, powiedzieć Stalowemu „do widzenia” i udać się do roboty w fabryce, na przykład jako specjalista obróbki skrawaniem. Tak przynajmniej wyglądał, bo w rzeczywistości nie miał zamiaru nigdzie wstawać ani tym bardziej pracować. Taka wiata, taki szary październik, taki brak bodźców to było wszystko, co Pająk znał. I lubił.

Za falistej ściany bocznej wiaty wysunął się jakiś kształt.

– Dokumenty poproszę, he, he! – zakrzyknął wesołym tonem.

– Panie władzo, nie nosimy dokumentów, bo nam je element społeczny ciągle podkrada i trzeba wciąż wyrabiać nowe. Obowiązku posiadania przy sobie dowodu również nie ma. A i zdjęcie jakieś takie niepodobne, więc identyfikacja jest niezwykle utrudniona. – To jedno się nie zmieniło. Stalowy uwielbiał gadać i nie przepuszczał żadnej okazji, żeby pofolgować swoim krasomówczym zapędom.

Pająk jednak poznał przybysza i trącił Stalowego łokciem.

– Komisarza nie poznajesz? – zbeształ kolegę.

Stalowy uniósł głowę, wpatrując się z zaciekawieniem w szarą postać przed nimi.

– Aaa, komisarz Wątroba, lata całe, lata! Schudło się! Podstarzało! – Wyraźnie się ucieszył na widok dawno niewidzianego policjanta, a znali się prawie od dziecka.

– Dobra, dobra, spójrz w lustro, Stalowy, a potem komentuj sobie innych. – Wątroba był przygotowany na docinki, więc z łatwością odparł atak.

– Na szczęście nie posiadam lustra, właściwie nic nie posiadam, ale to już raczej mniejsze szczęście. Zapraszamy, zapraszamy. – Panowie się nieco posunęli, tworząc kilkadziesiąt centymetrów wolnego miejsca obok siebie.

– Zbytek łaski, pod wiatą może siedzieć chyba każdy. – Wątroba nie zamierzał uznać ich władzy nad tym kawałkiem świata.

– Nie pod tą, to nasza wiata. Niektórzy nam tu już „dzień dobry” mówią – wyjaśnił Stalowy, jak się sprawy mają.

Wątroba uznał część oficjalną powitania po latach za zakończoną i przystąpił do rzeczy, z którą tu przywędrował.

– Starą sprawę mam do was...

Wątroba zaczął wyjaśniać, o co chodzi i kogo szuka. Stalowy i Pająk w ogóle nie kojarzyli faktów sprzed lat, informacje pomocnicze typu „wtedy, jak tak chlaliście” albo „jak ten wasz Walduś z różowym pieskiem chodził” nic im nie mówiły, bo chlali całe życie, a podstarzały Walduś również dziś z pudelkiem na różowej smyczy chadzał. Ale w pewnej chwili Stalowy huknął tryumfalnie:

– Szefie, a może to ten stuknięty, który szuka złych mocy, a one przed nim spierdalają, bo nie jest im już potrzebny? Co nie, Pająk? To może być ten! – W zniszczonej alkoholem mózgowicy coś się jednak z czymś kojarzyło i wbrew zwyczajom półświatka, że z policją się nie gada, można było pomóc staremu kumpłowi.

Pająk potwierdził lekkim skinieniem głowy, że to może być poszukiwany.

– A gdzie go znajdę? – drążył Wątroba.

– Idź pan na skwer przy Poniatowskiego, tam zawsze grają w karty na kartonach takie obszarpane dziady, oni wiedzą – wyjaśnił Stalowy Kazek.

- Obszarpane dziady? Chętnie poznam. Dzięki panowie - pożegnał się Wątroba.

- Trzymaj się, szefie. A na flachę, by się szef nie dorzucił? Październik-piździewnik, trza by się rozgrzać. - Stalowy starożytnym zwyczajem nie odpuścił żadnej okazji, żeby poprosić otoczenie o wsparcie jego egzystencjalnego trudu. Akurat w tym przypadku miał nawet jakieś podstawy. W końcu udzielili komisarzowi informacji.

Wątroba dorzucił się ze swojej emerytury. Oddalając się od tej prywatnej wiaty, zachodził w głowę, co takiego pozytywnego daje wykształcenie oraz ciężka praca, skoro ludzie bez żadnej szkoły, którzy całe życie nie skalali się konkretnym zajęciem, mają się całkiem niezgorzej. Nie przychodziło mu do głowy żadne sensowne wyjaśnienie tego fenomenu.

Wątroba łatwo trafił na Poniatowskiego oraz na tamtejszy skwer. Obszarpane dziady niewiele różniły się wyglądem od Stalowego Kazka, co tylko utwierdziło emerytowanego komisarza w przekonaniu, że grunt to wysoka samoocena. Obszarpane dziady przypomniały Kazka także w chęci uzupełnienia poziomu alkoholu we krwi. Dzięki temu Wątroba po trzech napojach „Perła Mazur” zdobył wiele cennych informacji. Na przykład dowiedział się, że wszyscy politycy, bez względu na opcję, to chuje, bo sprzedali Polskę zachodnim i wschodnim kapitalistom za parę groszy. Dowiedział się również, że obecna premier to chuj, prezydent miasta to chuj i dzielnicowy to także chuj. Po takim szkoleniu ideologicznym Wątroba miał już ustabilizowany pogląd na świat. Na szczęście pod koniec biesiady z miłymi panami uzyskał wreszcie informację, że nienormalny i mamroczący bez końca pod nosem gość buszuje codziennie po parkach miasta i szuka jaszczura, który jest jakimś ważnym medium, diabłem czy chuj wie czym. I to medium ma go wyprowadzić z obecnego chujowego życia ku życiu lepszemu.

Nieco oszołomiony winem oraz nadmiarem słów na „ch”, Wątroba wrócił do centrum operacyjnego, czyli do siebie, wprost na bujak dedukcyjny, i zaczął rozmyślać. Czekał również na Chwiejczaka, swoją mużę, jak go nazwał w myślach, zamroczonych solidną porcją „Perły Mazur”.

– Kaliope, Klio, Erato, coś tam, coś tam i Chwiejczak – mamrotał, wymieniając kolejno muzy. Aż w końcu, co się stawało regułą podczas tego śledztwa, bujak wygrał i wciągnął go w ramiona Morfeusza. W objęcia snu inspirowanego dzisiejszymi wydarzeniami i opowieściami ludzi, których spotkał.

W pokoju o złotym odcieniu, przy biurku, w pozycji „zastanawiam się nad życiem” siedzi ktoś, człowiek, nie-człowiek. Mówi do mnie.

– Co czujesz? Jaki teraz jesteś?

– Przede mną wznosi się jak co dzień ściana, szarozielona mokra ściana, mój przyjaciel, mój wróg. To ona wyznacza granice, to ona obiecuje coś lepszego, jeżeli trafię tam, na drugą stronę. Uplywający czas, pory zimna, pory ciepła nie mają dla mnie żadnego znaczenia. Właściwie nic nie ma dla mnie znaczenia, rzeczywistość to sitko. Cokolwiek wlewasz, przecieka, nic nie zostaje...

– Nic? – zainteresował się człowiek.

– Nie przerywaj – warknął ten drugi. – Uświadomiłem to sobie po wielu latach nędznej wegetacji bycia kimś, kim nie byłem. Wydarzenia sprzed lat, wielokrotnie przemyślane, dały efekt: nie pójdę już na żadne kompromisy, na żadne czary-mary, fantasmagorie. Zostałem przeklęty, i niebo, i piekło postanowiły stanąć do mnie tyłem, nic nie dawać, nic nie brać. Bo i po co? Czy ktoś może czegoś chcieć od starego przedmiotu? Nie. Od lat szukam tego tropu, tego jedyne go śladu nadziei, że zostanę przywrócony do życia, zapali się we mnie ogień. Przejdę przez ścianę i zapanuje...

– Co?

- Mówiłem, nie przerywaj. No właśnie. Co? Nie wiem, w moim stanie to nieistotne, nadzieją się żywię, nadzieją umieram. Brodzę codziennie wśród tych obrzydliwych tłumów, przekupniów własnej godności, ciała i życia. Brzydę się nimi, choć to oni mówią, że jestem brudny. Tobą też się brzydę. Swojej smrodliwości nie dostrzegacie, nie czujecie, bo wszyscy jesteście tacy sami. Każdy dzień zaczynam i kończę modlitwą do mojego szarego boga, żebym nie musiał już was więcej oglądać, ale bóg mnie nie słucha, nikt mnie nie słucha. Więc zgodnie z naukami każdego kościoła już mnie nie ma, ale... ja jestem, jestem marny, nieważny, ale jestem.

- Jakim jesteś?

- Codziennie mnie atakuje ten nienawistny tłum, nienawistny świat z tą swoją niby dobrocią, opieką, pytaniami. Ty mnie atakujesz. A ja uciekam i nienawidzę, mam tylko jeden cel: znaleźć ten dawny trop, jedną jedyną nitkę z przeszłości do życia. Wciąż i wciąż się oglądam, bo goni mnie szary cień, ciągle goni mnie ten szary cień...

- Skąd to się bierze, jak sądzisz?

- Kiedy rozmawiam z takimi jak ty, zaczynam rozumieć, skąd to się bierze. I wiem, jak temu zaradzić, ty podła, wstrętne kreaturo. Ty...

Pokój dalej tonie w złocistej, lekko już zbrązowiełej poświacie, szary paździenik pozbawia ludzkich uczuć, pozbawia życia.

- Zostaw mnie! - krzyczy ktoś, próbując się wyrwać z tych rąk. Przerwać to, co on robi.

- Moimi rękami świat będzie zbawiony, oczyszczony...

- Komisarzu, proszę się uspokoić!

- Moimi rękami...

Zapadła cisza. Morderstwo lubi ciszę i brak świadków.

Obok bujaka stoi Chwiejczak, minę ma niewyraźną. Przestraszona. Wątroba dochodzi powoli do siebie.

- Chwiejczak. Co tu się działo? - Rozgląda się. Powoli dociera do niego, że to tylko wizja senna.

- Nie wiem, chyba chciał pan kogoś zabić.

- Tak, istotnie, to było dość, mhm... nowe doświadczenie. Chyba śniłem, byłem jakby kimś innym. Tym naszym poszukiwanym z parku? Tak sądzę. Już rozumiem, czemu Wróżka tak bał się tych swoich widzeń. Coś wiesz, ale nie wiesz, czy to prawda, a wspomnienia zostają na zawsze. Mamy coś nowego? - Wątroba chciał się koniecznie uwolnić z koszmaru sennego.

- Tak. Znalazłem Brodę, znaczy Bronę. Jest w domu starców - zameldował wyniki pracy z ostatnich kilku godzin Chwiejczak.

- Dobrze. Bardzo dobrze - pochwalił go Wątroba.

- Szukamy dalej tego z parku czy bierzemy się za Bronę?

- Nie, tego z parku bym sobie odpuścił. Chyba nie mam ochoty na kontakt z takim typem, nawet dla dobra sprawy. - Wątroba wiedział już, że to mogłoby się dla niego źle skończyć.

- A więc do Brony - upewnił się posterunkowy.

- Do broni, Chwiejczak, do broni! - podgrzewało bojową atmosferę medium z bujaka w pokoju operacyjnym.

- No, panie Brona! Namysliłeś się już pan, którą pan wybierasz? - Człowiek z szerokim, ale dość sztucznym uśmiechem, czekał na decyzję starca.

- Żadną, jeszcze sobie trochę pożyję. - Staruszek najwyraźniej chciał się go pozbyć.

- Błąd, błąd i jeszcze raz błąd! - zakrzyknął stojący naprzeciwko Brony mężczyzna. Pomimo zawodowej uprzejmości czuć było jego zniecierpliwienie przeciągającymi się negocjacjami. - To jak polisa, jak przygotowanie się na coś oczywistego. Za niewielkie doprawdy pieniądze, wręcz za grosze!

Człowiek w szarej marynarce zgasił swój przymilny uśmiesek i wyrwał staruszkowi katalog firmowy z luksusowymi trumnami. Po

głowie krążyła natrętna myśl: „Stary dziadyga, tyle czasu i energii straciłem, a ten się upiera i upiera”.

– Najlepsze trumny w mieście, a pan wybrzydzasz. To jest coś, czego pan na pewno potrzebuje, tylko jeszcze pan o tym nie wie! Na wszelki wypadek zostawiam wizytówkę, miłego dnia – pożegnał się sucho i wyszedł sprężystym krokiem.

Po chwili do Brony podszedł czarnoskóry sanitariusz, jego czekoladowa twarz wyglądała bardzo apetycznie, wręcz smakowicie, na tle białego stroju. Sanitariusz ciągle się uśmiechał, a może odnosiło się takie wrażenie, bo każde otwarcie ust uwidaczniało piękne zęby.

– No i jak, kupuje pan? – zapytał z zaciekawieniem połączonym z nadzieją w głosie.

– Nie – padła szybka odpowiedź.

– A może warto? Bo wie pan, różnie bywa, cyk, cyk, wylew albo zawalik, a wtedy... – czarnoskóry sanitariusz nie ustawał w agitacji.

– Co: wtedy? – warknął Brona.

– A wtedy będzie jak znalazł, piękna trumienka w gotowości, wypolerowana, odkurzona... – tłumaczył dalej uśmiechnięty sanitariusz.

– Odkurzona? – zdziwił się Brona.

– Tak, oni mają tam taki pakiet „Always ready”. A ja... – ciągnął miły pracownik.

– Co pan?

– Zobowiązuję się pana pięknie wystroić, lakiierki wypolerować tak, że...

– Idź pan w cholere, umieralnię tu robicie dla pieniędzy! Sam sobie dam radę! Z trumną też, ZUS mam! – Widać było, jak bardzo denerwował go nachalny atak marketingu z zakresu usług pogrzebowych.

Brona wyrwał się sanitariuszowi i dość szybko jak na starego człowieka poczłapał do swojego pokoju.

- I cyk, cyk, panie Brona, będzie miło, fajnie, i najlepszy wieniec dla pana - przedrzeźniał swoich rozmówców. Wściekły wszedł do pokoju i zatrzaskał za sobą drzwi.

- Dzień dobry, Brona. - Starzec stanął jak wryty, widząc, że ma gościa.

Na fotelu siedział jakiś jegomość. Jego twarz oceniało rondo kapelusza, całą postać spowijał długi szary prochowiec.

- Dzień dobry. Kim pan jesteś, kto tu pana wpuścił? - zakrzyknął Brona.

Twarcz gościa wydawała się znajoma, przywoływała niezbyt przyjemne wspomnienie. Przesłuchanie, okrzyki, grożenie. Poznał go po chwili. Pomimo swoich lat pamięć miał cały czas dobrą.

- Pan policjant? Niemile spotkanie po latach... O co chodzi?

- O prawdę, panie Brona, o prawdę. Nad grobem już pan stoisz, a kłamiesz jak z nut - odparł ponuro przybysz.

- Ja? - zdziwił się staruszek.

- Wtedy, ponad dwadzieścia lat temu, czemu kłamałeś? Czemu nie powiedziałeś, kto to zrobił? - ciągnął komisarz.

- Nic nie wiem. Nie kłamałem i nie kłamię! - wrzasnął Brona.

- Tak? To czemu się przyznałeś, a później rżnąłeś głupa przed sędzią? - zaatakował go Wątroba.

- W szoku byłem, nie pójde przeciw siedzieć za nic. Ja go tylko trochę znałem, a wy mnie cały czas o coś podejrzewaliście, wrabialiście. A ja nic nie wiedziałem i nie wiem!

- Brona, pomyśl o sobie, o swojej duszy, o życiu w kłamstwie. Przed tobą śmierć i...

Tego było za wiele. Znowu ktoś mówił o śmierci. Może jeszcze wspomni o trumnie? Brona aż się cały trząsł ze zdenerwowania, ciężko oddychał. Miał dosyć.

- Odejdź, odpieprz się ode mnie! Co ja ci zrobiłem?! Sanitariusz! - wrzasnął, ale na tyle słabo, że apetyczny czarnoskóry pomagier

musiałby stać za drzwiami z uchem przy zamku, żeby cokolwiek usłyszeć. A nie stał.

– Sanitariusz! – Brona cały czas dyszała swe wezwanie. – Wyrzucić go! Sanitariusz!

Człapał chwiejnie w stronę łóżka, Wątroba patrzył na niego skonfundowany, nie spodziewał się takich emocji. Chyba jednak trafił w czułe miejsce. Brona ciężko opadł na posłanie, po czym wyciągnął drżącą rękę i nacisnął duży przycisk wmontowany w bok łóżka. Dzwonek rozbrzmiał na całym korytarzu. Wątroba zaklął i zaczął gorączkowo szukać drogi ucieczki. Przeklinał swoją głupotę. Powinien przewidzieć, że alarm obsługi to standard w tego typu placówkach. W końcu wyszedł na balkon i upewniwszy się, że na trawniku nie ma przypadkowych gapiów, zaczął schodzić po piorunochronie. Słyszał za sobą trzask otwieranych drzwi i ożywione głosy, coś jakby „no i nie mówiłem, trzeba było podpisać, teraz będzie drożej”. W każdym razie nikt go nie gonił i już po chwili oddalał się nieśpiesznym krokiem od tego przybytku.

„Musimy go jakoś zmusić do gadania” – postanowił w duchu, mijając drzemiącego przy bramie portiera.

– Nie śpij, bo cię okradną! – wrzasnął przez okienko na odchodnym.

– A tak, tak – wymamrotał rozespany stróż, nie wiedząc, gdzie się znajduje i czego od niego chcą.

Za bramą spotkał się z Chwiejczakiem, który miał zbierać informacje poza budynkiem, krążąc wśród spacerujących staruszków i obsługi obiektu.

– Musiałem uciekać. Nie skończyłem z nim gadać, nawet nie zacząłem tak na serio. Facet spał się maksymalnie, a później wezwał obsługę. Pełna kłapa. – raportował komisarz. – Macie coś?

– Nic konkretnego – odpowiedział Chwiejczak. – Wypytałem kilku o tego Brodę, znaczy Bronę. Nie lubią go tu za bardzo, opryskliwy, niezyczliwy. Ale w ogóle to miejsce jest nieco odrażające, nigdy bym tu nie chciał trafić.

– Dlaczego? – zdziwił się komisarz. – Zwykły dom starców

– Może i tak, ale dziadki opowiadały, że szwagier dyrektora prowadzi dom pogrzebowy i jego akwizytorzy mają przez całą dobę wstęp wolny do ośrodka. Pensjonariusze są ciągle atakowani, nagabywani, żeby wykupili sobie pełny sprzęt i ceremonię za życia.

– Pełny sprzęt? – Wątroba znowu się zdziwił.

– No tak, trumny, ubranie, wybór orkiestry, repertuaru – tłumaczył posterunkowy.

– Nieźle, drogo mają? – zainteresował się Wątroba, jakby nagle sobie przypomniał, że nie jest jeszcze przygotowany na własną śmierć.

– Tanio nie jest. Dodatkowo dziadki opowiedziały mi, że sanitariusze trzymają sztamę z trumniarzami. I jak ktoś wykupi pakiet, to sanitariusz dostaje swoją dolę za przygotowanie delikwenta.

– Przygotowanie? – Zdziwieniom dziś nie było końca.

– To takie niedopowiedzenie. O co chodzi dokładnie, nie wiem, ale jak przechodził Brona z tym czarnym, to się nabijali, że go urabia. I stawiali zakłady, kiedy Brona wybierze sobie pudło.

– Brr, ohyda. Nie mają lepszych rozrywek? Ale zaraz, zaraz, kiedy wyskakiwałem z pokoju, usłyszałem, jak ktoś mówił do Brony, że trzeba się było zdecydować wcześniej, bo teraz będzie drożej. Chyba macie racje. Okropne miejsce – przyznał rację podwładnemu.

Wątroba zamilkł i zapatrzył się długo w chodnikowe płyty. Po minie było znać, że do głowy wpadł mu jakiś pomysł.

– Chyba wiem, jak go trochę urobić. Dobra, Chwiejczak jesteście bardzo pożyteczni, macie świetny kontakt z tymi starszkami – pochwalił dawnego kolegę z pracy.

Chwiejczak już chciał dopowiedzieć, że to raczej ich koledzy i rówieśnicy, ale dał spokój. Im mniej słów, tym więcej spokoju. A komisarz rzeczywiście w te kilkadziesiąt godzin jakby odmłodził.

Młodości wzlatuj nad poziomy albo przynajmniej stój, gdy inni spadają.

Noc była wietrzna, niespokojna. To taka noc, kiedy wilk stoi na skale i wyje, a księżyc w tle raz po raz znika, połykany przez płynące po niebie chmury. A potem się pojawia, oświetlając okolicę sinym światłem – szary tłum pni drzew, monumentalną skałę albo zgarbioną postać biegnącego człowieka. Człowieka, który chce zabić. Ta noc była idealna na zabójstwo lub na jakikolwiek inny zły uczynek.

– Ta noc jest dla nas idealna – szepnęła jedna postać do drugiej. – W taką noc kostucha robi sobie wycieczki na lewo i prawo.

Druga osoba nic nie odpowiedziała; przytrzymała coś ręką na głowie i walczyła z trzepoczącym na wietrze strojem. Obie postacie brnęły przez trawnik do budynku, w którym mieszkał Brona. Strażnik znowu spał jak zabity; pewnie wyszedł z założenia, że w taką pogodę nikt normalny z domu nosa nie wychyla, a nienormalnego i tak by nie zatrzymał, więc zasnął z czystym sumieniem.

Lekko wypukła pochyłość trawnika zwieńczona szarą sylwetą domu była świadkiem niejednego dziwactwa, ale takiej parki jeszcze nie widziała. Wątroba i Chwiejczak podeszli pod balkon, z którego nie dalej jak kilka godzin temu komisarz schodził w pośpiechu. Wątroba poprawił dziwaczne odzienie, które opinało jego ciało; Chwiejczak nacisnął mocniej na uszy nietypowe nakrycie głowy. Weszli na balkon, najpierw Wątroba, korzystając z ramion Chwiejczaka jak ze schodów, potem Chwiejczak, korzystając z pomocy Bożej i ponaglących syknień kompana.

– Łom. – Wątroba wyciągnął rękę.

Chwiejczak podał narzędzie, które jego kompan zmierzał wetknąć w łączenie drzwi z framugą, ale drzwi uchyliły się same; były otwarte.

– Tym lepiej – syknął włamywacz.

Brona spał na wznak. Drobną postacią starca ledwie rysowała się pod kołdrą. Mizerna, pomarszczona twarz, wąskie usta, wątpła pierś unoszona spokojnym, powolnym oddechem. Wątroba podszedł z łomem do dzwonka. Lekko podważył przysrubowaną do łóżka

obudowę, która poddała się z cichym trzaskiem. Komisarz chwycił ją i urwał wszelkie kable. Mogli teraz spokojnie pogadać, bez niespodziewanych alarmów. Obudzony hałasem Brona otworzył oczy. Chwiejczak czym prędzej zapalił lampę na baterię i usunął się na balkon. Trupie światelko padło od strony podłogi na postać Wątroby, która była... szkieletem. Na ciało, dość jeszcze obfite, choć dalekie od dawnej świetności, komisarz naciągnął strój przebierańca imitujący kościotrupa, światło dawało niesamowity fluorescencyjny efekt, twarz oblekała maska-czaszka.

- Witaj, Brona. Czas na ciebie - zasyczał ponuro, wpatrując się w postać na łóżku.

Starzec skulił się pod kołdrą i naciągnął ją wyżej. Przerażonym wzrokiem wpił się w Wątrobę.

- Ktoś ty? - wyszeptał trwożnie.

- Twój towarzysz, przyjaciel. I sędzia! - patetycznie ryknął szkielet. - Gotuj się na odejście, zaraz złożę na twym czole swój pocałunek.

Brona skulił się jeszcze bardziej.

- A więc to już koniec... - powiedział cicho. - Nic nie boli, nie jestem w tunelu...

W tym momencie przez uchylone drzwi balkonowe wszedł Chwiejczak. Światło, choć mdłe, uwidaczniało jego strój, jakże niepraktyczny w tę wietrzną noc, sutannę i biret. W ręce dzierżył wielki krucyfiks.

- Śmierci, odstęp! - ryknął rozkazująco. - Nie mogę cię powstrzymać, lecz każda dusza ma prawo najpierw uwolnić się od grzechów.

- Ach, to ty, klecho! Zawsze i wciąż ty! - rozdarł się w odpowiedzi spasiony szkielet. - Czyń swoje, byle prędko.

- Synu, czas twój nadszedł, ale nie odchodź z czarną duszą, wyznaj grzechy, żałuj za nie, a uzyskasz odpuszczenie win. Tylko wyznaj swe grzechy. Opowiadaj. No, opowiadaj! - Postać z krzyżem zwróciła się ku starcowi.

Brona z dużo większym przerażeniem spoglądał na namolnego księdza niż na śmierć; miał do kleru podejrzliwy stosunek, wynikający z przekonania, że bardziej dbają o sprawy doczesne, tu i teraz, niż duchowe, tam i później. Ale wstęp zrobił swoje. Brona się przestraszył i zaczął spowiedź.

Musieli niestety przebrnąć najpierw przez różne sprawy z życia dziadka, a to jakąś kiełbasę w Wielki Piątek, a to podglądanie sąsiadki podczas kąpieli, a to rzucanie zgniłymi jajkami w źle zaparkowane auta. W końcu opowieść dotarła do interesujących ich czasów i postaci.

– Najgorsze, co mi się w życiu przytrafiło, to źli ludzie, bezlitości, niewierzący w nic, a wykorzystujący wiarę innych. Wykonywałem ich polecenia, dałem się nabrać, posunąłem się nawet do... – Tu Chwiejczak nachylił się z ciekawością, Wątroba, przechadzający się niecierpliwie w tę i z powrotem po pokoju, przystanął i nadstawił ucha. – Do kłamstwa, tuszowania cudzych postępków. Już za życia zostałem ukarany, wziąłem na siebie winę za domniemane morderstwo, które było samobójstwem, a oni mnie opuścili...

– Kto? – dopytywał się ciekawski ksiądz.

– Myślałem, że przyjaciele, ale wykorzystali mnie, a później opuścili. Wzięli wszystko, co mieliśmy, i wyjechali...

– Kto, dokąd?

– No ci niby przyjaciele, daleko, pod Augustów. Po co te szczegóły?

– Nie ma dobrej pokuty bez szczegółów. A dziwny człowiek w parku, zabójca włóczęgów, coście mu zrobili? – Pytania stały się bardziej niż konkretne. Brona zmarszczył brwi.

– To była pomyłka, błędny trop! Ale po co te pytania, skąd ksiądz w ogóle o tym wie? – Coraz mniej mu się podobała cała sytuacja.

Wątroba, wędrując po pokoju, nie zauważył dwóch rzeczy: po pierwsze, że zaczęło świtać i cała aura tajemniczości ulatniała się z otoczenia jak powietrze z dziurawego balona, po drugie, nie zauważył wielkiej rzeźbionej nogi stojącej lampy. Minął ją podczas tego spotkania

ze sto razy, a przy sto pierwszym potknął się i runął jak długi, waląc nosem w stół.

- O kurwa! - wrzasnął, wycierając z krwi nos i rozbitą wargę. Gdy gramolił się z podłogi, koszulka podjechała do góry, ukazując brzuch i owłosioną klatę, spodnie szkieletu lekko opadły i oczom „kapłana” oraz „umierającego” pokazały się srebrne stringi wyznaczające symetrię tylnej strony komisarza.

- Co jest! - Brona jak oparzony wyskoczył z łóżka. Dopadł do Wątroby zaczął go szarpać za odzienie. - Co to ma być, co to za żarty? Kim wy jesteście?

- Chodu! - krzyknął Wątroba i wyrwał się dziadkowi. Chwiejczak też odtrącił go na bok, aby dopaść do balkonu. Brona rzucił się za nimi, ale po trzech krokach zawrócił i zaczął gorączkowo szukać przycisku alarmu, który leżał pod łóżkiem, oplakując swoje poszarpane kabelki.

Przez wilgotny od porannej rosy trawnik biegł ksiądz, a za nim nazbyt otłuszczona do swojej roli postać w kostiumie szkieletu. Z balkonu chudy dziadek, dużo bardziej nadający się do roli kościotrupa, wygrażał obu uciekającym zaciśniętą pięścią. To najlepiej dowodziło, że jest w dobrym zdrowiu, a lakierowane pudło i orkiestrę niech zamawiają sobie inni, na przykład cherlaki z geriatrycznego.

Podróż na wschód. Siedzenia stukającego pociągu. Czerwone jak krew. Okno, za nim rozmazany krajobraz, zimny, nieznajomy. Wrogi w swym bezlistowiu, ugorze oraz szarym, siąpiącym deszczu. Skąd tu się wziąłem? To był impuls, jak strzał w głowę. Wstałem, spojrzałem na moją szarą świętą ścianę, na to moje beznadziejne siedlisko i wiedziałem, że coś się w moim życiu zmieniło. Kolejny raz po tych kilkunastu od ostatniego wezwania. Spakowałem się, wsiałem w pociąg. Podróż na wschód. Smród brudnego laminatu, nigdy niedomytych do końca aluminiowych ram okiennych, odór tłumów pędzących każdego dnia za swoimi małymi sprawami, za nędzną

wegetacją. Wiele lat temu zerwałem z tym, powiedziałem „dość”. A teraz wewnętrznie czuję, że kończy się moja wędrówka. Podróż na wschód. Podróż na wschód.

– Aleśmy to spartolili! – Wątroba szybko przebierał się za murkiem śmietnika nieco oddalonego od domu starców. Ksiądz wędrujący z brzuchatym szkieletem budziłby zbyt dużą sensację wśród porannych przechodniów. Chwiejczak też pozbywał się swoich łaszków, ale szło mu o tyle łatwiej, że miał pod spodem zwykłe ubranie.

– My?! – zdziwił się. – Nie ja się wywalilem i nie noszę na sobie idiotycznych, błyszczących majtek.

– No, już dobrze, już dobrze, moja wina. – Zza murka wychynął normalnie odziany Wątroba. – Do operacyjnego!

– O, nie, nie! – sprzeciwił się ksiądz, już w cywilu. – Mam dziś wizytę u urologa, poza tym mój kot głoduje, a ja muszę się przespać. Przyjdę wieczorem.

– No dobrze – kwaśno zgodził się Wątroba i dodał sarkastycznie: – Leniwy emeryt. Wieczorem, czyli o której dokładnie? O piętnastej?

Gdyby wzrok mógł zabijać, komisarz mógłby spokojnie zamawiać pakiet „Always ready” u szwagra-trumniarza, ale nie zabijał, więc tylko usłyszał ponure „do widzenia”.

Wieczorem siedzieli już w operacyjnym i podsumowywali fakty. Brona do niczego się nie przyznał, potwierdził natomiast wersję o samobójstwie. Jednakże mówił coś o ludziach, którzy kazali mu się przyznać, a potem go opuścili.

– Powiedział, że gdzie pojechali? – przypominał sobie Wątroba.

– Pod Augustów. Co jest pod Augustowem? – Posterunkowy łamał właśnie tajemnicę aktu pokuty.

– Czarna Hańcza, Ruskie, Litwa, Grunwald, przemyt papierosów. – Znajomość ściany wschodniej nie była mocną stroną Wątroby.

– A miejscowości?

Poszukali na mapie.

– Gołdap, Gołdap. Wróżka mi coś mówił o Gołdapiu, czy jakoś tak, że może oni już daleko, pod Gołdapiem siedzą. – Chwiejczak z mozołem odkurzał w pamięci fakty i słowa sprzed lat.

– Pod Gołdapią jak już. Ten Wróżka to pod sąd dyscyplinarny podchodzi, znowu coś wiedział i nic nie gadał – zdenerwował się komisarz. Jednak wspomnienie snu z człowiekiem mordercą nieco złągodziło ten osąd: – Choć teraz go rozumiem trochę lepiej.

Po chwili decyzja została podjęta.

– Jedziemy tam. Na wschód, Chwiejczak, na wschód!

– Ach, piękna ziemia suwalska, kto cię nie poznał, ten się nie dowie, jako smakujesz, aż się nie popsujesz – mruczał Wątroba pod nosem, jadąc pociągiem. – I do tego, nie zrymujesz.

– Co się nie popsuje? – Chwiejczak przysnął godzinę na siedzeniu naprzeciwko i teraz opornie powracał do kolejowej rzeczywistości.

– Aż się pociąg nie popsuje, człek się raduje, że PKP nas tak pięknie przyjmuje. – Wątroba tłumaczył świat wierszem, próbując przekrzyczeć stuk kół.

– Kto nas wyjmuje? Nie rozumiem. Proszę głośniej, turkocze – nic nie rozumiał Chwiejczak, nadal zaspany.

– Wstawajcie i do roboty. Ustalamy strategię, taktykę i metody. Operacyjną walizę, poproszę! – Wątroba rzeczywiście powiedział to głośniej, najwyraźniej wracając z wyżyn poezji do spraw bieżących.

Chwiejczak westchnął, zrzucił z półki walizkę, zwaną szumnie przez obu emerytów „operacyjną”, otworzył ją, następnie wyciągnął wszystkie papierzyska. Wątroba w zeszycie z domem, który budują, prowadząc śledztwo, wymalował uzyskane informacje w postaci mapy myślowej i tłumaczył właśnie Chwiejczakowi, w jaki sposób im to pomoże w pracy koncepcyjnej. Posterunkowy zrozumiał z tego tyle, że komisarz stworzył coś w rodzaju komiksu, jakie widywał u swoich wnuków, i to ma im

ułatwić życie, które wcale nie wydawało mu się dotychczas trudne z pozycji policjanta-emeryta. Poza tym nic mu to nie mówiło. Gapił się na Wątrobowe dzieło jak cieleń na heblowane wrota i z każdą chwilą coraz bardziej przeklinał dzień, w którym wpadł na pomysł dokończenia tajemniczej sprawy sprzed lat. Cała ta afera bawiła go coraz mniej.

- ...i rozumiecie, tu jest nasza hipoteza o współudziale Brony przy zacieraniu śladu na dywanie w pokoju denata, tu odnośnik do raportu techników, a on łączy się przerywaną linią z wypowiedzią Wróżki... Chwiejczak, czy wy rozumiecie, co znaczy przerywana linia na tym diagramie? Chwiejczak, śpicie? Czy wy w ogóle ogarniacie ten diagram? Ej, chłopie, co jest!?! - rozszłościł się komisarz, widząc, że jego nauki idą w las.

- Tam... - wyszeptał z przestraszoną miną Chwiejczak. - Tam, w przejściu, stoi nasz świr z parku.

- Jesteście pewni? Może to ktoś podobny. - Wątroba się odwrócił, próbując dojrzeć twarz człowieka za szybą.

- Przed minutą trzymałem jego portret pamięciowy, jest bardzo podobny. O, wychodzi! Kryć się! - Chwiejczak rzucił się w panice na brudne linoleum przedziału.

- Zwariowaliście! Wstawajcie z tej podłogi! On nas w ogóle nie zna, bo niby skąd?! Ale o leżącym na ziemi facecie zaraz będzie gadać cały pociąg. Dalej, ruszcie się! - Wątroba umiał zachować zimną krew.

Wskazany człowiek przeszedł obok szybkim, nerwowym krokiem, nie zaszczyciwszy ich nawet jednym spojrzeniem.

- I co teraz robimy? - dopytywał się Chwiejczak.

Wątroba przywołał wspomnienie ze snu, gdy przez chwilę znajdował się w skórze, czy też w głowie, tego typu. Znał go jakby od wewnątrz i wcale nie miał ochoty poznać z zewnątrz. Wręcz odwrotnie, za wszelką cenę chciał uniknąć jakiegokolwiek kontaktu. Dlatego nic dziwnego, że skwitował sytuację ze sztuczną swobodą w głosie.

- On ma swoje sprawy, my swoje. Może jedzie popływać w jeziorze. Czytałem w przewodniku, że woda tam jest bardzo czysta, a lasy wokół jeszcze dziewicze.

Chwiejczak spojrział na komisarza z ukosa. Westchnął i przypomniał sobie, że już kiedyś pewien znany mu policjant podczas wycieczki na prowincję miał podobnie przestraszony ton głosu i wyraz twarzy.

Po PKP przysłała pora na PKS, czyli licząc z tramwajem w mieście, zrobili pełen przegląd polskich środków transportu publicznego. Swoje poszukiwania postanowili rozpocząć od miejscowej komendy. Dyżurny po kilku słowach wyjaśnienia wysłał ich do komendanta, który przyjął ich bardzo miło, zgodnie z zasadą szacunku dla starszych kolegów z branży. Niemniej w trakcie rozmowy, gdy pokrótce wyjaśniali, o co im chodzi, coraz bardziej zaczął się skłaniać w duchu ku pogładowi, że stare dziadki powinny siedzieć w Ciechocinku i tam wspominać wojnę, a nie zawracać mu gitarę i zakłócać uświęcony tradycją porządek oraz spokój jego miasteczka. Innymi słowy, poza pozorami współpracy nie mogli liczyć na wiele więcej.

- Tak, koledzy, tak, na pewno pomożemy, jeżeli się czegoś dowiemy. A tymczasem zapraszam na kemping, prowadzą tam wypożyczalnię sprzętu i organizują wieczorki taneczne. Niestety chyba tylko w sezonie. Będę miał waszą sprawę na uwadze, jak coś mi się przypomni, to dam znać. Tak, zrozumiałem. Podejrzana grupa, dwadzieścia lat temu, pod naszym miastem. Na pewno nie zapomnę. Aha, w starych koszarach znajduje się muzeum, może wstąpicie... - Zapewniał ich solennie o planowanej współpracy i z każdym krokiem wypychał coraz dalej poza obręb swojego gabinetu, a następnie poza obszar komisariatu. Niebawem wypchnięci zupełnie, stanęli przed komendą, zastanawiając się, co dalej począć.

- Niech go szlag trafi. Koledzy, jak miło, idźcie sobie do regionalnej restauracji, pozwiedzajcie sobie nasze kempingi i muzea. Powdychajcie

czyste powietrze. Za kogo on nas ma?! – gderał Wątroba, nie mogąc przeboleć upodlenia w postaci ignorowania jego spraw przez miejscowe organa ścigania.

– On uważa, że my... – zaczął Chwiejczak wyjaśnianie postawy komendanta.

– Przestańcie, przecież wiem, co on o nas myśli! To było pytanie retoryczne! – ryknął wściekły Wątroba.

– Aha – nie zrozumiał Chwiejczak.

Zapadło ponure milczenie. Jeden z pomysłów na pozyskanie danych, ten najbardziej oczywisty, właśnie upadł. Wtedy podszedł do nich i zagadał jegomość o wyglądzie marnego pijaczyny. Takich klientów znali w swoim mieście na pęczki, ze Stalowym Kazkiem na czele, więc identyfikacja typu osobniczego oraz jego potrzeb poszła szybko i gładko.

Po kilku minutach, każdy z butelką wina, usiedli na skwerze, rozejrzawszy się przedtem, czy żaden zabłąkany patrol ich nie przyskrzyni za publiczne pijaństwo. Jegomość przedstawił się jako Karol, Karol z Gołdapi. Po tym wstępie stał dłuższą chwilę, gapiąc się na nich, jakby mierzył wzrokiem wielkość efektu wywartego przez to wyznanie. Być może sądził, że noszone królewskie imię jakoś wpływa na godność jego samego i każdy przyjezdny to zauważy. Z grzeczności postarali się wyglądać na wstrząśniętych. W nagrodę Karol rozwinął swą opowieść, którą okazała się wielce interesująca.

– Bo wiesz, szefie, ja trochę, ten tego, wiem o tym i owym. A słyszałem, akurat u komendanta, że ktoś tam coś o tych mormonach gadał – rozpoczął swoje gawędy wraz z pierwszym łykiem czerwono-wiśniowej cieczy.

– O mormonach? – zdziwił się Wątroba, również otwierając butelkę i pijąc drobnymi łykami. Być może nie chciał wypić zbyt wiele z przypadkowym kolegą, ale równie możliwe było, iż nie chciał uronić żadnej nuty bogatego aromatu serwowanego trunku.

– No o tych typach, co się tu sprowadziły z południa Polski. Podobno ich tam bili czy oni kogoś bili. W każdym razie musieli się wynosić

w odludne tereny. A gdzie większe odludzie, jak nie pod naszą ruską granicą? – wyjaśniał Karol z Gołdapi.

– Gdzie oni mieszkają? – parł wprost do celu komisarz. Jednak prostolinijny Karol zmieszał się na te słowa.

– A to jest informacja tajna, niebezpiecznie o niej gadać. O nich to różne plotki chodzą. A najwięcej, że jak kogoś nie lubią, to mordują bez skrupułów. Wolę się nie narażać. Ja tu chcę spokojnie żyć – tłumaczył się, rozglądając nerwowo po wyludnionych ulicach miasteczka. Kalkulacja była prosta: zaczął ich, bo wie coś o tych „mormonach”, ale się boi, bo za darmo można zjechać do dołka za rozprowadanie plotek. Innymi słowy, należało wycenić wartość informacji, które posiadał w głowie Karol.

Swoje bezpieczeństwo wycenił na trzy stówki i jeszcze dodatkowo dwie flachy. W zamian w kieszeni Wątroby wylądowała chusteczka higieniczna z nagryzmołonym napisem: „Osada Chawaje w drodze na Szyliny, skrócić w przesiekę za drugą krzyżówką”.

Przystanek PKS, najbliższy skrzyżowaniu z drogą na Szyliny, to słupek z okrągłym znakiem kierownicy, metalowa tabliczka z resztkami jakiejś naklejki oraz dużo trawy, drzew i wiatru. Dwójka podróżnych, która właśnie wysiadła, rozglądała się smętnie po tej pięknej przyrodniczo okolicy, jednak ich twarze wyrażały tęsknotę za siedzeniami lotniczymi oddalającego się autobusu i wesołym warkotem silnika, przez który od czasu do czasu przebijał się muzyczny hit unoszący się z radia włączonego przez kierowcę w swetrze w komputerowe wzorki. Było tu tak pusto, nieswojo i nie miejsko, że cała policyjna pewność siebie uleciała w chmury.

– No, Chwiejczak, bierzemy się w garść i na Chawaje! – Wątroba nieco przesadnie entuzjasmował się czekającym ich zadaniem. Tym bardziej, że nie było jasne, co ich czeka i czy wygnana sekta nie jest niebezpieczna dla obcych.

Powlekli się wąską drogą, wiedzeni drogowskazem „Szyliny 12 km”.

– Piechur potrafi przejść pięć kilometrów w ciągu pierwszej godziny, cztery podczas drugiej i trzy w trakcie trzeciej, w każdej następnej pokonuje dwa i pół kilometra, wszystko netto, czyli bez przystanków. Co pół godziny robi przerwę po cztery minuty, a co dwa kilometry ściąga plecak i masuje sobie plecy. Kiedy piechur dojdzie do celu oddalonego o dwanaście kilometrów? – rozwijał się matematycznie Wątroba.

– Proszę uwzględnić, że piechur nie ma plecaka, tylko walizkę operacyjną i co dwieście metrów oddaje ją koledze na kolejne dwieście metrów – dodał Chwiejczak, daremnie starając się dotrzymać kroku nieobciążonemu Wątrobie. – A poza tym jak on sobie masuje plecy? O drzewo? Na mnie niech pan nie liczy.

Wątroba, po kilku daremnych próbach wykonania masażu pleców własnoręcznie, zmienił treść zadania na „robi serię ruchów rozciągających”. O zmianie tragarza walizki ani wspomniał.

– Zmiana! – Po kilkuset metrach Chwiejczak rzucił ich cenną walizkę na ziemię z wyzywającą miną. Wiedział, że albo teraz ustalą zasady wspólnego marszu, albo będzie ją taszczyć sam przez te kilkanaście kilometrów.

– Już dobrze, dobrze – westchnął Wątroba z miną typu „Rany, ale szczegółarz!”.

I tak gawędząc, dogryzając sobie i wdychając świeże powietrze, przedzierali się wolno przez piękne lasy Suwalszczyzny. Wtem Chwiejczak zmarł.

– Komisarzu, komisarzu, tam, pomiędzy sosnami! – Wskazał palcem jakiś ruch w lesie po prawej stronie. Wśród rzadko rosnących drzew ktoś szybkim krokiem zmierzał w tym samym kierunku, tyle że na przełaj. Poznali – to był człowiek z pociągu. Poszukiwany.

– Co on tu robi? Idzie tam, gdzie my? – gorączkował się Chwiejczak.

Komisarz zrobił niewyraźną minę.

– Może grzyby zbiera albo złomu szuka. – Wątroba trzymał się kurczowo swojej, coraz bardziej nieprawdopodobnej tezy o neutralnym

powodzie wizyty dziwnego człowieka w okolicznych lasach. Facet ich zauważył i stanął. Otaksowawszy ich jednak wzrokiem, uznał chyba, że są jedynie tłem dla jego życia, zupełnie jak okoliczne krzaczki i drzewa, bo przestał zwracać na nich uwagę. Po chwili zniknął im z oczu za zieloną gęstwą.

- Coś mi mówi, że jak za nim pójdziemy, szybciej dotrzemy na te nasze Chawaje - prorokował Chwiejczak. Wątroba wygiął usta z dezaprobatą.

- E, ja tam wolę tę trasę. Trasę Karola z Gołdapi. Przynajmniej wiem, że forsa nie poszła na marne. - Wątroba nie zamierzał wchodzić dziwnemu człowiekowi w drogę.

Powlekli się dalej. Walizka z każdym krokiem robiła się coraz cięższa, a miny dłuższe i dłuższe. Przy pierwszej krzyżówce, po przejściu półtora kilometra od przystanku, mieli serdecznie dość wędrówki. Chwiejczak coś marudził o wyrwanych stawach w rękach i odciskach tak potężnych, że usunie je już tylko chirurg. Wątroba marzył jedynie, żeby usiąść i więcej nie wstawać. Najlepiej z dala od przekłętej walizy, aby nawet wzrokiem jej nie dotykać.

- Aleśmy dziady. Trochę marszu, noszenia i pękamy. Jak stare, płacziwe baby - zrządził pod nosem komisarz, zły na siebie, kolegę, a przede wszystkim na upływ czasu, który tak ich osłabił na emeryturze. Ogólnie był zły na życie.

To stwierdzenie musiało trafić Chwiejczakowi do przekonania, bo przestał narzekać i tylko od czasu do czasu mierzył walizkę nienawistnym spojrzeniem. Wątroba ukrył twarz w dłoniach.

- Jak posiedzicie tu ze dwa miesiące, to schudniecie i gotowa figura na rozstaje dróg. Wątroba frasośliwy - zażartował posterunkowy w ramach pokonywania złego nastroju w grupie bojowej.

- Nie pozwalajcie sobie, Chwiejczak. - Wątroba nie lubił walki ze złym nastrojem jego kosztem. - Bierzcie walizę i ruszamy dalej.

- Teraz nie moja kolej. A w ogóle ja niosłem więcej, więc proszę się bardziej przykładać - przeciwstawił się Chwiejczak, widząc, że

tradycyjnie dostaje gorszą część roboty.

– Chwiejczak! Bunt? – zdenerwował się komisarz.

– Co bunt? Nie jesteśmy już na służbie. Jesteśmy tu prywatnie. A wy ciągle gadacie jak na odprawie przed patrolem. Jak nie będzie pan miłszy, to po prostu rzucę walizkę w krzaki i pójdę z powrotem, a wy sobie prowadźcie dochodzenie sami, bez wsparcia. Za to z grasującym po krzakach psycholem. Choć dla pana to przecież żaden problem, jak sądzę.

Wątroba przez chwilę mierzył go wzrokiem. Następnie opuścił głowę.

– Nie gniewajcie się, Chwiejczak, też jestem zmęczony. To chyba nie na nasze lata. – Przeanalizował sytuację i postanowił uspokoić kompana, następnie chwycił piekielną walizę.

Powlekli się dalej.

Przy drugiej krzyżówce bolało ich wszystko tak samo jak przy pierwszej, ale atmosfera panowała dużo lepsza. Obaj przemyśleli sprawę i wyciągnęli ten sam wiosek. Byli na siebie skazani. Przynajmniej na razie.

Zaczęli szukać przejścia w lesie, które zaprowadziłoby ich do poszukiwanych ludzi. Karol wyraźnie napisał, że za drugą krzyżówką mają skręcić w przesiekę, jednak tej nie było nigdzie widać. Tylko lasy i lasy wokół.

– Co za odludzie! – zdenerwował się Wątroba, tracąc powoli zaufanie do informacji od Karola. – Czy w tych Szylinach ktoś w ogóle mieszka? Nikt nas nie miał...

Jak na zawołanie usłyszeli warkot traktora. Zza drzew wychynął wnet stary Ursus z autochtonem na pokładzie. Stali na skraju drogi i wpatrywali się w nadjeżdżający pojazd, zaś kierowca gapił się na ich. Dzieląca ich odległość malała z każdą sekundą.

– E! – wrzasnęła Wątroba, machając ręką. Ursus stanął, pyrkając na wolnych obrotach. – Którędy na Chawaje? – spytał, przekrzykując hałas silnika.

Ciekawość kierowcy najwyraźniej wzrosła, co można było poznać po otwartych ustach i uniesionych brwiach.

- A wy tam czego? - bąknął w końcu.

- Odwiedzić chcieliśmy. Podobno ładne miejsce. Przyroda i takie tam. - Wyjaśnienie było bardziej niż głupie, ale nic innego nie przyszło Wątrobie do głowy.

- Tu wszędzie przyroda. Lepiej idźcie na kemping w Gołdapi. Wieczorki taneczne, wypożyczalnia sprzętu. Ale chyba tylko w sezonie.

- Wyglądało na to, że wszyscy tutejsi znali jeden kierunek, w którym wysyłali zbłąkanych turystów.

- To któredy na te Chawaje? Powiesz pan?! - zirytował się komisarz, któremu głądzenie o kempingu i wieczorkach tanecznych przypomniało o beużytecznie miłym komendancie tutejszej policji.

Facet zasępił się, zrobił minę „sami tego chcieliście”, wreszcie burknął:

- Za jakieś trzysta metrów w prawo droga będzie. Na drzewie krzyż namalowany czerwoną farbą.

- Dzięki! - krzyknęli i poczępali we wskazanym kierunku.

- A wy umówieni tam jesteście czy jak? Bo oni nie bardzo lubią obcych - zawołał za nimi kierowca, najwyraźniej nie do końca przekonany, czy przyjezdni wiedzą, co robią.

- Umówieni, umówieni. Dziękujemy - uspokoił go komisarz.

Facet podumał jeszcze, zerkając na nich podejrzliwie. W końcu machnął ręką, silnik zaterkotał przeraźliwie i pojazd zniknął po chwili wśród drzew.

Za zakrętem rzeczywiście była przesieka leśna i znak na drzewie, a po kilkudziesięciu metrów natknęli się na tabliczkę z napisem „Własność prywatna - wstęp wzbroniony”. Pod spodem dorysowano czaszkę. Drogę przegradzała również ścięta sosna.

- Faktycznie, nie lubią obcych. - Wątroba zrobił nietęgą minę na widok tych znaków. Poczul się całkiem jak w Papui Nowej Gwinei, gdzie

im bliżej wsi, tym więcej elementów miało odstraszać obcych i złe duchy. W końcu uparty wędrowiec musiał się liczyć z zatrutą strzałą tkwiącą we własnej szyi.

Po przejściu kilkuset następnych metrów usłyszeli ujadanie psa. Zbliżało się z każdą sekundą.

– Chwiejczak, szybko, łapcie jakiś tęgi kij! – zakomenderował komisarz.

Zdążyli zastawić się walizą i znaleźć jakieś drągi na ziemi, gdy zza krzaków wybiegł wielki kundel. Stał przed nimi, warcząc i szczerząc kły.

– Dobry piesek, dobry. – Wątroba próbował naiwnie go udobruchać.

Wyciągnął rękę, ale psisko przycziło się i zawarczało głośniejszym. Najwyraźniej był szkolony, żeby nikomu obcemu nie ufać.

– Czego chcecie? – padło pytanie zza listowia.

Po sekundzie za psem pojawiło się trzech ludzi ze strzelbami. Pomijając broń palną, wszyscy wyglądali jak synowie Piasta Kołodzieja. Długie włosy, wąsy i stroje à la siermięga.

– Turyści! – zakomunikował Wątroba.

– Wracajcie do siebie, nic tu po was! – Piastowie byli stanowczy.

Wątroba i Chwiejczak spojrzeli na walizę, potem po sobie. Ich oczy nabrały twardego, zdeterminowanego wyrazu. Wracać bez żadnych rezultatów? Z tą cholerną walizą?! Nigdy. Woleli zginąć.

– Mamy dla was informację, grozi wam niebezpieczeństwo. Kto jest waszym przywódcą? – zarzucił przynętę komisarz.

Piastowie wymienili po cichu kilka uwag. Jeden gwizdnął na psa i poszedł. Pozostali, wciąż do nich mierząc, skinęli, że mają iść za nimi.

– Co im grozi? – szeptem zapytał Chwiejczak.

– Niebezpieczeństwo. Powiem tylko ich wodzowi – odszepnął Wątroba, mrugając porozumiewawczo. Co znaczyło: „To taki fortel, żeby tam wejść, a później się zobaczy”.

– Ten dziwak w lesie? A może jakiś bardziej zmasowany atak? – dopytywał się Chwiejczak, całkiem jakby nic nie rozumiał z machinacji szefa. Może zresztą naprawdę nic nie rozumiał.

– Powiem tylko ich wodzowi. – Wątroba mrugał okiem jak szalony, co w komplecie z miną „zamknij twarz, durniu” dawało dość osobliwy efekt.

Jeden z Piastów zainteresował się mimicznym stanem Wątroby.

– Epileptyk? Wiara może cię uwolnić od tego brzemienia. Módl się, a wyzdrowiejesz – rzucił światłą uwagę, najprawdopodobniej podyktowaną troską o bliźniego.

Wątroba spojrział ponuro na Piasta i uspokoił oszalałą mimikę. Na szczęście Chwiejczak nie drażył tematu. Spomiędzy drzew wychynęli na polanę. Doszli do solidnej bramy w płocie okalającym zabudowania. Zza płotu spoglądało na nich dużo twarzy. Przodownik z psem musiał już tu dotrzeć i wieść o obcych obiegła siedlisko. Bramę zamykało zwieńczenie z napisem „Witaj w Chawajach”.

– Chyba na Chawajach – mruknął Chwiejczak.

Gdy wkroczyli na teren osady, okolił ich zwarty krąg mieszkańców. W pierwszym rzędzie mężczyźni, za nimi kobiety i dzieci. Wszyscy wyglądali podobnie do uzbrojonych mężczyzn w lesie. Patrzyli z ciekawością na przybyszów. Bez słów, bo to nie było powitanie. Raczej zbiegowisko gapiów oglądających więźniów.

– Uśmiech, Chwiejczak, uśmiech. – Wątroba chwalił się kiedyś, że czytał Arkadego Fiedlera i Cejrowskiego. Tylko czekać, aż wyciągnie perkal i koraliki jako prezenty dla starszyny plemiennej.

Tłum wyglądał jak żywcem wyciągnięty z dawnych czasów. Zgrzebne ubrania, brak jakichkolwiek elementów teraźniejszości. Krótko mówiąc, otaczali ich kolejni członkowie rodziny Piasta Kołodzieja. Naraz usłyszeli w tle jakąś krzątanicę, głosy, które się do nich zbliżały. Tłum rozstał się, następnie wszyscy uklękli. Zza rogu wyszła grupa ludzi, w jej środku kroczył dumnie długowłosy starszy człowiek w złotej pelerynie i czymś w rodzaju zdobnego nocnika na głowie. Najbliżsi

kłęczący próbowali całować go po rękach, ale on odsuwał je z obrzydzeniem. Jego świta waliła zbyt nachalnych pałami po głowach i karkach.

– Na kolana, na kolana! – wrzasnął jeden z Piastów, łapiąc Wątrobę za kark i przyduszając do ziemi.

– Kłękamy, Chwiejczak! – syknął komisarz. – To jacyś fanatycy.

Starzec zatrzymał się w pewnej odległości. Drugi z Piastów podszedł do niego na kłęczkach; wódz w nocniku skinął przyzwalająco.

– Zmierzali w naszą stronę, mówią, że chcą nas ostrzec – zameldował z pochyloną głową; wyraźnie nie śmiał spojrzeć starcowi w twarz.

Starzec wysłuchał, następnie machnął ręką, tak jakby odtrącał mówiącego. Piast natychmiast dostał pałą po głowie od ochroniarzy i wycofał się kornie w tłumek. Przywódca odwrócił się, mruknął coś do swojej świty. Dwóch z nich podeszło do Wątroby i Chwiejczaka i kopnięciami dali im znać, że mają powstać z kłęczek.

– Te, kurwa, co jest? – Wątroba w reakcji na ten atak wyszedł z roli dobrodusznego wędrowca wśród łowców głów. – Jak ci kopa zasadzę, to zobaczysz!

Strażnicy zrobili srogie miny i zamierzali się pałami, ale starzec mruknął coś i wszyscy natychmiast spokornieli. O kopaniu nie było już mowy. Wątroba obrzucił zdumionym spojrzeniem tłumek, który nagle z napastliwego stał się wręcz uniżony.

– Co on powiedział? – spytał posterunkowego.

Chwiejczak wzruszył ramionami. Był zdezorientowany tak jak komisarz albo i bardziej.

– Nic nie zrozumiałem – przyznał się do niewiedzy.

Poszli za świtą starca odprowadzani spojrzeniami kłęczącego tłumu.

Las, drzewa, nieprzyjazne, wrogie. Dotykają mnie swoimi chropowatymi odrostami, kalekimi i bezkształtnymi. Odtrącam je

z odrazą, z wściekłością. Muszę przejść, przejść przez to piekło, aby zostać wyzwolonym. Brnę w zieleni, brak mi tchu, brak zrozumienia, brak wszystkiego. Napędza mnie pustka i nadzieja, że kiedyś wypełnię tę pustkę. Mój szary, mroczny bóg już mi nie pomaga i czuję coraz większą niepewność. Czy on istnieje? Czy to, co się wydarzyło, miało jakkolwiek sens? Może trwałem na swoim posterunku, trwałem tak w oczekiwaniu bez powodu? Mój los rozciągnięty w czasoprzestrzeni był, jest i będzie płaski, szary, bez celu. Tylko ja jeszcze o tym nie wiem. Po głowie, jak po pustej klatce, kołacze mi się myśl, że jednak dobrze zrobiłem, że wracam jednak do życia po kilkuletniej śmierci. Żeby tylko nie upaść, żeby tylko nie zawrócić...

Wśród nienawistnego listowia słyszę ujadanie psa, widzę przez przerwę pomiędzy zielenią z lewej a zielenią z prawej jakąś scenę zatrzymania lub powitania. Już ich widziałem... Teraz sobie przypominam, zestawiam slajdy twarzy. Oni idą tam, gdzie ja, oni czegoś chcą, oni chcieli go zabić tak jak ja. We śnie...

Poszli razem. Idę ich śladem, powietrze niesie smród jakiejś większej osady ludzkiej, zwierzęcej. Smród podłości i kłamstwa tego świata. Już wiem, że znowu mam pokutę, że znowu kierunek „nienawiść” oznacza wolność. Choć wtedy stchórzyłem, a może to ktoś za mnie zdecydował? O moim życiu, losie, podłym losie.

Brama otwiera się, zamyka, wchodzi wszyscy na teren, droga zamknięta. Pies wybiega przez szparę w murze, czuje mnie, warczy. Jest zły, czuje obcą, naprawdę obcą istotę. Nie jakiegoś wieśniaka czy zagubione dzieci. Czuje mnie, będącego od dawna poza ludźmi, poza tym, co zwierzak zna, co lubi i czego zwykle się boi.

Warkot, obnażone kły, przerażone oczy. Podchodzi. Krótka szamotanina, bezwładne włochate ciało leży obok, ciężko dyszę. Czuję, że dam radę.

Po przebyciu kilkudziesięciu metrów i wyminięciu kilku domów, a bardziej chatynek zbudowanych z drewna i trzciny, wokół których biegały umorusane dzieci i kundelki, dotarli do kolejnej solidnej bramy. Uchyliła się i weszli na podwórko, a raczej do ogrodu. Zadbane klomby, podjazd z kostki brukowej, fontanna, błyszczący, wielki samochód.

– No, to są już prawie Hawaje – mruknął Wątroba, rozglądając się z uznaniem.

Na niewielkim wzniesieniu wybudowano willę, jasną, ładnie wykończoną.

– Zapraszam. – Człowiek w nocniku na głowie wskazał im wejście, odprawił swoją świętą ruchem ręki. Dwóch zostało przy drzwiach wejściowych jako straż.

Pokonawszy szeroki korytarz, wkroczyli do komnaty, przypominającej do złudzenia salę tronową. Z wielkim zdobionym krzesłem i z ogromną alabastrową figurą.

– Panie komisarzu, ta figura to jest... – wyjąkał Chwiejczak, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

– Tak, wiem – odpowiedział Wątroba, równie zaskoczony.

Pod ścianą znajdował się naturalnej wielkości posąg Mateusza Karbowskiego. Wyglądał jakby spał, jednocześnie ręce miał lekko wzniesione, zupełnie jak przy powitaniu z małymi dziećmi albo przy naprawdę szczerej modlitwie.

Starzec odwrócił się do nich i uśmiechnął.

– Witam. Miło znowu się spotkać po latach – usłyszeli serdeczne powitanie.

– Wasiak! – Wątrobę wreszcie olśniło, wspomnienie twarzy sprzed lat pokryło się z obrazem dzisiejszym. Twarz pod ozdobnym nakryciem głowy od początku wydawała mu się znajoma. – No, można było się domyślić!

– Witam w moim małym królestwie – ciągnął starzec. – Gdy was tylko zobaczyłem, od razu zrozumiałem, że ta sprawa sprzed lat, ten nasz początek pozostaje dla was zagadką, która nie daje wam spokoju.

I dlatego tu jesteście. Nadszedł czas wyjaśnień i prawdy. Chętnie podzielę się prawdą.

– Jak ty pięknie mówisz, Wasiak. Odmieniłeś się – zachwycił się Wątroba.

– Nie jestem żadnym Wasiakiem, jestem Mistrzem Dobrzysławem – oznajmił człowiek z godnością, unosząc przy tym czoło. Musiał to robić już wiele razy i miał wprawę.

Obu emerytowanych policjantów zatkało z zaskoczenia.

– Kim? – wyjąkali.

– Mistrzem Dobrzysławem, spadkobiercą wielkiej idei Nauczyciela.
– Wskazał na figurę. – Ja przekazuję wielkie idee Nauczyciela ludziom, pomagam im, decyduję o tym, co dla nich dobre.

– A co jest dla nich dobre? – zapytał Wątroba, widząc, że zanosi się na niezłą szopkę.

Dobrzysław spojrzawszy uduchowionym wzrokiem na przybyszów.

– Dobre jest to, co przekazał Nauczyciel. Ja tylko powtarzam i kieruję, duch Nauczyciela mi towarzyszy. Ludzie widzą moją moc i dobroć, widzą we mnie ducha Nauczyciela i robią to, co trzeba. To, co dla nich dobre, bo tak powiedział Nauczyciel, a ja przekazuję jego słowa, inspirowany i prowadzony przez Nauczyciela. Nauczyciel jest we mnie i dlatego Nauczyciel to jakby ja, a ja to w sposób duchowy Nauczyciel. Ukorzcie się! – Ostatnie słowa zabrzmiały jak grzmiący rozkaz, który wychodzi z ust osoby godnej go wydawać.

Milczeli w pokorze. A sam mistrz Dobrzysław wyglądał, jakby nieco urósł. Stał w smudze światła padającej na niego z okna pokrytego witrażem, wyprostowany, władczy. Jego oddziaływanie było tak silne, że Wątroba i Chwiejczak bezwiednie się skłonili. Mistrz natomiast grzmiał spod swego tronu.

– Ukorzcie się, a będziecie błogosławieni. Porzućcie dawne myśli, a znajdziecie pokój i bogactwo, ale swoje, wewnętrzne bogactwo. Udzielę wam teraz błogosławieństwa w imię Nauczyciela, bo...

- Bo on już nie może. Zabiłeś go - wszedł mu w słowo Wątroba, który już się wyprostował i odzyskał właściwą ocenę sytuacji.

Na moment zapadła głucha, pełna zdumienia cisza. Dobrzysław chyba nigdy nie usłyszał podobnej zniewagi, a już na pewno nie w Chawajach.

- Milcz! Jak śmiesz?! Nauczyciel oddał swe życie, broniąc jedynej świętej wiary. On widział zło dzisiejszego świata i szatana rządzącego światem, on widział drogę...

- Nie widział natomiast, jak mu wysypujesz truciznę do herbaty! - wrzasnął Wątroba, widząc, że propaganda nie ustaje.

Mistrz zamilkł. Wyglądał jak przybity. Po chwili rzekł cicho:

- To nie tak. To nie tak było. On był słaby. Wielki duchem, ale naprawdę słaby. Odszedł od nas... bez powodu. Bez sensu.

- Kto to zrobił? Wasiak, opanuj się. To jest morderstwo, nie udawaj jakiegoś kacyka, tylko gadaj. - Emeryci zaczęli dopinać swego, śledztwo nabierało rumieńców.

Mistrz Dobrzysław przygasł nagle. Pojął, że tutaj jego butne przemowy nie zadziałają.

- Sam to zrobił. Zabił się. Napisał jakieś sentencje, a potem się otrul. Nie wiedzieliśmy, co z tym fantem począć. Interes zaczął się dobrze rozkręcać, wiernych przybywało, a on się strasznie rozkleił. Mówił coś o zdradzie idei, mówił, że jesteśmy na ścieżce grzechu. Chcieliśmy go naprostować, ale nie wiedzieliśmy jak. Chcieliśmy go obronić, udowodnić, że... Ale nie zdążyliśmy - tłumaczył się Dobrzysław i sądząc po tonie głosu, ta sprawa wcale nie była dla niego zamknięta.

- I co dalej?

- I co dalej, i co dalej? - burczał Dobrzysław. - Masz pięciuset wiernych na karku, a mesjasza diabli... znaczy mesjasz puszcza nas w trąbę, bo kasa i dobry zarobek to dla niego zdrada. Trzeba było ratować interes!

- Ratować interes? - zdziwił się komisarz.

- No podtrzymywać wiarę, ufność. Utrzymać przy sobie i... - tłumaczył swój biznes mistrz.

- I kazać oddać wszystko, żeby zapierdalali za miskę ryżu, byleby mistrz miał bogactwo i domek z ogródkiem. Wasiak, przecież tu wygląda jak w średniowiecznym grodzie! Łazisz w złotych gronostajach, a za murem boscie dzieci grzebią się w błocie. Co wy tu w ogóle robicie? Co ci ludzie tu robią? - pytał zdenerwowany Wątroba, widząc, jak się rzeczy mają.

- Jak to co? Pracują. Nauczyciel nakazał pracę jako rzecz dobrą - wyjaśnił Dobrzysław.

- Ale gdzie pracują, co z tego mają, w jakich warunkach? - indagował nieustępliwie Wątroba.

- Zleceń nie brakuje, elektronika, uprawy leśne, chałupnictwo...

- A dzieci? Macie szkołę? A starsi, emeryci? Gdzie odpoczywają?

Mistrz zmieszał się, spuścił wzrok, przełknął ślinę.

- No tak, mistrzu, to już wiemy, jak tu jest... - Policjanci podsumowali los grupy mistrza Dobrzysława.

Patrzyli na Wasiaka pełni odrazy, on stał ze spuszczoną głową.

- A ten twój kumpel, brat Karbowskiego? - przeszli do innych pytań.

Dobrzysław machnął ręką, twarz wykrzywiła się we wściekłym grymasie.

- Wziął kasę i spierdolił. Jakies trzy lata temu. Taki z niego kumpel.

- A, jeszcze jedno. Ten dziwny człowiek, który pobił włóczęgów, a później widziano go w parku z Broną. Kto to jest? - dociekał Wątroba.

Dobrzysław się uśmiechnął.

- A to był nasz, znaczy mój i Radka, pomysł na wyjaśnienie śmierci Nauczyciela. Atak szatana. Taki obcy, szalony element. Siła z piekła rodem dobrze działa na wyobraźnię ludzi. Trochę się nim pobawiliśmy, Radek z nim pogadał, wszyscy go widzieli, jak grasuje po naszej siedzibie. Przestraszyli się i uwierzyli, że Mateusz oddał życie w walce ze złem. Ale później się go pozbyliśmy. Już był niepotrzebny. Nie

widziałem go od ponad dwudziestu lat i pewnie nigdy więcej nie zobaczę.

- Nie byłbym taki pewien, błędy mszczą się przez całe życie. - Wątroba uśmiechnął się złośliwie. Miał przeczucie, że Dobrzysław uruchomił dwadzieścia lat temu proces, który teraz właśnie dobiega końca. I raczej nie będzie to miłe dla mistrza.

Dobrzysław chwilę na nich patrzył, jakby coś ważył i analizował w głowie.

- Szeffie, proponuję interes - odezwał się, już bez pompatycznych przemówień i kreowania się na spadkobiercę czyichkolwiek idei. - Zostańcie moimi gośćmi, zamieszkajcie tu. Mam super apartamenty, każdy będzie miał warunki jak Rockefeller. No i najważniejsze: udział w zyskach. Potrzebuję pomocy, bo nie bardzo chcę kogoś ze wspólnoty wpuszczać za kulisy moich spraw, oni mają klęczeć, całować szaty i pracować. Jednak ilość interesów rośnie i obroty też. A wy znacie prawdę, nic nie zrobiłem, wszystko jest dobrowolne i legalne, jesteście inteligentni, policzcie sobie. To się wam opłaci, bardzo się opłaci. Tysiąc razy bardziej niż ta policyjna pensja.

Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że są już emerytami, dla których taka propozycja jest jeszcze bardziej intratna. Zamilkł i zastygł w oczekiwaniu na entuzjastyczną reakcję. Wyciągnął rękę na zgodę. Wątroba i Chwiejczak ponuro patrzyli na dawnego braciszka-menela i zastanawiali się, w którym wcieleniu był bardziej odrażający. Dobrzysław wyczuł ich nastrój, rozradowana mina zniknęła jak zdmuchnięta, oczy rozpałała wściekłość.

- Propozycja aktualna jeszcze przez dziesięć sekund! A potem... - wycedził przez zęby. Ręka wyciągnięta do nich powoli opadała, jakby przygniatana obcasem pogardy obu policjantów. - Jeszcze zobaczycie, jeszcze zobaczycie!

Nacisnął jakiś przycisk w ścianie, gdzieś daleko za nimi zabrzmiał brzęczyk. Rozległ się tupot nóg biegnących Piastów. W tym samym momencie zza wielkiej figury Nauczyciela wysunął się człowiek

z pociągu. Znajdował się jakiś metr wyżej niż Dobrzysław. Nie widzieli go dotychczas, bo w całości był skryty za podobizną swej domniemanej ofiary. Skoczył na mistrza, powalając go na ziemię, potem sprawnie odwrócił zaatakowanego na brzuch i przytrzymując jedną dłońią jego ręce z tyłu, wyszarpnął nóż zza pazuchy. Musiał wszystko słyszeć. Po dwudziestu latach usłyszał, jak ta kreatura z rozbawieniem wspomina go w roli straszaka dla przestraszonych członków sekty. Dla Dobrzysława nie było ratunku.

Na salę wbiegło kilku Piastów, którzy na widok walki stanęli jak wryci. Mistrz szamotał się i wrzeszczał, ale człowiek z parku był silny i bezwzględny w działaniu. Piastów przybywało, Dobrzysław darł się, żeby go ratowali, więc zbliżyli się, otaczając kołem walczącą dwójkę. Jednak tamten trzymał nóż przy samym gardle kacyka. Najmniejszy ruch ze strony straży mógł spowodować śmierć Dobrzysława. Na Wątrobę z Chwiejczakiem nikt nie zwracał uwagi.

– Czego chcesz? Ratunku! Ruszcie się, bo mnie zabije! Kim jesteś?! – wrzeszczał powalony mistrz głosem, który w niczym nie przypominał pełnej godności przemowy sprzed kilku minut. Napastnik uniósł głowę i potoczył wzrokiem po obecnych. Falanga sunąca na napastnika zatrzymała się, jeden z Piastów przeżegnał się, wyszeptał: „szatan”. Najwyraźniej poznali tę postać, znali jej rolę i siłę, która zabiła Nauczyciela, i nie przestała ich przerażać pomimo upływu dwudziestu lat. Po chwili ów Piast zaczął w popłochu uciekać, za nim drugi i trzeci. Wszyscy cofali się, szepcząc: „Szatan, szatan!”. Dobrzysław darł się jak szalony, ale intruz już nie musiał obawiać się żadnego ataku. Piastowie w panice tłoczyli się u wejścia. Uciekali, krzycząc jeden przez drugiego: „Szatan! Szatan!”.

– Człowieku, co ty wyprawiasz? Puść go! – rozkazał Wątroba i chciał się rzucić na ratunek, ale tamten wyciągnął nóż w ich kierunku, jednocześnie nie wypuszczając z uchwytu Dobrzysława.

– Uważaj, nic mnie już nie powstrzyma! Dziś odzyskam wolność i to ścierwo o tym wie! Wie, bo mi ją zabrał, bo skazał mnie na lata

ciemności i beznadziei – wyszczał i skierował nóż w mistrza.

Jednym silnym ruchem dźgnął Dobrzysława, który zamarł w bezruchu, jakby liczył, że to mu uratuje życie. Nic z tego, dostał jeszcze kilka mocnych ciosów. Po chwili jęknął i wyzionął ducha. Wątroba i Chwiejczak patrzyli na nieruchome ciało leżące w kałuży krwi, stojąc jak sparaliżowani. Indywiduum, kiedy nasyciło swe pragnienie zemsty, wybiegło, głośno krzycząc.

W sali natomiast zapadała cisza. Jedyne z zewnątrz dochodziły odgłosy bieżącej wody, krzyki dzieci i lament kobiet. Wątroba odwrócił Dobrzysława vel Wasiaka na plecy i pokiwał smętnie głową.

– Błędy mszczą się całe życie – skwitował nędzny los mistrza.

Po wyjściu na podwórzec zobaczyli, że brama jest otwarta na oścież, a domu już nikt nie pilnuje. Natomiast za murem aż wrzało. Ludzie biegali, krzyczeli, w pośpiechu pakowali swój nędzny dobytek i całymi rodzinami pierzchali z osady przez otwartą bramę. Wśród ogólnej wrzawy co rusz przebijało się słowo „szatan”. Wątroba i Chwiejczak przyglądali się tej Sodomie i Gomorze, nie wiedząc, co mają zrobić. W ich głowach zapanował kompletny chaos. W obejściu zostało niewielu mieszkańców, już tylko ostatni maruderzy biegali po okolicy. Wtem pojawił się ogień. Płonęło jedno z zabudowań, za chwilę pożoga przeszła na drugie, za nim zapłonęło trzecie. Ktoś umyślnie podpalał domy. Przez obłoki dymu emerytowani policjanci zauważyli, jak mściciel dokańcza pogrom Chawajów.

– Chwiejczak, spadamy stąd! – zakomenderował komisarz i posterunkowy zgodził się z nim bez szemrania. Nawet o walizkę się nie kłócił.

Już chcieli się skierować w stronę lasu, kiedy Wątroba dostrzegł stojący pod willą samochód, który wyglądał na przystosowany do pokonywania wertepów pomiędzy osadą a drogą główną.

– Nie piechotą, samochodem. Dobrzysław już nie potrzebuje niczego poza łaskawością Stwórcy, nieskończenie dobrego nawet dla takich kreatur jak on.

Komisarz pierwszy raz w życiu wykorzystał naukę swojego znajomego, znanego złodzieja samochodów Wieśka Żyły, jak uruchomić dowolny pojazd bez użycia kluczyka, i po chwili pędzili z Chwiejczakiem przesieką pomiędzy drzewami.

– I co teraz? – zapytał Chwiejczak po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów od feralnego miejsca wśród lasów.

– Jak to co? Sprawa rozwiązana. Do domu. Palimy samochód i potem zrzucaamy do rzeki z jakiejś skarpy. Jak w filmie o gangsterach, zawsze o tym marzyłem. Pozostanie jeszcze tylko sprzątnięcie współnika, który za dużo wie. – Najwyraźniej Wątroba mocno polubił przenoszenie akcji seriali sensacyjnych do otaczającej rzeczywistości.

Chwiejczak omiół Wątrobę przerażonym wzrokiem.

– Żart, żart. Sprawa jest dla nas zakończona. Czas na telekryżówki – uspokajał dzielnego posterunkowego. Zapomniał, że trzeba z takimi tekstami ostrożnie, bo Chwiejczak brał zawsze wszystko na serio.

– Ale przecież daliśmy namiary na komendzie! W domu Wasiaka został trup! Powinniśmy zawiadomić policję. – Proponowany scenariusz nie mieścił się w porządnej głowie emerytowanego posterunkowego.

– Chwiejczak, pamiętasz, jak oni nas potraktowali? – wycedził wściekle Wątroba.

– Jak namolnych zgredów.

– To trzeba było lepiej, a tak mają namiary na Stalowego Kazka i Pająka, z ich numerami telefonów do wiaty. Jak oni współpracują, tak i my.

– Ach, więc te dane...

– Tak, tak. Akcja i reakcja.

Samochód mknął przez Polskę wschodnią. Od wybitej szyby wiało jak diabli, ale poza tym nastrój panował dobry. Wątroba włączył radio i tak długo szukał odpowiedniej stacji, aż rozbrzmiały dźwięki, które go zadowolily.

*Can you tell me why the bells are ringing?
Nothing's happened in a million years
I've been sitting here since Wednesday morning
Wednesday morning can't believe my ears
Jazz police are looking through my folders
Jazz police are talking to my niece
Jazz police have got their final orders
Jazzer, drop your axe, it's Jazz police!
(Leonard Cohen „Jazz Police”)*

Kiwali smętnie głowami w takt piosenki. W tył uciekała szara, jesienna Polska. Waliza operacyjna podskakiwała na tylnym siedzeniu przy każdym wyboju. Na polach ziemniaki siedziały już zebrane w workach, palone kupy liści dymiły szaro, a grube swetry i wiatrówki znowu były w modzie.

Wybrali jakiś jar w lesie, który od najbliższej wioski dzieliło z pięć kilometrów, napchali suchych patyków do środka eleganckiego samochodu i rozpalili w środku ognisko. Maszyna była tak ustawiona, że po zgaszeniu ognia wystarczyło ją pchnąć, a stoczy się na dno dolinki. Mieli nadzieję, że to ostatecznie zerwie nić łączącą ich ze śmiercią Dobrzyśława. Oczywiście poza zeznaniami Piastów. Ale tego się jakoś dziwnie nie obawiali.

Wędrówka do najbliższego przystanku PKS znów okazała się męką, jak w drodze na Szyliny. Waliza musiała jednakże dojechać bezpiecznie do centrali operacyjnej i zostać komisyjnie zniszczona bez jakiegokolwiek śladu.

– Komisarzu, a co się stanie z tymi biedakami? Gdzie się oni podzieją? – Chwiejczak martwił się o zbiegłych członków sekty.

– Oni? Nie wiem. – Wątroba się nie martwił.

– Może wrócą do swoich domów, o ile je jeszcze mają. Jak pan sądzi, mają szansę zacząć nowe życie z dala od tego, sami, bez tego Wasiaka, tej sekty i nadzoru? – Dobry Chwiejczak nie ustawał w generowaniu trosk.

– No oczywiście. Muszą tylko zgolić te idiotyczne wąsy. Nie martwcie się. Życie wyrównuje rachunki. – Wątroba wiedział już, jakie jest życie.

– A ten, ten... człowiek. Sądzi pan, że to był... – Ta myśl męczyła Chwiejczaka od chwili, kiedy jego spojrzenie spotkało się na ułamek sekundy ze spojrzeniem postaci dźgającej mistrza Dobrzysława.

– Szatan? – domyślił się Wątroba.

Chwiejczak skinął niepewnie głową.

– Miał rogi i śmierdział siarką?

Chwiejczak pokręcił głową.

– No to sami sobie odpowiedzcie!

Chwiejczak wpił wzrok w przestrzeń i zatopił się w rozważaniach, ale po chwili machnął ręką i dalej patrzył przed siebie już bez rozważań. Na przystanek zajechał autobus. A oni wsiedli, ciesząc się, że wreszcie powrócą do swoich telekryżówek, karmienia gołąbków i regularnego rozkładu dnia normalnego polskiego policjanta-emeryta.

Przypisy

1 Tekst piosenki zespołu Rammstein: *Asche zu Asche*.